Humoreski

Jan Lam

Księgarnia Polska, Lwów, 1883

Pobrano z Wikiźródeł dnia 9 kwietnia 2026

JAN LAM

HUMORESKI

SPIS RZECZY.

Str.

Wędrówki pana Macieja ... 3
Ekstaza w Klekotowie 94
Gdyby nie ten zając 133
Bal u hrabstwa 159
Obiadek u P. Jones 184
Jaś i Johann 201

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Jan Lam](#).*

Wędrówki pana Macieja.

Obrazki z życia wiejskiego na Wołyniu.

I.

Do „Zoila.“

Oddawna już, o drapieżny panie, trapią mię we dnie i w nocy wspomnienia młodzieńcze, zaczerpnięte, jeżeli się nie mylę, z trzech tomów „historji powszechnej“ Pütza, innej bowiem nie znałem w owych czasach. Stają, przed oczyma mojej duszy, bohaterskie postacie różnych wieków, którym zapaleniec młody! postanawiałem dorównać, skoro dorosnę. Dotychczas nie spełniłem tego postanowienia, a gdy nie tylko już dorosłem, ale nawet poczynam garbić się i pochylać na nowo ku ziemi, więc wszyscy owi Mucjusze, Koklesy, Kurcjusze, Winkelriedy i t. d. dręczą mię, jak gdyby każdy z nich był osobnym, a strasznym wyrzutem sumienia. Wszak miałem, jak oni, albo w obliczu tyrana włożyć prawicę moją w ogień, i przerazić go okrzykiem, że

jestem tylko jednym z trzystu zuchów, którzy sprzysięgli się na jego zgubę, albo też bronić jakiego wązkiego mostu przed nawałą wrogów, albo z koniem i całym rynsztunkiem rzucić się w otwarte łono ziemi, albo nakoniec, ogarnąć silnemi ramiony cały pęk grotów nieprzyjacielskich, i padając wraz z niemi, utorować współbraciom drogę do zwycięztwa!

Nie uskuteczniłem nic z tego wszystkiego, a po części, nie jest to nawet moją winą, ale winą czasu i okoliczności. Z powodu najpierw wynalezienia broni odtylcowej, winkelriedyzm stracił rację bytu. Przeciw skokom a la Kurcjusz przemawia najpierw p. Boznański, właściciel ujeżdżalni, który pod żadnym warunkiem nie wynająłby konia do takiego eksperymentu, a przyznasz sam, o srogi prześladowco całego rodzaju autorskiego, że nie wypada mi przecież wyjeżdżać na zbawienie ojczyzny, jednokonką; pominąwszy już to, że łono matki ziemi zbyt dręczone dobywaniem nafty, na pożytek c. k. skarbu, ażeby miało jeszcze otwierać się dobrowolnie w celach, nie leżących „w sferze uprawnionych interesów monarchji,“ jak powiada hr. Andrassy. Co się tyczy wązkich mostów, to znam tylko jeden, mianowicie ten, który prowadzi przez Pełtew, naprzeciw cukierni Kosteckiego, ale po pierwsze, nikt go nie atakuje, a powtóre, ani Kokles, ani nikt inny z rodu Horacjuszów nie wytrzymałby tam pięciu minut, a to z przyczyn łatwiejszych do zwietrzenia, niż do opisania. Zostaje mi więc tylko przykład Mucyusza Scewoli, lecz, o Zoilu! gdybym ja na jego wzór stanął przed Porsenną i zawołał: „Tercenti juvenes in te conjuravimus!“ dostałbym

się niezawodnie albo jako socjalista do kozy, albo jako warjat, do czubków. Tak zimny materjalizm naszego stulecia kruszy i niweczy najszlachetniejsze postanowienia!

Gdy więc, jak wyżej powiedziałem, sumienie moje wyrzuca mi niespełnione śluby młodości, a z drugiej strony fatalne stosunki współczesne nie pozwalają mi poświęcić się dla całej ludzkości, albo dla jakiego większego jej odłamu, przedsięwziąłem uczynić to dla małego stosunkowo cechu braci moich literatów, szarpanych twojemi pazurami. Bierz mię, i pożrej, Zoilu! Oto ci rzucam na pastwę najzuchwalszy plagiat, jakiego się dopuszczono od lat dwudziestu pięciu. Ażeby całą twoją żądzę zniszczenia zwrócić wyłącznie przeciw mnie samemu, ażeby cię doprowadzić do wściekłości, do szału „ostrego,“ powiem ci z góry, i bez rumieńca skromności w obliczu, że moje „Obrazki z życia wiejskiego na Wołyniu“ nie są bynajmniej przeróbką z jakiego może, mało znanego zbioru komedyjek. Przeciwnie, stanowią one fragment jednego z największych arcydzieł kunsztu powieściopisarskiego. Jeżeli mi nie dowiedziesz, że to cudza własność, i nie powiesz, czyja, to bez skrupułu każe imię moje wyryć tam, gdzie błyszczą imiona jak Walter Scott, Dumas starszy, Zschokke, Dickens, Korzeniowski. Przepełnię wszystkie encyklopedje i wszystkie podręczniki dziejów piśmiennictwa na cześć moją, a każdy z nich będzie się kończył wzmianką, że „jenjalny“ autor „Obrazów z życia wiejskiego na Wołyniu“ nielitościwie dworował sobie z krytyków, i pod względem intelektualnym stawiał ich na

pośrednim szczeblu między czeladnikami blacharskimi a kominiarzami, t. j. między tymi rzemieślnikami, którzy sprawiają najnieznośniejszy łoskot, a tymi, którzy pisują najgorsze wiersze. Gdyby ci się wszakże udało pochwycić mię na gorącym uczynku, to rozgrzmij się przeciw mnie w Echu, poszarpaj mię w Kurjerze Codziennym, dobij mnie w Gazecie Narodowej, ja tylko tego chciałem. Potrwa to zawsze dość długo, nim mię zjesz z kretesem, ostrzegam cię bowiem, że będę się bronił zajadle, a tymczasem bracia moi będą sobie pisali i drukowali w spokoju, nie turbowani twojemi pociskami. A gdy już zginę, każdy z nich przyjdzie na moją mogiłę, westchnie, i przypnie mi jakąś łatkę, co go pocieszy i po mojej stracie, i po cięgach otrzymanych od krytyki.

II.
Pan Maciej Jeżyński.

Pan Maciej Jeżyński był to oryginał, wybornie opisany przez... nie, nie opisany jeszcze, boć go przecież sam odkryłem. Oryginalność jego polegała na tem, że był starym kawalerem, bardzo zamożnym, i trapionym nudami, w skutek czego zdawało mu się wiecznie, że jest chorym, jak to opowiada o swoim bohaterze hr. Fredro junior w

owej wytwornej krotochwili, pełnej dowcipu i dobrego smaku, zwanej Consilium facultatis, na której, nawiasem mówiąc, niejaki Molière popełnił plagiat, przerabiając ją na komedję p. t. Le malade imaginaire. W skutek tego, t. j. w skutek swojego przywidzenia, a nie w skutek plagiatu Molièra, p. Jeżyński zaprzyjaźnił się mocno z lekarzem, dr. Ludwikowskim, człowiekiem pełnym rozumu i nauki. Dr. Ludwikowski usiłował długo wybić mu z głowy jego urojenia, ale nadaremnie. Z wiekiem stawały się one owszem coraz gorszemi, i groziły nakoniec rzeczywistą chorobą. Na domiar nieszczęścia był p. Maciej opiekunem sierot po siostrze swojej, pani Wielogrodzkiej. Zdarzyło się zaś, że jednego i tego samego roku siostrzeniec jego Józef i siostrzenica Elżbieta skończyli, tamten dwadzieścia jeden lat, a ta osiemnaście; przyczem tamten ukończył także uniwersytet, a ta, wszelkie nauki w pensjonacie. Jakkolwiek oboje mieli piękny majątek, trudno było tak młodego chłopca i tak młodą panię zostawiać sobie samym, p. Maciej turbował się tedy na przemian swojemi reumatyzmami i gastrycyzmami, i dziećmi swojej siostry. Dr. Ludwikowski, któremu to wszystko niewymownie już było dokuczyło, z powodu, iż p. Jeżyński piętnaście razy na dzień zasięgał jego rady, zniecierpliwił się pewnego razu, i przemówił do p. Macieja mniej więcej w te słowa:

— Cała pańska choroba i wszystkie pańskie kłopoty pochodzą ztąd, że panu nic nie brakuje, i że nie masz pan żadnych kłopotów. Poradziłbym panu, znaleźć sobie jakie zajęcie, ale wiem, że o tem nie ma mowy. Dam panu przeto inną, ale jedyną i ostatnią radę, a jeżeli pan tej nie

posłuchasz, to kwita z przyjaźni i z klienteli, możesz pan na przyszłość nudzić doktora Madfesa całodziennem swojem stękaniem.

Nadmienić tu muszę, je p. Jeżyński był człowiekiem wcale wykształconym, i świadomym obowiązków obywatelskich. Ażeby więc nie zrozumiano źle słów doktora, że „o zajęciu jakiem dla p. Macieja“ nie ma mowy, pospieszam dodać, że działo się to wszystko jeszcze za czasów pańszczyźnianych i absolutystycznych, kiedy w istocie o żadnej pracy obywatelskiej mowy być nie mogło. Szlachcic zamożny nie miał nic innego do czynienia, jak tylko bawić się jak najlepiej za swoje pieniądze. Mógł także po cichu bawić się w literata, byle nie po nad poziom Gazety Lwowskiej, szperać w aktach grodzkich i w bibjotekach, robić obserwacje astronomiczne, albo nakoniec spiskować, ale snać p. Jeżyński nie miał talentu lub gustu w żadnym z tych kierunków, i ztąd pochodzi apodyktyczny sąd doktora.

— Jakaż to jest rada? — odparł p. Maciej, przerażony groźbą.

— Oto; wiosna na niebie i na ziemi, drogi wyschły. Każ pan zaprządz czwórkę w poręcz do koczobryka, trójkę do furgonu, zabieraj pan Józia i Elżusię, i dwoje ze służby, jedź pan jak najdalej, powoli, rzemiennym dyszlem, i nie wracaj aż w jesieni, nim się słota zacznie.

— Doktorze — zawołał p. Maciej przerażony — ależ te popasy, te noclegi, a mój reumatyzm!

— Daj pan katu swój reumatyzm, mówiłem już raz, że więcej o nim słyszeć nie chcę. Popasy, noclegi! Człowiek,

który ma pełno przyjaciół, znajomych i krewnych w Galicji, w Królestwie, na Litwie, na Polesiu na Wołyniu i Podolu, kłopoce się noclegami i popasami!

— Ba... prawda! To mi nie przyszło na myśl! Sądziłem, że namawiasz mię doktorze do jakiego wojażu za granicę, dokąd nie chciałem wywozić naszych pieniędzy. Ale to co innego, myśl oryginalna i wcale piękna!

— I pomyśl pan, że kto wie, czy po drodze nie uda się panu wyswatać Józia i Elżusię!

— O, to byłoby wybornem! Jednakowoż, gdy się nad tem lepiej zastanowię... nie, nie mogę!

— Dlaczegoż, radbym wiedzieć!

— Dlaczego, dlaczego! Bo mi zrujnują majątek tymczasem! Czy pan nie znasz naszych oficjalistów?

— No, to niechaj nie rujnują, rujnuj pan natomiast swoją głowę tem przeklętem bolibrzuchostwem swojem! Dobra noc, nie zobaczymy się więcej!

— Doktorze kochany, czekaj, nie gniewaj się, toć przecież... możeby w jaki sposób... Ba, gdybym ja miał przyjaciela, któremubym mógł oddać zarząd majątku na to jedno lato!

— Chciałbym wiedzieć, jakim sposobem taki nieznośny zrzęda, jak pan, może mieć przyjaciół! Ja jeden mam to nieszczęście, liczyć się do nich, i mam też za swoje!

Tu nastąpiła wymiana serdeczności między p. Maciejem a doktorem, którą opuszczam, jako zbyt długą. Nadmieniam tylko, że obydwaj szczerze poważali się nawzajem, i że obydwaj mieli słuszność. P. Macieja do dzisiaj wspominają z czcią chłopi na całem Pokuciu, a doktor równie dobre

wspomnienie zostawił po sobie w okolicy, w której mieszkał. Otóż, wśród tych wylań serdecznych, doktor wygadał się przypadkiem, że mu już kością w gardle stanął 30 letni pobyt między żydami w Kołomyi, i że zamierza porzucić praktykę, i osiąść na wsi. Pan Maciej chwycił go za słowo, i stanęło na tem, że doktor obejmie na to lato nadzór nad majątkiem p. Jeżyńskiego, a p. Jeżyński obejmie natomiast nadzór nad własnem zdrowiem, i jak najrychlej puści się w drogę.

— Musisz mi wszakże — dodał doktor — musisz pan dać mi słowo, że w drodze, ilekroćby się panu zdawało, że masz atak reumatyzmu, gastrycyzmu, albo jeszcze jakiego innego „yzmu;“ to zamiast kłaść się do łóżka i używać doktorów, siądziesz pan do stolika i napiszesz list do mnie, ale jak najdłuższy.

— A o czemże będę pisał?

— Opiszesz mi pan oczywiście najpierw wszystkie symptomata swojej choroby, i wyrazisz o nich własne swoje zdanie. To panu ulży, ale mnie nie zabawi, bo wiem naprzód, co panu i kiedy dolegać będzie, i mówię panu z góry, że to furda. — Dla mnie więc, dodasz pan ile możności dokładny opis przygód podróży, miejsc i ludzi, których pan widzieć będziesz, itp. Uważam to pisanie listów jako jedyny przepis hygieniczny, który panu daję, ale kładę na to taki nacisk, że gdybyś pan nie dotrzymał słowa, zabrałbym się ztąd natychmiast i wróciłbym do Kołomyi.

P. Jeżyński wyjechał za parę dni, stosownie do programu, i zachował się ściśle według przepisów swojego lekarza.

Dr. Ludwikowski miał zwyczaj przechowywać wszystkie swoje papiery starannie i w najlepszym porządku, a ponieważ był moim stryjeczno-ciotecznym dziadkiem, więc po jego śmierci ogromne fascykuły pism przeszły w moje posiadanie, a między niemi cała korespondencja p. Jeżyńskiego. Onegdaj zachciało mi się rzucić na chwilę okiem w owe czasy, kiedy to ludzie robili jeszcze stumilowe podróże koczem, i prowadzili za sobą furgon z pościelą, wiktuałami i służbą. Przejrzałem tedy i uporządkowałem listy p. Macieja. Jest ich tyle, że możnaby wydrukować spore dwa tomy takim drukiem, jak niniejszy, takim zaś, jakim genialniejsi odemnie autorowie ogłaszają swoje prace, byłoby najmniej ośm tomów. Ponieważ trudno byłoby o nakładcę dla tak olbrzymiego dzieła w chwili gdy wszystkie prasy drukarskie jęczą, wytłaczając wiekopomne utwory naszych wielkich współczesnych poetów lirycznych, naszych perjodycznych estetyków i naszych estetycznych publicystów, umieszczę tutaj tylko parę listów p. Macieja. Co się zaś tyczy ogólnej ich treści, nadmienię tylko, że z początku przepełnione są one skargami na różne dolegliwości fizyczne. Skarg tych coraz mniej, im bardziej p. Maciej oddala się od Pokucia — aż nakoniec, gdy dociera już do Litwy, zkąd wywodzi swój ród i klejnot szlachecki, uzdrawia go powietrze tamtejsze. Powietrze — a może i nie powietrze, ale serce ludzkie; dosyć, że p. Maciej wraca zdrów przez Polesie na Wołyń, i tu dopiero zaczyna stękać na nowo. Z tego okresu jego podróży pochodzą właśnie umieszczone tu listy; nie potrzebuję dodawać, że wykreśliłem z nich wszystko, co mogłoby być

zrozumiałem jedynie w związku z poprzednią korespondencją. Dla ciekawych dodam jeszcze, że p. Maciej po drodze istotnie wydał za mąż Elżusię Wielogrodzką, ale Józia nie mógł ożenić, bo ten pragnął „jeszcze trochę rozglądnąć się w świecie.“ Mojem zdaniem, kto się w nim rozglądnął od Karpat do Bałtyku, a od Bałtyku do Dniestru, i nie nabrał ochoty do ożenienia się, ten chyba nie wart pięknej i dobrej żony. Tymczasem zaś, zostawiam głos panu Jeżyńskiemu.

III.
Listy p. Jeżyńskiego.

Stary Konstantynów, 26. sierpnia 18..

Nie mogłem wytrzymać dłużej w Kijowie, widocznie nie jestem stworzony do pobytu w mieście. Ścisk, zaducha, gwar, i okropne jadło w restauracjach, nic więcej. Jaka to różnica między tem wszystkiem, a mojem ustroniem nadpruciańskiem, do którego już znowu tęsknić zaczynam, zwłaszcza gdy od kilku dni czuję w lewem kolanie i w prawej łopatce jakieś gniecenie, nad którem chciałbym, ażebyś się zastanowił, kochany doktorze. Czasami zdaje mi się, że to coś reumatycznego, a czasami znowu skłonniejszy jestem upatrywać źródło cierpienia w jakimś rozstroju

systemu limfatycznego. A przytem te zdzierstwa, ten zgiełk, te smrody żydowskie! W Jarhorówce, oddychać nawykłem świeżem, czystem, elastycznem powietrzem. Tam sypiam spokojnie, żaden hałas mię nie budzi, chyba rano świegotanie ptasząt na drzewach przed memi oknami. Napoju dostarcza mi zdrój, tryskający ze skały podkarpackiej, orzeźwiający, krystaliczny, a jest przytem i miodek niezły w piwnicy, i węgrzyna niefałszowanego dostarczy mi handlarz, na którego uczciwość spuścić się mogę. Chleb mam wyborny, własnego pieczywa, własna moja ziemia zaopatruje prawie wszystkie potrzeby mojego stołu. Cóż lepszego nad ową baraninę, której mi dostarczają moje pięcioletnie skopy, wykarmione aromatycznemi ziołami połonin? Albo mój drób, karmiony na folwarku, albo te pstrągi i czeczugi rzek naszych! Ale nie będę się rozszerzał nad temi dobrodziejstwami wsi, a nad nędzą miasta, dosyć, jeżeli ci powiem, że przyjechałem tu z Kijowa przez Berdyczów, i że siedzę w Starym Konstantynowie, w żydowskim zajeździe, bo tak uchwaliła Elżusia i jej ciotka.

Dowiedziałem się przypadkiem, że Bronio Wojnowski mieszka tu w pobliżu w swoim majątku. Wszak pamiętasz Bronia, chodziliśmy przecież razem do gimnazjum w Tarnopolu, tylko on chodził o parę lat niżej od nas. Byliśmy nawet i później, jak sobie zapewne przypominasz w wielkiej zażyłości; nie mogłem tedy przenieść tego na sobie, ażeby go nie odwiedzić, chociaż nie korespondowaliśmy z sobą od czasu, gdy z nim razem bawiłem w tych stronach, a dawne to już bardzo czasy!

Czułem niemałe wzruszenie, gdy powóz mój zbliżał się do tego miejsca, gdzie jako młody chłopak nie jedną szczęśliwą i wesołą przepędziłem chwilę, ale gdym się już zbliżył, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu nie mogłem poznać żadnego z tych przedmiotów, które utkwiły w chłopięcej mojej pamięci. Owe dęby i lipy, pomiędzy których rzędami wiodła niegdyś droga do dworu, zrąbano! Znikła i brama wiodąca do dworu, i znikł żywy płot, okalający niegdyś dziedziniec. Dwór, za moich czasów, miał starożytne poważne wejrzenie. Od strony ogrodu była weranda, pod którą nieraz lubiłem siadywać i dumać. Otóż obecnie, budynek ten upstrzony zewnątrz jakimś portykiem greckim z jednej strony, a gotycką wieżyczką z drugiej. Ogród, w którym niegdyś pełno było starych szpalerów, a oprócz tego, pełno najlepszych drzew owocowych na całym Wołyniu, nie przedstawiał teraz ani śladu tego wszystkiego. Jest to obecnie pustynia, zarosła chwastami, poprzerzynana zaspami piasku, w pośród której widać wyschłe łożysko jakiegoś basenu, z mitologiczną figurą w środku.

Wiesz zapewne, że Wojnowski odziedziczył po ojcu fortunę, która mu niosła czystych 15.000 rubli srebr. rocznej intraty, i że pod każdym względem zdawał się przeznaczonym do odgrywania niepospolitej roli pomiędzy obywatelstwem. Ale hulało się trochę, trochę się grało w karty, a trochę się procesowało, dosyć, że nim kilka lat minęło, sto tysięcy rubli długu ciężyło na majątku. Bronio nie znał innego lekarstwa na tę chorobę, jak tylko to jedno uniwersalne, które przepisuje nasza terapja szlachecka w podobnych wypadkach; ożenić się i wziąć znaczny posag.

Udało mu się też wkrótce pozyskać serce i rękę panny Tomaszewskiej, której ojciec był niegdyś kupcem w Odessie, a później osiadł na Ukrainie i umierając, zostawił córce czystych dwakroć sto tysięcy rubli majątku. Po śmierci rodziców, panna Tomaszewska zostawała pod opieką starej ciotki, która zajmowała się jej wychowaniem i którą Wojnowski także dostał w posagu. Pominąwszy ten jeden szczegół, partja zdawała się dobrą a nawet świetną. Muszę jednak powiedzieć z góry, że dobre przymioty pani Wojnowskiej, którą znałem panną, zdawały mi się zawsze czysto negatywnej natury. I tak np. nie można było powiedzieć o niej, ażeby była nadętą albo grymaśnicą, albo też skłonną do obmowy, albo, nakoniec, do kokieterji. Umiała czytać i pisać, tańczyć, śpiewać rysować grać na fortepianie i rozmówić się po francuzku — ale wszystkiego po trochę, a nic dobrze. To samo można było powiedzieć o jej powierzchowności, która nie była nieprzyjemną, a przecież była bez wdzięku. Na panię domu tak mało była stworzoną, że kiedy siedziała na pierwszem miejscu u stołu, rozglądałeś się mimo woli po całym pokoju, gdzie gospodyni?

Wojnowski pochlebiał sobie, że nie trudno mu będzie przerobić, że tak powiem, na swoje kopyto, osobę pozornie tak bierną. Wszystkie jego projekta obracały się około swobodnego i spokojnego życia domowego na wsi. Lubił on gospodarstwo, lubił żyć z sąsiadami, lubił żyć z komfortem, ale bez zbytniej wystawy i miał nadzieję, że potrafi te same zamiłowania wzbudzić w swojej żonie. Łudził się niestety w tej mierze. Żona jego wychowana w

Warszawie, miała tyle pojęcia o zarządzie domem, co nowo narodzone dziecię, a o pobycie na wsi nie chciała ani słyszeć. Rozum jej nie był dość bystrym, ażeby się mogła nauczyć czegoś więcej nad to, co już jak powiedziałem umiała: a gdyby nawet inteligencja jej była sięgała do poziomu, na jakim stać powinna dobra żona, dobra gospodyni i dobra matka, to wrodzona indolencja, nie byłaby jej pozwoliła porzucić rutyny, w którą się wżyła pod przewodnictwem ciotki. Jeżeli dodam, że ciotka ta była prototypem starej panny, nie takiej, jaką często napotykamy w życiu i o jakiej komedjopisarze zdają się nic nie wiedzieć, ale takiej, jaką tylko w komedjach widujemy, to możesz sobie wyobrazić, kochany doktorze, jaką była rutyna życia domowego pani Wojnowskiej i jak dalece mogła ona ziścić marzenia i projekta swego męża. Nic jej nie bawiło, nie wzruszało, nie sprawiało jej przyjemności, z tego wszystkiego, co zwykło bawić i wzruszać ludzi lub sprawiać im przyjemność. Jedyną jej namiętnością była próżność, i to nie ta próżność, która szuka zadowolenia w mniemanej lub prawdziwej osobistej wyższości nad drugimi, ale ta, której wystarcza przepych i ostentacja i która obchodzi się najzupełniej bez świadomości jakiejkolwiek zasługi własnej, bez zarozumiałości.

Zaraz po weselu Bronio zwierzył się żonie ze swojemi projektami osiedlenia się na wsi. Powiedział jej, że majątek ich, jakkolwiek znaczny, nie wystarcza do prowadzenia domu w Warszawie na taką skalę, na jaką musiał go urządzić pierwotnie pod presją ciotki. Oświadczył, że ma zamiar z wiosną przenieść się na Wołyń, oddalić

nadliczbową liberję itp. Wysłuchała go w milczeniu, a po chwili jęknęła z głębi duszy:

— A więc, mam się zakopać na wsi! O ja nieszczęśliwa, ciociu! ciociu!

Bronio skonfundowany był niepospolicie tym niespodziewanym wybuchem rozpaczy i rozpoczął natychmiast odwrót.

— Ależ moja droga, któż mówi o zakopaniu! Ani mi się śniło proponować ci coś takiego, coby ci mogło być nieprzyjemnem. Wszak na Wołyniu także są ludzie, a nie robiąc wydatków po nad stan naszego majątku, moglibyśmy tam żyć swobodnie, wygodnie, a nawet pod pewnym względem okazale...

— Tak, tak, wiem ja to dobrze, że majątek mój wynosi zaledwie 200.000 rubli. A jednak z tym posagiem mogłam była znaleść męża, któryby mi był nie odmawiał domu w Warszawie. Nieszczęście moje chciało, żem wyszła za skąpca. O! o! — Tu płacz spazmatyczny przerwał jej mowę.

— Na miłość Boga, moja kochana, nie myśl, że mógłbym żałować ci czego! Zrobiłem tylko propozycję, ale bynajmniej nie mam zamiaru narzucania ci mojej woli!

— Jesteś panem i możesz rozkazywać, a ja muszę słuchać! O! o! ciociu! Ja mam zakopać się na wsi.

I cała w szlochach, poszła do „cioci“. Bronio spostrzegłszy się, że zbyt szybko skapitulował, usiłował uzbroić się w stałość, ale dokazał tylko tyle, że oprócz żony, ciotka także dostała spazmów, migreny i gorączki. Obiedwie chorowały trzy dni, a przynajmniej tak długo nie

wstawały z łóżka. Pani Wojnowska w gorączce fantazowała o śmierci, i o swoim drogim kochanym mężulku, który ją zabił i który tymczasem siedział przy niej i okrywał jej rękę pocałunkami, przepraszając ją i zaklinając, aby przyszła do siebie. Jest to bowiem wada dość wspólna nam mężczyznom, że nie możemy znieść łez kobiecych nawet wtedy, gdy płyną bez racjonalnego powodu, albo gdy jedynym ich racjonalnym powodem jest złość lub upór nierozsądny. Odtąd nie było już mowy o Wołyniu, państwo Wojnowscy mieszkali w Warszawie, mieli dwóch kamerdynerów i kucharza, Francuzów, strzelca, Niemca i innej służby, fraucymeru, powozów itd. co niemiara. W lecie wszakże, gdy wielki świat rozjechał się na wieś lub do wód, pani Wojnowska dając tem niby dowód uległości małżeńskiej, sama zaproponowała mężowi wycieczkę na Wołyń, naturalnie z całym taborem warszawskim i zagranicznym. Bronio opierał się jak mógł temu projektowi, nie bardzo licującemu z jego wyobrażeniami o oszczędności, ale żona nalegała uporczywie na niego, powtarzając ciągle, że pragnie mu dać dowód poświęcenia i zastosować się do jego upodobań. Wyjechali tedy taką kawalkatą, która przepychem swoim wprawiła cały Wołyń w zdumienie. O zajęciu się gospodarstwem nie było mowy, robiono tylko i przyjmowano wizyty. W ciągu tych ciotka odkryła, że marszałkowstwo Kuropatniccy trzymają o jednego kredencerza i o jednego lokaja w liberji więcej od pp. Wojnowskich. Wspomniała o tem przy stole. Bronio przyznał jej słuszność, dodając, że marszałek może trzymać więcej sług od niego, bo ma majątek dwa razy większy i

doskonale zagospodarowany. Pani Wojnowska nie jadła reszty obiadu, a po obiedzie dostała migreny wraz z ciotką. Biedny Bronio musiał rad nie rad przyjąć nadliczbowego kredencerza i lokaja. Wkrótce pokazało się, że srebra w domu były starego bardzo fasonu, sprzedano je tedy na wagę i kupiono nowe, filigranowe, które nie ważyły trzeciej części dawniejszych, a kosztowały pięć razy więcej. Okazała się także potrzeba sprawienia nowych mebli, a gdy już cały dom przewrócono do góry nogami, ruszono z powrotem na Lwów do Warszawy.

We Lwowie widziałem się wówczas z Broniem i z jego panią, którą, jak powiedziałem już, znałem jeszcze jak była panną Tomaszewską. Zwierzył mi się nieborak ze swoich kłopotów i ofiarowałem mu się z mojemi usługami, jako dawny przyjaciel. Chciałem pomówić z jego żoną, przedstawić jej potrzebę oszczędniejszego sposobu życia, zwrócić jej uwagę na obowiązki żony itp. Bronio ani sobie dał mówić o tem, tłómacząc mi, że jego żona ma zbyt delikatne nerwy, by mogła znieść rozmowę tego rodzaju, i że nabawiłbym ją tylko migreny, a jemu sprawiłbym przykrość.

Bronio ma wiele energji w swoim charakterze i jestem pewny, że gdyby miał żonę sekutnicę, opryskliwą, kłótliwą, dałby sobie z nią radę. Przypadkiem atoli, czy instynktem wiedziona, pani Wojnowska umiała trafie w słabą stronę jego usposobienia i osiodłała go kompletnie. Poznałem odrazu, że nie ma sposobu wydobyć go z tej niewoli. Ażeby go przynajmniej ochronić od zupełnej ruiny majątkowej, obliczyłem, że miałby o połowę mniej wydatków, gdyby się

puścił z żoną w podróż za granicę, do Niemiec i do Włoch np. gdzie życie jest stosunkowo tak tanie i dokądby jego pani przecież nie mogła zabierać z sobą całego dworu, który widziałem, zwłaszcza gdy najbardziej arystokratyczne domy wyjeżdżając z kraju, zmniejszają etat służby, a nawet obchodzą się bez niej zupełnie. Bronio chwycił się skwapliwie tego projektu i zakomunikował go swojej żonie, która zasmakowała w nim odrazu, jako w rzeczy należącej do dobrego „tonu“. Przedewszystkiem nęciła ją perspektywa, że będzie prezentowaną różnym większym i mniejszym monarchom, że będzie żyła z najbardziej arystokratycznemi rodzinami w Europie, i że zobaczy Paryż, stolicę mody. Zamiast więc do Warszawy, państwo Wojnowscy wyjechali do Niemiec, z bardzo małym sztabem, na którego czele znajdowała się oczywiście ciocia w charakterze tajnego radcy dworu. Od tego czasu nie mieliśmy z sobą prawie żadnej styczności. Słyszałem tylko, że po dwuletniej wędrówce za granicą, państwo Wojnowscy wrócili do Warszawy i prowadzili znowu dom urządzony z wielkim przepychem i że mają syna, który obecnie liczy lat 12 do 13-stu i dla którego mama stara się o jak najbardziej przewrotne wychowanie.

Co się tyczy Bronia, to ani wrodzony zdrowy rozsądek, ani obawa ostatecznej nędzy, ani nareszcie wzgląd na przyszłość syna nie zdołały pobudzić go do zrzucenia haniebnego jarzma, które dźwiga. Z umysłem pochopnym do wrażeń wyższych, z sercem otwartem dla przyjaźni i ludzkości, z usposobieniem jakby umyślnie stworzonem do życia cichego na wsi i do szukania przyjemności w

zajęciach, które ono nastręcza, człowiek ten rzucony jest w wir szaleństw bez smaku i celu, wśród otoczenia zajmującego się bzdurstwami, tak pozbawionemi wszelkiego sensu, że i największy filozof nie potrafiłby zdefinjować, co w nich może zajmować istotę obdarzoną rozumem. Przyjaźni daremnieby szukał w kołach, w których poruszać się musi, a chaos niedorzeczności w którym się ciągle obraca, nie pozwala mu oddawać się zajęciom, których pragnie i rozrywkom, do których wzdycha. Oddawna zrzekł on się już nadziei wydobycia się z długów, w których siedzi po uszy, a co do szczęścia domowego, zna go tyle, jak gdyby wcale nie miał rodziny. To też popadł on powoli w rodzaj melancholji i podupadł na zdrowiu i na humorze, a wygląda jak suchotnik.

Na ganku przyjęło nas kilku lokai w pończochach i trzewikach, z nader dyplomatycznemi minami. Trwało to czas jakiś nim jeden z nich raczył nam donieść, że jasny pan wyjechał na koniu, a jasna pani jeszcze nie ubrana i że prosi nas do salonu. Weszliśmy w ten przybytek pełen takiej elegancji i takiego zbytku, że oczywiście służyć może tylko do oglądania a nie do mieszkania. Meble rzeźbione, złocone, pokryte kosztownym adamaszkiem, a takie nowe i świeże, jak gdyby ich jeszcze nikt nie używał, posadzka ślizka jak lód, a piec, istne arcydzieło, pełne blasku, widocznie nie profanowane tak prostacką rzeczą, jaką jest paliwo. Ostatni ten szczegół wydał nam się tem bardziej opłakanym, gdy jesień tegoroczna nawiedziła nas przedwczesnem zimnem. Przepędziliśmy około pół godziny w tej „świątyni chłodnego przyjęcia“, gdy Bronio wrócił ze

swojej przechadzki, a dowiedziawszy się o naszem przybyciu, pospieszył do nas. Był on tak mizerny i miał wyraz twarzy tak przygnębiony, że byłbym go nie poznał, gdybym go gdzie spotkał niespodzianie.

Uściskaliśmy się serdecznie i mieliśmy przy tem obydwaj łzy w oczach i zaledwie mogliśmy mówić. Przywitawszy się z nami wszystkimi, Bronio spostrzegł, że Elżusia aż posiniała z zimna, prosił nas tedy do innego pokoju, gdzie palił się ogień na kominku, i kazał nam dać kawy, sam zaś poszedł zaanonsować nas swojej żonie. Za chwilę wrócił z jej ukłonami i przedstawił nam swego Henryczka, dużego już dość chłopaka, któremu nie wiele dobrego patrzyło z oczu, oprócz zuchwalstwa i impertynencji. Ojciec chciał go był oddać do szkół, ale matka i ciocia nie pozwoliły na to, sprowadzono więc abbusia z Francji i powierzono pełnego nadzieji młodzieńca jego opiece.

Gdy było zaledwie parę minut po dwunastej, i przewidywałem, że obiad będzie bardzo późno, zaproponowałem Wojnowskiemu przechadzkę, ażebyśmy mogli wygadać się do woli. Zacząłem rozmowę od zapytania, dla czego tak krótko bawił we Włoszech. Powiedział mi, że podróż za granicę nie osiągnęła bynajmniej zamierzonego celu. Jakkolwiek Włochy są jednym z najtańszych krajów w Europie, był on zmuszonym do wielkich wydatków, ażeby żyć na równej stopie z wszystkimi książętami, markizami i hrabiami, z którymi zrobił znajomość. Musiał przyjąć większą jeszcze liczbę sług, niż w Warszawie, sprawiać żonie niezliczoną

ilość strojów i dawać często a bardzo kosztowne przyjęcia, jak tego wymagała godność „hrabiego“, którą mu nadał garson w pierwszym zaraz hotelu, w którym stanął. Oprócz tego, pani Wojnowska otoczyła się całą zgrają pasożytów, nauczycieli języków, muzyków, malarzy, ciceronów, którzy pochłaniali niezmiernie wiele pieniędzy, a nadto wpadła w manję obrazoznawstwa i kupowała obrazy i antyki na podstawie własnego, niekoniecznie nieomylnego sądu. Nakoniec spotkał ją afront, który spowodował nagły wyjazd do Polski. W Rzymie mianowicie, zrobiwszy na wieczorach u księżnej L..... znajomość z najpierwszemi matadorami wiecznego miasta, weszła w ich koło bez wszelkiej trudności i była wszędzie dobrze przyjmowaną. To wbiło ją w dumę taką, że kiedy księżna L... wyjechała z Rzymu i powszechnie żałowano, że tak miła i gościnna dama opuściła miasto, pani Wojnowska postanowiła wynagrodzić Rzymianom i Rzymiankom tę stratę i urządzić u siebie „una conversazione“ z muzyką. Rozesłano bilety wszystkim książętom i ambasadorom, sprowadzono muzykantów, ale niestety, ani jedna ambasadorowa, ani jedna księżna nie przyjęła zaproszenia i w ogóle oprócz mężczyzn nie należących do dyplomacji, nikt się nie pojawił. Pani Bronisławowa odchorowała to trzydniową migreną, i oświadczyła, że powietrze włoskie jest dla niej zabójczem. Bronio wywiózł ją do Wenecji, a ztamtąd na Kraków do Warszawy, przyczem, oczywiście, postradał na granicy kilka tysięcy rubli, bo pani wiozła z sobą cały transport jedwabiów i koronek, które uległy konfiskacie, jako kontrabanda.

Pokazało się teraz, że podróże pogorszyły złe, zamiast je naprawić. Pani Wojnowska na zasadzie swoich doświadczeń zagranicznych, chciała nadawać ton, nie tylko pod względem mody, ale także pod względem smaku i znawstwa w każdym kierunku. Zrobiła szkic, podług którego Bronio musiał kazać przebudować fasadę swego dworu, kazała wyrąbać drzewa w sadzie i przystąpiła do radykalnej reformy ogrodów w guście zagranicznym. W tym celu Bronio musiał powiększyć ich obszar kilkudziesięciu morgami najlepszej ornej ziemi, zniesiono mury, płoty i parkany, i pani sama sporządziła rysunek, podług którego miały być prowadzone i sadzone drzewa i krzewy. Koroną wszystkiego miał być sztuczny basen, z wodotryskiem. Wykopano go i wprowadzono do niego potok, który przedtem pędził dwa młyny. Ponieważ atoli wszystko robione było podług planu jasnej pani, a wbrew przestrogom młynarza i inżyniera, którego sprowadził był Bronisław, przerażony śmiałością pomysłów żony, więc rezultat był taki, że woda nie chciała wejść do basenu, ale natomiast zalała wszystkie okoliczne grunta i zamieniła je w jedno wielkie trzęsawisko. Zrozumiałem teraz, zkąd się wzięły pustynie i ruiny, które spostrzegłem przy mojem przybyciu. Dowiedziałem się nadto, że Bronio podczas swojego pobytu na wsi zmuszonym był żyć, jak w mieście, z gotowego grosza: Kupował owies i siano dla koni, nabiał, drób, jaja i warzywa, chleb nawet. Przyznał mi się, iż gospodarstwo to pochłaniało corocznie podwójną jego intratę, i że niebawem będzie musiał sprzedać majątek na zaspokojenie wierzycieli. Powtarzał przy tem ciągle, że

jego żona tak ma słabe zdrowie że nie przeżyłaby tego nigdy, gdyby jej się chciał sprzeciwić i nie uczynił zadość każdej jej fantazyi. To też zaniechał już był oddawna wszelkiej opozycji, i pogodził się ze swoim losem, t. j. z nieuniknionem bankructwem, pocieszając się tylko tem, że jakiś rozsądny opiekun tak opisał majątek jego żony, iż nie można naruszyć kapitału i tym sposobem przynajmniej Henryczek ma przyszłość zapewnioną.

Możesz sobie wyobrazić kochany doktorze, jak byłem zmartwiony i oburzony tym stanem rzeczy. Powiedziałem Broniowi otwarcie moje zdanie, i nie szczędziłem mu wymówek. Perswadowałem mu, że powinien opamiętać się i otrząść z niewoli, w której zostaje. Ofiarowałem mu wszelką pomoc z mojej strony. Podjąłem się uregulować jego interesa, a nawet zreformować mu radykalnie cały dom, byle mię upoważnił do tego. Byłem tak przejęty jego losem, i tak wzruszony że błagałem go ze łzami w oczach, aby miał litość nad sobą. Rzucił mi się na szyję i rozszlochał się jak małe dziecko. Przyrzekł mi nawet, że wyłuszczy mi stan swoich interesów, i że ile możności zastosuje się do rad moich, ale tylko — ile możności.

— Są, widzisz, takie strony w naturze ludzkiej — mówił — takie strony... o których człowiek nieżonaty nie może mieć wyobrażenia... Krótko mówiąc, nie byłbym w stanie sprawić najmniejszej przykrości tej kobiecie.

— Ależ ona sprawia ci tylko przykrości codzień, i to od tylu lat, i ani jej w głowie wejść kiedy w twoje położenie.

— Cóż chcesz; pomimo to jestem przekonany, że kocha mię z całego serca. Mówię ci, że są rzeczy w naturze

ludzkiej, których wytłumaczyć niepodobna...

Ruszyłem ramionami i dałem pokój całej tej sprawie. Umówiliśmy się tylko, że odtąd będziemy często pisywać do siebie. Bronio opowiedział mi jeszcze z wszelką naiwnością, że ma dwóch sąsiadów, których żony pędzą także najkrótszą drogą do ruiny majątkowej. Najciekawszem jest to, że każdy z nich ma zupełnie inne usposobienie, a podobieństwo między nimi a Broniem leży tylko w tem, że każdy jest pod pantoflem, bo każdy ma taką połowicę, jakiej potrzeba, aby go wzięła w kluby. Jejmoście mają także jeden rys wspólny: każda pragnie rywalizować pod względem strojów i ostentacji z marszałkową Kuropatnicką, której mąż jest niezmiernie bogatym, i która ze swojej strony naśladuje we wszystkiem hrabinę X. najbogatszą panią w kraju. Otóż masz bajkę o żabie i o koniu, wprowadzoną w życie cztery razy na przestrzeni kilku mil; trzy fortuny szlacheckie i jedna pańska idą „na psy“, dzięki żabiej próżności kobiecej, a w trzech wypadkach, napotykamy trzy różne formy tyranji małżeńskiej. Bronio trzymany jest w jarzmie dzięki tkliwości swojego temperamentu. P. Mleczyński jest sławnym tchórzem, a niebo obdarzyła go babą — Herodem, której się boi, jak ognia. P. Tumaniecki nie dałby się wzruszyć spazmami, ani nastraszyć pięściami, ani nawet przekonać argumentami, na które ma bardzo twardą czaszkę, ale natomiast jak niejeden simplex servus Dei, boi się niezmiernie — śmieszności. Otóż pani Tumaniecka, to istne uosobienie ironji i satyry. Języczek ma jak żądło, i jak zacznie docinać małżonkowi przymówkami w formie

komplementów i sarkastycznemi półsłówkami, zawierającemi w sobie zarzuty braku wychowania, smaku, szlachetności i t. d. tak nie ma niedorzeczności którejby nie popełnił pod tym biczem.

Wszystkie te panie posiadają obecnie równą ilość powozów, koni, sług, strojów, klejnotów, sreber, porcelany i kosztownych gratów, a w przyjęciach starają się prześcigać się nawzajem zbytkami. Ręczę, że na dwudziestu ludzi zrujnowanych, dziewiętnastu pada ofiarą śmiesznej próżności niemądrych kobiet, których umysłowe zdolności nie imponują nawet wcale ujarzmionym i rujnowanym małżonkom. Dziękuję niebu, kochany doktorze, że pomiędzy słabościami i szaleństwami natury ludzkiej, które mi przypadły w udziele, nie było przynajmniej skłonności do wstąpienia w stan małżeński.

Rozmowa nasza trwała przeszło dwie godziny, a gdyśmy wrócili do domu, pani Wojnowska jeszcze się była nie pojawiła. Zaszczyt ten miał nas spotkać dopiero o trzy kwadranse na czwartą t. j. na pięć minut przed obiadem.

Weszła w towarzystwie męża, ciotki i syna i powitała nas ukłonem, z którego chłód wiał jak z lodowni. Był to zresztą jedyny znak z jej strony, że się domyśla naszej obecności. Nie raczyła sobie przypomnieć, jak dawno się znamy, ani przemówić do nas choćby jedno słówko, siedziała tylko jak posąg i milczała zawzięcie. Nie mniej sztywna była „ciocia“, ale natomiast Henryczek trzepał się i plótł trzy po trzy bez ustanku.

To samo było przy obiedzie. Pani domu od czasu do czasu szeptała coś z ciocią, a Bronisław zadawał sobie

wszelką pracę, by nas zabawić. Muszę dodać jeszcze i to, że obiad wcale nie podniósł w moich oczach reputacji francuskiego „chef de cuisine“, któremu Bronio płaci miesięcznie więcej, niż mój Wicenty pobiera rocznie. Natomiast, nie uwierzyłbyś, kochany doktorze, ile srebra, porcelany i kryształu przesunęło się przed naszemi zdziwionemi oczami, a za każdem krzesłem stał lokaj w liberji, wyjąwszy krzesła pana i pani domu, z których każde miało do usługi osobnego kamerdynera we fraku. Odetchnąłem swobodnie, gdy się skończyła cała ta parada i gdyśmy przeszli do salonu. Tutaj odznaczył się pełen nadziei młody p. Wojnowski tak szczególnemi względami dla Elżusi, że dziewczyna, którą znasz jako wzór łagodności, musiała pociągnąć go za uszy, ażeby mu przypomnieć, że nie jest w garderobie. Bronio podziękował jej serdecznie za to napomnienie, dane jego potomkowi i kazał mu wyjść z pokoju, ale to wywołało scenę, jakiej się nie spodziewałem ze strony pani Wojnowskiej. Wstała z majestatycznemi gestami, wzięła Henryczka za rękę i wyszła z nim razem deklamując z wyrazem boleści.

— Chodź, chodź, moje dziecko, ty wiesz, że cię twój ojciec nie cierpi!

W ślad za nią, wyszła i ciocia, podczas gdy my wszyscy w niemem zadziwieniu spoglądaliśmy jeden na drugiego. Najbardziej skonfundowanym był Bronio. Ma się rozumieć, że kazałem natychmiast zaprzęgać konie. Wojnowski zaklinał mię na wszystko, abym został na noc, ale nie mogłem zdecydować się na to. Przed wyjazdem, powtórzyłem raz jeszcze moje przyjacielskie

przedstawienia i rady. Tłumaczyłem mu, że właśnie ta jego bezgraniczna miłość dla żony powinna go nakłonić do rozwinięcia większej energji. Żyjąc dalej tym trybem, muszą wkrótce zejść na ostatnią nędzę, a o ile znam kobiety, to ostatecznie ona sama będzie mu robiła wyrzuty i nie przyzna nigdy, że była przyczyną jego ruiny. Radziłem mu, ażeby się rozmówił rozumnie z ciocią i przedstawił jej potrzeby radykalnej reformy całego domu i gospodarstwa. Gdyby mu chciała dopomódz w tej mierze, tem lepiej, w przeciwnym razie zaś radziłbym mu rozstać się z nią jak najprędzej i wyprawić ją samą do Warszawy, a zostać na wsi z żoną i wziąść się energicznie do ratowania majątku. Cóż, kiedy ten mazgaj przerwał mi z westchnieniem, mówiąc że krok taki wywołałby sceny, fatalne dla zdrowia jego żony. Zniecierpliwiłem się znowu i dałem za wygraną, chociaż przyrzekał mi, że zrobi wszystko co będzie mógł, ażeby zastosować się do mojej rady. Ot, szkoda człowieka, ze wszech miar godnego miłości i szacunku.

Mam jeszcze kilku starych znajomych i przyjaciół w tych stronach, których zamierzam odwiedzić, przedewszystkiem zaś poczciwego i kochanego Franciszka Janickiego w Isakowcach od którego powinien bym był zacząć moje wizyty. Jedziemy do niego jutro, jeżeli ciotka Elżusi, panna Tabicka, pozwoli na to, mówiłem ci bowiem, że swata na gwałt swoją siostrzenicę, i że to jest powodem, dla którego skazany jestem na pobyt w żydowskim zajeździe w Starym Konstantynowie. Tymczasem, przyjm kochany doktorze zapewnienie, że jesteś jedynym na świecie człowiekiem, którego bym się ośmielił nudzić tak

długą epistołą, ale masz, czego chciałeś, i nie gniewaj się na starego nudziarza, który Cię tak szanuje i kocha, jak Twój przyjaciel i sługa. Maciej Jeżyński.

IV.

Stary Konstantynów, 2. września.

Otóż jesteśmy znowu z powrotem, pod gościnnym dachem p. Wolfa Mendlowicza, i miło mi donieść ci, kochany doktorze, że pluskwy tutejsze powitały nas z takim ferworem, jak gdyby nas nigdy jeszcze nie widziały. Ostatnich parę dni przepędziłem wcale przyjemnie. Nie potrzebuję mówić ci, że nieoceniony Franciszek przyjął nas po swojemu, z otwartemi ramionami. Trzyma on się doskonale, choć wąs posiwiał tak, że trudno dopatrzyć czarnego włosa. Jest przytem zawsze w najlepszym humorze, a jego córki także. Jest ich cztery, i Elżusia zyskała w nich cztery serdeczne przyjaciółki. Między nami mówiąc, to już i najmłodszej pannie Janickiej czasby było wyjść za mąż, o starszych nie wspominam wcale. Cóż, kiedy tu na Wołyniu pełno samych wielkich panów, a całe Isakowce mają wszystkiego pięćset morgów obszaru. Nic to więc nie pomoże, że dziewczęta przystojne, i miłe, i wychowane na dobre gospodynie — muszą zostać staremi pannami. Przytem, Franciszek sam jest jak wiesz także dobrym gospodarzem, ale co ma, to rozda.

Psuje on całą okolicę, urzędników, żydów, i chłopów. Z tymi ostatnimi szczególnie, postępowanie jego jest niemal

nierozsądnem, i trudno uwierzyć, jak ich rozpuścił. Oto masz przykład: Nazajutrz po moim przyjeździe wstaliśmy rano i już o piątej siedzieliśmy obydwaj na ganku. Wtem zjawia się polowy, Fedko, i przyprowadza cztery konie, które zajął w owsie, gdzie się przez całą noc pasły pod nadzorem swojego właściciela, szanownego pana Mikoły, jednego z najznakomitszych gospodarzy w Isakowcach. Szkoda była znaczna, i zrobiona rozmyślnie i jakkolwiek wiesz, kochany doktorze, że nie jestem tyranem dla moich poddanych, byłbym nie pofolgował w takim wypadku.

— Widzisz, widzisz, mój Mikoła, powiada p. Franciszek — zrobiłeś mi szkodę! Musisz ją teraz zapłacić!

Mikoła, stojący przed gankiem w pokornej postawie, i skrobiący się w głowę, jął na to wywodzić obszerne skargi, że mu żona chora, że ma wkrótce wydawać córkę za mąż, i musi ją „odwianować“, że mu wzięto syna w rekruty, przy ostatniej brance, i nie ma się kim wyręczyć w gospodarstwie — co, nawiasem powiedziawszy, było kłamstwem wierutnem, bo p. Mikoła ma zięcia, a nadto, trzyma dwóch parobków. Zresztą, gdyby i tak było, to jeszcze nie racja paść konie na pokosach, z całą świadomością złego uczynku. Ale Mikoła był za młodu na służbie u Franciszka, gdy ten jeszcze służył pod Napoleonem, i może broić na to conto, co mu się podoba.

— Dobrze już, dobrze, odparł p. Franciszek, niech ci Fedko odda konie, ale musisz mu dać pięć kopiejek, bo te mu się należą.

Nowe narzekania, i nowe skargi ze strony p. Mikoły, na ten temat, że sól niezmiernie droga, i że nie widział nawet

jednej kopiejki od zimy.

— No, to masz tutaj pięć kopiejek, powiada p. Janicki, idź, i daj Fedkowi. Ale słuchaj i ażebyś pamiętał że nie trzeba robić szkody, musisz mi wyczyścić buty. Idź do oficyn i powiedz Marynie, aby ci je dała.

Mikole oczy świeciły się z radości, ale mimo to idąc do oficyn, ciągle jeszcze skrobał się w głowę, snać z nawyczki. Tymczasem Franciszek poszedł zająć się gospodarstwem, a ja przechadzałem się po podwórzu, paląc fajkę — którą NB. Franciszek sam nakłada swoim gościom i sam zapala. Przypadkiem, znalazłem się przed oficyną, i zaglądnąłem przez okno. Nie zgadłbyś nigdy doktorze, co tam zobaczyłem. Oto, na ławce, siedział Mikoła, i czyścił jeden but, a obok niego p. Franciszek, z zakasanemi rękami, i z szczotką w ręku, tarł i glancował drugi but, aż się iskry sypały. Widocznie, żal mu się zrobiło, że zadał tak ciężkie pensum Mikole i poszedł podzielić się z nim robotą. Jest to, jak mówią literaci, fakt, który nie potrzebuje żadnego komentarza.

Ma się rozumieć, że w Isakowcach nie widać sług w liberji, ani też zbytniego srebra, lub porcelany. Do stołu usługuje pokojówka, ale i wszystkie cztery panny, jako też pani Franciszkowa, są przytem w ciągłym ruchu, Pilnują one dojenia krów, kuchni, prasowania bielizny, a mimo to znajdują czas na czytanie książek, umieją Pola i Zaleskiego na pamięć, grają na fortepianie, haftują, dziergają, jednem słowem, cudowne i nieocenione dziewczęta. Cudzoziemcy, którzy tyle złego mówią i piszą o nas, powinniby zaglądnąć do Isakowiec, a dowiedzieliby się nie jednej rzeczy, o której

nie mają wyobrażenia. Między innemi wartoby, ażeby zobaczyli, jak wygląda równouprawnienie wyznań, pojęte z szlachecka. Franciszek ma arendarza starego Abramka, który już pół wieku siedzi na karczmie za wsią, i którego ojciec siedział tam jeszcze za króla Sasa. Abramko pełni przytem na gruncie funkcję dozorcy przy młockach. W piątek wieczór przechadzaliśmy się po dziedzińcu z Franciszkiem, gdy nagle mój przyjaciel począł niespokojnie rozglądać się po niebie, jak gdyby się obawiał burzy. Niebo było czyste i nic w powietrzu nie usprawiedliwiało jakichkolwiek obaw; mimo to zwrócił się Franciszek przyspieszonym krokiem ku gumnu. Zaciekawiony, co z tego będzie, poszedłem za nim.

— Abramku! — zawołał — idźcie już do domu, szabas zachodzi!

Tak więc ten gorliwy katolik, który rano i wieczór odmawia długie pacierze, i nigdy mszy nie opuści w niedzielę, uważał, czy nie zaświeciła gwiazda Sabbathu na niebie, ażeby Abramko nie zaniedbał swoich praktyk religijnych. Słuszność nakazuje mi skonstatować, że Abramko odwzajemniał tę uwagę. Jechaliśmy raz do miasteczka, gdzie Franciszek miał jakieś sprawunki. Abramko siedział na koźle obok woźnicy. Wśród żywej rozmowy, którą zajęty byłem z moim przyjacielem, spostrzegłem, że Abramko z uszanowaniem zdejmuje kapelusz. W ślad za nim, Franciszek także odkrył głowę, i zaczął po cichu odmawiać: Anioł Pański. Oglądnąłem się i ujrzałem, że mijaliśmy właśnie cmentarz, na którym znajduje się grób familijny Janickich. Abramko zdejmuje

zawsze w tem miejscu kapelusz, nawet gdy sam jedzie do miasteczka.

Janicki nie żyje oczywiście z magnatami, z którymi sąsiaduje, powtarzając ciągle, że to „za wysokie progi na jego nogi“. Pomimo tej pokory, której mu — entre nous soit dit, i ku większemu nawet zdegenerowanej szlachty naszej zaszczytowi — nikt za dumę nie bierze, używa on właśnie w kole tak przezemnie nazwanych magnatów, niezwykłego miru. Nikt o nim nie mówi inaczej, jak tylko, o „zacnym, poczciwym panu Franciszku“, nikt w sporach sąsiedzkich nie postawi przeciwnego arbitra, skoro druga strona wybrała p. Janickiego do rozsądzenia sprzeczki, a ilekroć Franciszek pojawi się na jakim większym zjeździe, hrabiowie i marszałkowie biegną w zawody podawać mu rękę, i zapewniać go o swojej przyjaźni i estymie. Kochany Doktorze! Przypatrzywszy się p. Franciszkowi, i jego sąsiadom, i całej tej różnej szlachcie we wszystkich ziemiach naszych, nabyłem prawie przekonania, że świat nie jest tak złym, jak gdzieindziej. Skoro miljon rubli srebrem czuje się zniewolonym uchylić czapki przed jednym złotym polskim, dla tego, że ten złoty przedstawia pewną większą moralną wartość od owego miljona carskich rubli, to jeszcześmy nie zginęli, i jeszcze mnie, Maciejowi, wolno być optymistą, zwłaszcza w tej chwili, gdy mi nie dokucza reumatyzm, i gdy doświadczyłem właśnie zbawiennego skutku rozwalniających pigułek, które byłeś łaskaw przysłać mi, szanowny i nieoceniony doktorze, i które postawną Cię kiedyś na równi z Śniadeckimi, z Kołłątajem i ze wszystkiem, co mamy największego,

najlepszego i najrozumniejszego w Polsce!

Nie wyobrażaj sobie wszakźe, by życie w Isakowcach było monotonne, i pędzone wśród samego tylko dojenia krów, czytania poezji, lepienia pierogów, recytowania pieśni Janusza, prasowania „półkoszulków“, i brzdąkania na fortepianie. Przeciwnie. P. Franciszek umiał dla siebie i dla córek swoich utworzyć osobne, nieznane gdzieindziej towarzystwo, złożone z posesorów, rządców, dyrektorów fabryk, proboszczów, wikarych, koleżskich registratorów, aptekarzy, lekarzy, i innych ludzi tego rodzaju, wraz z ich rodzinami. Bawiłem u niego pięć dni, i cała ćma tego wołyńskiego tiers-état przesunęła się przed mojemi oczyma. Mogę Cię zapewnić, że nie nudziłem się ani chwili, że dowiedziałem się o wielu rzeczach, o których ani mi się śniło, i że nauczyłem się niejednej rzeczy, o której u nas na fizyce, ani na logice[1] nie ma mowy. Nabyłem owszem przekonania, kochany doktorze, że myśmy tu na naszej błogosławionej i bez pracy rodzącej ziemi, zanadto przesiąkli tą naszą przeszłością czysto idealną, w stal zakutą, szlachecką i rycerską i temi naszemi wyobrażeniami o wyłącznie oraczem, żeńczem i młockarskiem posłannictwie naszem, i że musimy koniecznie, pod względem moralnym i materjalnym, iść z duchem czasu, i postępem ludzkości, albo — nas nie będzie, i kto inny siędzie, na tej naszej grzędzie! Przebacz, vir doctissime, te koszlawe rymy.

Między ludźmi, których poznałem, bądź w domu u Franciszka, bądź też robiąc wraz z nim wizyty jego przyjaciołom i znajomym, był i jest przecież jeden

posesionatus et bene natus. Jest to p. Modest Dynicki, młody chłopak, liczący zaledwie lat dwadzieścia sześć, przystojny jak posąg grecki, właściciel trzech folwarków pod samym Starym Konstantynowem, szlachcic, o ile wiem, herbowy, ale ma dwie wady. Najpierw, nie wiedzieć po co kończył szkoły i kwalifikował się w Warszawie na adwokata nie mając grosza przy duszy. Dopiero gdy mu stryj umarł i zostawił mu majątek źle zagospodarowany, osiadł na wsi i został hreczkosiejem. Powtóre moja siostra cioteczna a ciotka Elżusi, panna Tabicka, która ze złości na wszystkich tutejszych krewnych naszych mieszka w Starym Konstantynowie i w dworku swoim na przedmieściu zjada jednę dziesiątą część swoich przychodów, wynoszących sześć tysięcy rubli srebrem i resztę swojego chudego ciała, raczyła zaszczycić p. Modesta Dynickiego kilku tęsknemi spojrzeniami, które on — przeoczył. Skutkiem tego panna Eufrozyna Tabicka nie zna gorszego prostaka, mniej „szarmanckiego“ kawalera i w ogóle okropniejszego potwora, nad p. Dynickiego, a natomiast nie ma u niej milszego chłopczyny nad p. Ewarysta Borczyńskiego, urodzonego z hrabianki Kawkowskiej i posiadającego w dwudziestym piątym roku życia 180.000 rs. długów. Ale mama jego, pani z Kawkowskich Borczyńska, nauczyła swego jedynaka, jak ma szanować stare panny tego rodzaju, co Fruzia, i objawjać im rozmaite sentymenta, trzymając je wszakże przytem na „wodzy“ i nie kompromitując się bez potrzeby. Ztąd pochodzi, że Fruzia swata na gwałt Elżusię z p. Ewarystem, i że ja jestem gryziony przez pluskwy u Wolfa Mendlowicza w Starym Konstantynowie, ażeby

ułatwić pierwsze zbliżenie się przyszłej młodej pary na herbatce u panny Tabickiej — i że w tej chwili uśmiecham się jak złośliwy Mefistofil do ćwiartki papieru, na której to piszę, bo wiem, lub czuję, że p. Dębicki pokrzyżował wszystkie plany kochanej siostruni i że serduszko Elżusi jest jego najpotężniejszym sprzymierzeńcem w tym kierunku. Ale, o tem potem — nateraz prowadzę dalej chronologiczną relację, którą kochanemu doktorowi przyrzekłem i wracam do Isakowic.

Franciszek, jak każdy szlachcic tej kategorji, ma swojego „rezydenta“, ale jakiego! Jest nim porucznik Olgierd Lizdejko (sic), domyślisz się, że Litwin z rodu. Czytałeś może w odpisach najnowszy utwór Mickiewicza, pt. „Pan Tadeusz“. Jest tam klucznik sypiącego się już w ruiny zamku, którego rysopis odpowiada najzupełniej postaci, o której mówię. Figura długa i chuda, jak Don Kiszot, głowa niby łysa, a niby nie łysa, bo cała poorana głębokiemi bruzdami, od szabel hiszpańskich, angielskich, murzyńskich, niemieckich, węgierskich i Bóg wie jakich. Sztywny, jak gdyby kij połknął, gra expedite w marjasza, w warcaby i w szachy, wystrzela na dwadzieścia kroków i na pięć strzałów każde oczko z piątki pikowej, łamie na kolanie rubla i zawraca oczy w słup, ile razy ujrzy kobietę, a nie potrzeba go długo prosić, by w takim wypadku zaśpiewał: „Oto strumyk i dolina“. Posiada chabetę, liczącą lat około 24 i przed 12 laty przyjechał na niej w odwiedziny do Franciszka z Oszmiańskiego, gdzie ma jakiś kapitalik ulokowany u kuzyna. Wierzy tylko w stare bogi litewskie, w Napoleona Wielkiego i w swoje pistolety, a z całą tą

wiarą i z chabetą swoją nie wyjechał jeszcze z Isakowiec, od czasu jak przybył z Oszmiany, bo go Franciszek nie puścił z domu. I ten nieszczęśliwiec wpadł w oko kochanej siostruni Tabickiej i jest o tyle winniejszym od Dynickiego, że zawracał przy niej oczy aż do białek i śpiewał: „Poszła Filis do ogrodu“. Później pokazało się, że te objawy uczucia tyczyły się jakiejś Dolores czy Mercedes w okolicy Saragosy, a nie naszej Fruzi i ztąd wybuchła w dworku na przedmieściu Starokonstantynowskiem taka nienawiść do porucznika Lizdejki, o jakiej nawet Furje piekielne wyobrażenia nie mają. Swoją drogą porucznik nie z jednego pieca chleb jadł i nie z jednej lufki kule mu koło uszu gwizdały, a tem samem konwersacja jego jest arcyzajmującą i czuć przytem, że jest to w gruncie człek lany ze spiżu, mimo skaz na mózgownicy, które mogą być od piorunu... Ale co tam mówić wiele! Wiesz, że mam słabość do Litwy i do Litwinów.

Otóż rozmawialiśmy i bawiliśmy się przez czas jakiś z Franciszkiem i z porucznikiem to przyjmując gości i wyciągając każdą z naszych pięciu panien na popis z tego co umie, to znowu rozpamiętując każdy swoją dolę i dolę ogółu. Przekonałem się, że Bronio Wojnowski mimo nieszczęsnych swoich stosunków domowych i słabości charakteru co do osobistych przymiotów swoich znajduje powszechne uznanie i ma przyjaciela prawie w każdym rozumnym i uczciwym człowieku. Franciszka znasz, Dynickiego i porucznika naszkicowałem ci na prędce, otóż masz ich zdanie o Broniu.

1o Franciszek: — Et i wsadzić babę do kojca, a ciotkę

puścić na paszę w wysokie góry, gdzie pochyłe drzewa: Szkoda chłopca, zmarnował wiek młody na pulpetach i tupetach (cytuję dosłownie). Jabym do krocset tysięcy...

— Wypucował jeden but za Mikołę, dodałem w tej chwili, i Franciszek zmięszał się i zamilkł,

2o Porucznik: — Jaaabym nieeezniósł teeego rodzaju fooochów baaabskich braciaaaszku! Kto wiiidział tak się poddaaawać kobieeecie! Braciaaaszku!

— „Już księżyc weszedł, psy się uśpiły“ — zanuciłem pod nosem i porucznik Lizdejko ustał nagle w swoim ferworze oratorskim, który w ogóle nie trwa nigdy zbyt długo.

3o Dynicki Modest. — Nie powiedział ani słowa, tylko podkręcił wąsa i popatrzył na Elżusię, która się zarumieniła.

— Ha, jak trafi kosa na kamień! zauważyłem niby w odpowiedzi porucznikowi.

Elżusia poszła oglądać muszkatelki i fuksje w doniczkach na oknie, a tym razem zarumienił się p. Modest Dynicki.

Jeżeli prawdą jest, że stare panny posiadają coś nakształt *une seconde vue*, to Fruzia w tej chwili musiała w Starym Konstantynowie dostać czkawki albo migreny. Popsuła nam wszakże dalsze eksperymenta socjalno-psychologiczne pani Franciszkowa, która nie domyślała się niczego i nie wiedziała nic o swatach panny Tabickiej, ani o jej egzystencji, a nadmieniła tylko, że według relacji Abramka, marszałek Czarnokoński zapadł znowu bardzo ciężko na swoją podagrę.

— Ach, stary Czarnokoński! zawołałem, czy żyje

jeszcze?

— Żyje, Bogu dzięki, odparł Franciszek, tylko zdziwaczał ze szczętem...

— No, proszę kogo! — były moje słowa. Toć on z moim nieboszczykiem stryjem, byli pierwszymi uczniami nowo założonej szkoły krzemienieckiej, za ś. p. Tadeusza Czackiego! Zgrzeszyłbym, gdybym nie uściskał kolan staruszka.

— Masz rację Macieju, huknął p. Franciszek. Starszym ludziom, którzy widzieli lepsze czasy od naszych, należy się cześć i ukłon! Jeżeli chcesz, to jutro zaglądniemy do Szaleniec odwidzić marszałka. Tylko powiadam ci z góry, że dziwak, i że porucznik ma jakąś ansę do niego.

— Mniejsza o to, pojaadę taakże! zawołał porucznik.

I tak, nazajutrz rano, ruszyliśmy w odwiedziny do starego Czarnokońskiego, zostawiając młodzież w Isakowcach, dokąd, jeżeli się grubo nie mylę, zabłądził po obiedzie na koniu p. Modest Dynicki, przepraszając, że go tak daleko zaprowadziły charty, ścigające zająca. Biedna Fruzia ze swojemi swatami, i ze swoim ledwie — nie — hrabią Ewarystem!

Był czas, kiedy szczekanie psów i trzaskanie harapów głuszyło wszelkie ludzkie głosy w dworze szalenieckim — obecnie jest tam nierównie ciszej, bo marszałek od kilku lat cierpi mocno na podagrę, i musi kazać wozić się kozakowi z pokoju do pokoju. Zamiast psiarni, trzyma kapelę, nie o wiele od tamtej muzykalniejszą. Składają ją chłopi odkomenderowani do muzyki za pańszczyznę, i zostający pod kierownictwem wysłużonego trębacza od dragonów.

Produkcje ich rozpoczynają się o czwartej rano, bo marszałek sypiać nie może. Jednocześnie wszyscy goście otrzymują kawę, każdy w swoim pokoju, a już o ósmej następuje drugie śniadanie, złożone z kilku potraw mięsnych, i z koncertu. O dwunastej obiad i koncert, o czwartej po południu kawa i koncert, o ósmej wieczór kolacja i koncert, a ponieważ każdym razem siedzi się dwie godziny przy stole, więc masz razem ośm godzin jedzenia i muzyki na dobę, a oprócz tego jeszcze, udając się na spoczynek, znajdujesz w swoim pokoju kurczę na zimno, wędliny, butelkę wina, i zegar grający co kwadrans, ażebyś w nocy nie zginął z głodu lub z pragnienia dysharmonji. Co do mnie, oszalałbym albo bym umarł, gdyby mi przyszło żyć dwie doby tym trybem, ale marszałek je, pije i słucha z największą przyjemnością. W ogóle nie znać na nim skutku zbawiennych usiłowań przedsięwziętych przez Czackiego i jemu podobnych, ku jak najlepszemu, swojego czasu wychowaniu młodzieży. Długoletni szereg uczt i polowań zagłuszył dobre ziarno, zasiane w Krzemieńcu, gusta p. Czarnokońskiego są dość trywialne, i tylko czasem błyśnie w rozmowie jego ślad wytwornego wychowania, jakie otrzymał. Są to skutki zdziczenia, nie przypadkowego, ale rozmyślnie do niedawna i teraz jeszcze, krzewionego tu za kordonem, pod pozorem „tężyzny“ i opozycji przeciw cudzoziemszczyźnie i francuzczyźnie.

Największą przyjemnością marszałka jest płatanie figlów, które czasem bywają bardzo grube, i których ofiarą pada najczęściej kapitan-sprawnik, codzienny prawie gość w Szalenicach, sławny żarłok i opój, a przytem jak mię

zkądinąd zapewniono, człowiek zły i niebezpieczny. Sprzymierzeńcem marszałka jest jego lekarz nadworny, dr. Rzeźnicki, o którego zdolnościach medycznych nie mam najlepszego wyobrażenia, jakkolwiek może być nieco prawdy w tem, co mi mówił o moim stanie, a mianowicie, że mi grozi wodna puchlina. (W oryginale dopisano w tem miejscu, ręką Dra Ludwikowskiego, bardzo wyraźnie: Błazen! Przyp. A.). Przy kolacji w dzień naszego przybycia, rozpoczął marszałek także operacje wojenne przeciw porucznikowi Lizdejce, którego oryginalna powierzchowność wyzywa formalnie żartownisiów w szranki. Ale porucznik nie każdemu pozwala brać się na fundusz, i z największą flegmą umie napastnikowi nieraz dać taką odprawę, która mu odbiera wszelką ochotę do dalszych ataków. Tak było i z marszałkiem. Było to coś nakształt sceny między młodym kondlem a starym brysiem: tamten szczeka, skacze, podbiega to z przodu, to z tyłu, a ten nie zważa niby na niego, ale gdy figle przebierają miarę, warknie tylko raz i kondel ucieka, chowając ogon pod siebie. P. kapitan sprawnik Ropuszyński, był natomiast bardzo wdzięcznym celem pocisków. Najpierw jakkolwiek jest czerwony jak ćwik i ma peryferję, która wystarczyłaby na dwa powiaty, a nie tylko na jeden, marszałek i doktor wmawiali w niego, że jest okrutnie mizernym i że konsumpcja patrzy mu z oczu. Doktor przypisywał to niedostatecznemu pożywieniu, a marszałek, zdjęty niby chrześcijańską litością, powtarzał ciągle: Jedzże jedz, moja rybko; słyszysz co mówi doktor; a szkoda by mi cię było! Dość, że „rybka“, po części ze strachu, a po części z

wrodzonej żarłoczności, pochłonęła większą część olbrzymiego szczupaka, całą ćwiartkę baraniny, parę bifsztyków i dwie kaczki dzikie, krzyżówki, wraz z półmiskiem rydzów dynstowanych w maśle. Teraz dopiero doktor zmienił taktykę, i jął wywodzić i popierać to różnemi łacińskiemi frazesami, jak szkodliwą rzeczą są rydze. P. Ropuszyński zbladł i zapytał Rzeźnickiego, dlaczego nie ostrzegł go pierwej.

— Sądziłem, że jesteś pan przyzwyczajony do tej potrawy, — była odpowiedź — w istocie bowiem, człowiek może przyzwyczaić się do wszystkiego, jak tego dowodzi przykład Mitrydata, który zjadał codziennie dwa funty arszeniku, a około półtora funta wroniego oka na wieczerzę. Ale przyzwyczajał się on powoli do tej strawy, podczas gdy p. kapitan sprawnik, nie będąc przyzwyczajonym, już po jednym funcie arszeniku doświadczyłby takich następstw, jak po półmisku rydzów.

— Ten Mitrydat — wyjąknął sprawnik, zieleniejąc z przerażenia — czy nie należał on do wolnodumców?

— Ma się rozumieć, że należał, odparł marszałek. Przesiedział czterdzieści lat w katordze i byłby znowu broił dalej, ale wyszedłszy na wolność, zjadł raz kaczkę krzyżówkę na noc i zapomniał zakąsić wroniem okiem w skutek czego umarł. Ale doktorze, na miłość boską, patrz no co się dzieje ze sprawnikiem! Doktorze, ratuj człowieka, on ginie!

Doktor rzucił się do puzderka z lekarstwami, posłano po cyrulika do miasteczka, kazano grzać kataplazmy i gotować ziółka i p. Ropuszyńskiego wpół żywego ze strachu

zaprowadzono do łóżka. Teraz dopiero przyszła kolej na porucznika.

Ledwieśmy się pokładli zbudził nas okropny hałas na podwórzu i w ogrodzie. Zerwałem się, i wyglądnąwszy przez okno zobaczyłem mnóstwo ludzi, biegających tędy i owędy w największem zamięszaniu, z konewkami, latarniami, hakami i drabinami. Wyrozumiałem z ich gwaru, że ogień powstał w pałacu, ubrałem się więc pospiesznie i wybiegłem przez drzwi parterowe do ogrodu, gdzie zastałem już Janickiego, marszałka, doktora, klucznicę i fraucymer mocno przerażony. Zapytałem gdzie porucznik i wtenczas dopiero przypomniano sobie, że dano mu pokój na piętrze. W tej samej chwili pojawił on się w oknie i począł wołać, że ktoś mu zabrał rzeczy i zamknął na klucz drzwi od jego pokoju, i co znaczy cała ta wrzawa? Ktoś ze służby krzyknął, że palą się schody, prowadzące na górę, i że prawdopodobnie złodzieje musieli wkraść się do pałacu, skoro nie ma rzeczy porucznika. Położenie jego było fatalne, bo okno było bardzo wysoko, zważywszy, iż dwór szaleniecki z tej strony zbudowany jest na suteranach, w skutek czego pierwsze piętro jest właściwie drugiem. Marszałek kazał przystawić drabinę, i po niej, wśród silnego wiatru i zimnej nocy, sprowadzono porucznika na dół przy świetle kilku latarni. Ma się rozumieć, że długa i chuda jego postać, w rzymskim stroju wyglądała arcypociesznie u szczytu drabiny, ale byliśmy wszyscy uradowani, że jest ocalonym, i tylko marszałek robił półgłosem różne satyryczne uwagi, w skutek których fraucymer począł się chichotać i rozpierzchł się ostatecznie

na wszystkie strony. Z tą samą litością, jaką poprzednio okazał dla sprawnika, marszałek jął teraz rozpaczać nad porucznikiem, że się zaziębi i wołać w głos by mu dano jakie okrycie. Wszyscy rzucili się wykonać rozkaz, ale ponieważ klucznica sprawiła się najprędzej, więc ubrano porucznika w jej salopę w której prezentował się tak, że nawet ja i Franciszek, nie mogliśmy wstrzymać się od śmiechu. Nakoniec dano znać. że udało się stłumić pożar i że rzeczy porucznika znalazły się, porozrzucane w sieni. Wróciliśmy tedy pod dach i niebawem posnęliśmy na nowo. Dopiero nazajutrz przy śniadaniu, dowiedziałem się, że cała ta scena była farsą, umyślnie wyprawioną dla porucznika. On sam zbadał to już poprzednio i miał minę, która nie wróżyła nic dobrego. Na razie wszakże, odwrócił ktoś uwagę naszę zapytaniem, co porabia sprawnik? Nie widziałem go podczas popłochu w nocy i wydelegowano doktora, aby poszedł zobaczyć, czy jeszcze żyje. Niebawem powrócił on i prosił nas, ażebyśmy z nim razem poszli odwiedzić pacjenta, który jest umierającym. Zastaliśmy p. Ropuszyńskiego wpół ubranego, siedzącego na fotelu, z tym samym wyrazem przerażenia w jego czerwono-zielonem obliczu jaki widzieliśmy wczoraj.

— Co ci jest, moja rybko? Czy na prawdę jesteś chory!

— O, o, panie marszałku, wołał sprawnik, trzymając w każdej ręce klapę od kamizelki i usiłując ją zapiąć. Było to niepodobieństwem, kamizelka bowiem nie schodziła się z przodu o pół łokcia.

— Matko najsłodsza! zawołał marszałek, jakie okropne wzdęcie!

— To są skutki rydzów, jak mówiłem, zauważył doktor. Jest to wypadek bardzo fatalny! Bardzo niebezpieczny!

— Ależ ratuj go, doktorze, ratuj! Pocóż, do miliona djabłów, uczyłeś się medycyny?

— Niech pan będzie łaskaw nieużywać djabłów, panie marszałku, jęczał pacjent — ja... ja... jestem grzeszny człowiek... katolik...

— Aha chcesz księdza! Marcin, w galop po księdza do Konstantynowa!

— Jeżeli tylko w czas przyjedzie, mruknął doktor.

— No, ale miłosierdzie boskie jest bez granic, zauważył marszałek. Zresztą nie możesz mieć zbyt ciężkich grzechów na sumieniu kapitanie?

— Ach, panie marszałku, powtarzał sprawnik, usiłując ciągle jeszcze zapiąć kamizelkę, ale nadaremnie. Człowiek jest ułomnym, bardzo ułomnym!

— Co, czy brałeś może... łapowe, hę?

— Oj brałem, brałem! Boże miej litość nademną!

— Robiłeś fałszywe donosy, czy tak?

— Litości, litości! Robiłem! Tu sprawnik, jak gdyby chciał ukryć przed sprawiedliwością Niebios czarne wnętrze swojego serca, szarpał i ciągnął swoją kamizelkę, z rozpaczliwem natężeniem, ale zapiąć jej nie mógł, owszem zdawała się co raz węższa.

— I kradłeś może kazienne pieniądze? — ciągnął dalej nielitościwy marszałek. — Przyznaj się, a Bóg ci przebaczy!

Nie potrafię opisać dalej tej komicznej spowiedzi, dosyć że sprawnik przyznał się powoli do wszystkich swoich

sprawek i niektóre z nich opowiedział nawet szczegółowo. Nakoniec marszałek zapewnił go, że czeka go na tamtym świecie długa bardzo katorga i wezwał ponownie doktora, by ratował ciało, bo co do duszy nie ma żadnej nadziei — poczem kazał się zatoczyć z fotelem do swego pokoju, gdzie wybuchł spazmatycznym śmiechem. Prawdę powiedziawszy, śmieliśmy się wszyscy, podczas gdy doktor dokazywał cudów w swoim zawodzie i po niejakim czasie oznajmił nam że pacjent jego przyszedł do siebie, i że już nie potrzeba księdza. Nadzwyczajnej tej kuracyi dokonały nożyce, za pomocą których rozpruto bez wiedzy sprawnika podszewkę kamizelki, którą poprzednio zszyła była klucznica.

Po śniadaniu, marszałek prosił nas do ogrodu, gdzie zasiedliśmy w pięknej altanie nad szerokim dość, ale nie bardzo głębokim strumykiem, przerzynającym park i tworzącym opodal dużą sadzawkę. Gospodarz bawił nas dykteryjkami, w których nie źle naśladuje Radziwiłła Panie Kochanku, ja i Franciszek słuchaliśmy ich z nabożeństwem, podczas gdy porucznik, mocno zadąsany, przechadzał się po alejach i wkrótce znikł nam z oczu. Nagle, wpada on pomiędzy nas z wyrazem największego przerażenia w twarzy i woła:

— Uciekajcie! Ratujcie się! Pies wściekły! Franciszku leź na drabinę!

W istocie nie było rady, żaden z nas bowiem nie miał nawet laski w ręku. Salwowaliśmy się tedy obydwaj z Franciszkiem na drabinę, która stała przyparta do wysokiej jabłoni, ale marszałek daremnie usiłował pójść za naszym

przykładem, a na nieszczęście, odesłał był przed chwilą kozaka, który go woził w fotelu. Tymczasem strach ma wielkie oczy i dobre nogi, marszałek zapomniał na moment o swojej podagrze, zerwał się i skoczył w potok, z zadziwiającą szybkością i lekkością. Przypuszczał on zapewne, równie jak wielu innych, że pies dotknięty wodowstrętem nie pójdzie do wody, co zresztą jest mylnem, jak się sam przekonałem. Na nieszczęście dno potoku było kamieniste, p. Czarnokoński utknął i skąpał się jak długi, w zimnej wodzie, podczas gdy porucznik pobiegł dalej do pałacu. Trwało to sporą chwilę, nim wołanie nasze zaalarmowało służbę i ta przybiegła na pomoc swemu panu. Kozacy wyciągnęli marszałka z wody, a wraz z nimi zjawił się porucznik i wśród wykrzykników pełnych troskliwości o zdrowie naszego gospodarza, otulił go tą samą salopą, która jemu w nocy za okrycie służyła, w dodatku zaś, włożył mu na głowę watowany kaptur, także należący do klucznicy. W tym stroju odwieziono marszałka do pałacu, gdzie rozebrano go, położono do łóżka i napojono gorącym ponczem. Z miny porucznika można było domyśleć się że historja o psie wściekłym miała w sobie tyle prawdy, co nocny nasz alarm ogniowy. Przyznasz, że zemsta była słuszną, ale srogą, marszałek mógł bowiem odchorować swoją kąpiel w sukniach równie dobrze, jak porucznik swoją nadpowietrzną wyprawę w koszuli. Na szczęście żadnemu nic się nie stało, a nadto, marszałek przyjął tego „byka za indyka“ z bardzo dobrą miną i porucznik, na odjezdnem, musiał jeszcze przyjąć w prezencie od niego bardzo cennego konia, na znak zgody. Gospodarz nie chciał

nas puszczać, ale ja, po obiedzie, pod żadnym warunkiem nie chciałem zostać dłużej w Szalenicach, obowiązując się prowadzić jeszcze dzień jeden tamtejszy tryb życia. Nadmienię tylko że sprawnika, który tymczasem zmartwychwstał, karmiono znowu dalej, jak na zarznięcie i że nie sprzeciwiał on się temu wcale, rydzów już tylko jeść nie chciał, mimo wszelkich przedstawień marszałka i doktora, że należy „wybić klin klinem“!

Zabawiliśmy jeszcze parę dni u Franciszka. Z powrotem temu roztrzepańcowi Józefowi, sprzykrzyło się siedzieć w koczu, wylazł więc na kozieł i wziął lejce od Wasyla. Protestowałem, ale daremnie, przeciw tej zmianie woźnicy, wiesz bowiem doktorze, jak nienawidzę nieostrożnej jazdy — cóż kiedy paniczowi podobało się koniecznie narażać nas na skręcenie karku. Ma się rozumieć, że zjeżdżając w jednem miejscu z góry, nie pozwolił zahamować powozu, orczyk uderzył jednego z biczowych koni po nogach, cała czwórka dała z nami drapaka i zamiast na most, zjechaliśmy do rowu i złamaliśmy dyszel. Szczęściem nikomu nic się nie stało i tylko było niepodobieństwem jechać dalej. Potrzeba było wyprawić Wasyla do najbliższej wsi po pomoc. Za kwadrans ujrzeliśmy pędzącą ku nam dziarską czwórkę i ze zgrabnej dorożki, którą ciągnęła, wyskoczył — oczywista rzecz, tenże sam p. Modest Dynicki, o którym wspominałem poprzednio i którego poznaliśmy u Franciszka. Pokazało się, że jesteśmy na jego terytorjum, i że niepodobieństwem było nieprzyjąć uprzejmych jego zaprosin. Tym sposobem znaleźliśmy się niespodzianie w Młynówce, w gościnie u kawalera. O ile

uważałem, Elżusia wcale przyjemnie była dotknięta tym przypadkiem, a gdybym jej nie znał lepiej, miałbym ochotę podejrzywać ją, że namówiła brata, ażeby nas wywrócił właśnie w tem miejscu. Tak zaś jak rzeczy stoją, podejrzywam tylko pp. Modesta i Józefa o spisek na mój dyszel. Już to, jeżeli p. Dynicki chciał, ażebyśmy zobaczyli jego gospodarstwo, to wyznać muszę, że miał się czem pochwalić. Nie widziałem w całym kraju pól lepiej uprawionych, ani piękniejszego inwentarza, ani porządniejszych zabudowań gospodarskich — a masz wiedzieć, że p. Modest objąwszy przed czterema laty majątek po stryju, zastał tylko same rudera, długi, charty i konie wierzchowe. Folwarki były oddane w zastaw lichwiarzom, za bezcen, dwór bez drzwi i bez okien, stawy, przynoszące obecnie parę tysięcy rubli przychodu, zapuszczone od niepamiętnych czasów, a poprzedni właściciel nie mógł dostać w miasteczku funta herbaty, albo i mięsa na kredyt. Obecnie, jak powiadam, jest to jeden z najlepiej zagospodarowanych majątków w całej Polsce, p. Dynicki, gdyby chciał, mógłby w Berdyczowie, albo w Żytomierzu pożyczyć 50.000 rubli na słowo, bez kwitka, mieszka jak w raju, wśród prześlicznie utrzymanych ogrodów i sadów, a w domu u niego jak w pudełku, wszystko schludne i pełne elegancji. Wyobraź sobie, że wszystkich tych cudów dokonał młody człowiek, który kształcił się na adwokata i zaledwie kiedy był na wsi, i porównaj to z majątkiem biednego Bronia Wojnowskiego, który, jak to mówią, zęby zjadł na gospodarstwie!

Jest w Młynówce stelmach domorosły, który podjął się

naprawy mojego koczu i wcale dobrze wywiązał się ze swojego zadania, ale, bodaj czy nie z polecenia swojego pana, nie kwapił się z nim jakoś, pod pozorem, że musi iść gdzieś aż o dwie mile po suchy i twardy materjał. Dość, że dopiero trzeciego dnia rano ruszyliśmy do Starego Konstantynowa, gdzie nas obiecał odwiedzić p. Dynicki, ale dotychczas jeszcze nie był. Natomiast czyhała tylko na nasze przybycie panna Tabicka i ledwie mieliśmy czas przebrać się, musieliśmy iść do niej na herbatę, bo przyjechała pani z hrabiów Kawkowskich Borczyńska z synalkiem wcale niepoczesnym drągalem. Pojawił on się w jakimś kraciastym kubraku i w butach ze sztylpami i rozmawiał tylko po francuzku, najwięcej o operze i balecie paryzkim i warszawskim. Przytem bawi się p. Ewaryst z angielska w „bałagułę“, wiecznie kupuje i sprzedaje jakieś wózki i konie, grywa w djabełka i w sztosa i pogardza wszystkimi, którzy robią co innego. Zaraz po pierwszym spotkaniu nastąpiło żwawe starcie między nim a Elżusią, odezwał się bowiem z przekąsem o gospodarskich zabiegach p. Dynickiego, a dziewczyna, powiadam ci, palnęła mu na to taką cycerońską orację o obowiązkach obywatelskich, że nie chciałem wierzyć własnym uszom i dotychczas nie wiem, zkąd jej się wzięła ta swada. Józio zawarł z nią widocznie przymierze zaczepno odporne, a ponieważ cała francuzczyzna pana Ewarysta nie zdoła pokryć ignoracji, którą jest formalnie nadziany i naszpikowany, więc kłuli go oboje nielitościwie i byliby mamunię i ciocię Tabicką doprowadzili do desperacji, gdyby zacne te matrony zdolne były domyślić się o czem

mowa. Nazajutrz ledwieśmy powstawali, pojawiła się panna Tabicka w naszym hotelu, i rozpoczęła otwarcie swoje swaty. Elżusia rozpłakała się, Józio wyszedł z pokoju, trzasnąwszy drzwiami, a ja także dość zły w głębi duszy, starałem się, o ile mogłem być dyplomatą i uspokoić wszystkie strony. Musisz wiedzieć, że Tabicka objawiła zamiar zapisania całego swojego majątku Elżusi, chociaż więc ta ostatnia ma wcale ładny posag i chociaż p. Borczyński byłby najgorszą partją pod słońcem, uważałem za rzecz stosowną nie zrażać kochanej ciotuni od razu i dopiero po jej odejściu uspokoiłem moją siostrzenicę, że ani sam nie myślę narzucać jej męża, ani też nie pozwolę jej teroryzować nikomu. I oto już od dwóch dni powtarzają się ciągle te same sceny, musimy bywać na objadach i na herbatach u panny Tabickiej i na przemian przyjmować jej wizyty i słuchać jej perswazji. Tymczasem Dynicki nie pokazuje się i Bóg wie, jak się to wszystko skończy i jak z tego wybrnie Twój, kochany doktorze stroskany przyjaciel

Maciej Jeżyński.

V.

Stary Konstantynów, 10. września 18...

Nie uwierzysz, kochany konsyliarzu, ile ci wdzięcznym jestem za radę, daną mi listownie. Od tygodnia, stosując się do niej, nacieram się co rana zimną wodą, poczem

odbywam pół godzinną przechadzkę; a przekonany jestem, że tylko te środki higieniczne, w połączeniu z Twojemi nieocenionemi pigułkami, utrzymują mię przy zdrowiu i przy życiu, w obec tego wszystkiego, co wycierpiałem, i cobym Ci chciał opowiedzieć, jeżeli zdołam. Dotychczas wszakże w głowie mi się mąci, gdy o tem wspomnę, i nie wiem, jak zacząć. Już to, nie urodziłem się na romansopisarza, i nie potrafię odtworzyć efektów, które mną wstrząsnęły do gruntu; i dla tego też opowiem Ci te straszne historje moim suchym, kronikarskim, chronologicznym stylem.

Nazajutrz tedy, po wyprawieniu ostatniego mojego listu, nie spałem całą noc z powodu, że Reb Wolf Mendlowicz, mój gospodarz, wydawał córkę za mąż, i że cała zgraja żydów i żydówek śpiewała majufes i tańczyła: łachteridibimbambum do samego wschodu słońca, przy rzępoleniu rozmaitych skrzypców, basetli, i cymbałów jeszcze straszniejszych od nadwornej kapeli marszałka Czarnokońskiego. Około siódmej rano zaczęły wjeżdżać i wyjeżdżać z hotelu rozmaite fury, i wszczął się cały hałas piekielny, towarzyszący przebudzeniu się małego miasteczka. Dodaj do tego pluskwy, pchły i zły materac, a pojmiesz, że ledwie około dziesiątej udało mi się zamrużyć oczy. Zacząłem śnić wcale błogo — byłem ponoś u siebie w domu, Wicenty w białym fartuchu prezentował mi świeżo złowione przepyszne pstrągi, i radziliśmy właśnie z Tobą, kochany konsyliarzu, czy kazać je usmażyć, czy tylko odgotować, i podać na stół ze świeżemi, młodemi kartofelkami, gdy nagle wpada ten niezdara Semko, i budzi

mię doniesieniem, że „pan hrabia“ Borczyński pyta się, czy „jaśnie pan“ przyjmuje. Pierwszym objawem przebudzenia się z mojej strony było to, że Semko za „pana hrabiego“ dostał jaśkiem w głowę, a za „jaśnie pana“, ogromny żydowski lichtarz o cal tylko rozminął się z jego uchem. Nie sposób odzwyczaić go od tej głupiej lokucji. Swoim trybem wszakże, stał on jak mur koło drzwi, i powtarzał doniesienie o przybyciu „pana hrabiego“ z wizytą. Nie było rady, potrzeba było wstać i przyjąć gościa. Kazałem go prosić do drugiego pokoju, i ubrałem się, jak mogłem najprędzej. Ściśle rzecz biorąc, mogłem go przyjąć w szlafroku, ale trzymam się tej zasady, że w obec ludzi ladajako wychowanych, należy zachować formy towarzyskie z jak największym rygorem. Wchodzę tedy, ubrany od biedy, i zastaję pana „hrabiego“, Ewarysta, gwiżdżącego w oknie jakąś szansonetkę parysko-wołyńską. Spostrzegam, że jest niezwykle strojnym, włożył bowiem zamiast butów trzewiki, zamiast kraciastego kubraka, kraciaste dolne ubranie, a po wierzchu miał jakiś rajtfraczek, kusy wprawdzie, ale przynajmniej czarny. Toaletę tę uzupełniało szkiełko na ogromnie szerokiej tasiemce, wraz z miękkim popielatym kapeluszem i angielskim szpicrutem.

— Witam pana u siebie, rzekłem.

— Bon jour, Monsieur Jeżyński.

— Niechajże pan raczy usiąść!

— O, merci! Je n’aime pas á etre assis.

— Mniejsza o to. Wybaczy pan wszakże, że jako człowiek wiekiem znacznie starszy, zrobię Mu jednę

uwagę. Mówię po francuzku, i nie jestem nieprzyjacielem francuzczyzny — najpierw dla tego, że jest to język, którym prawie cały świat przejść można, a powtóre ponieważ broni on nas nieraz od konieczności rozmawiania niemilszym o wiele bełkotem, z kreishauptmanami, gubernatorami i tam dalej. Ale szlachcic, ze szlachcicem, mojem zdaniem,, może kontentować się polską rozmową, i dlatego, jeszcze raz, wybaczy pan, że francuzkiej konwersacji z Nim prowadzić nie będę!

— Tant mieux! Ja także bardzo lubię mówić po polsku. Więc, jak to mówią (tu p. hrabia raczył usiąść) przystępuję do rzeczy. Czy nie mógłbyś pan powiedzieć mi,... e... tego jakie są właściwie interesa majątkowe panny Elżbiety... comment s'appelle-t-elle?... no, tej siostrzenicy pańskiej?

Daję Ci słowo, kochany doktorze, że nie zmieniłem ani jednego wyrazu w tem wiekopomnem przemówieniu p. Borczyńskiego, i że przytaczam je tak wiernie, jak stenograf. Daję Ci także słowo, że tylko zerknąłem, czy nie ma gdzie w pobliżu mojej laski, ale uspokoiłem się natychmiast i odzyskałem więcej zimnej krwi, niż było potrzeba. Nota bene, drugie drzwi pseudo-salonu p. Wolfa Mendlowicza były odchylone i prowadziły do pokoju, w którym ulokowana była Elżusia ze swoją pokojówką, a wiesz, że za nic w świecie nie zrobiłbym awantury w obecności kobiet. Tylko wargi drgały mi tak, że zaledwie zdołałem mówić.

— O ile mi wiadomo, panie Borkiewicz (powiedziałem umyślnie Borkiewicz, choć wiedziałem, że nazywa się Borczyński), o ile mi wiadomo, siostrzenica moja nie

proponowała panu przystąpienia do żadnej spółki kupieckiej lub fabrycznej, by pana mogły interesować jej stosunki finansowe. Ale — ponieważ mowa o pieniądzach, więc czy nie mógłbyś pan powiedzieć mi, ile pan właściwie masz długów, monsieur... ah, çà, comment vous appelle-t-on?

— To jest... ja właśnie chciałem... bo to, panna Tabicka... nie, ale po co obwijać rzecz w bawełnę... ja przyszedłem... je suis venu... moja mama... elle est née comtesse Kawkowska... ja... ja proszę o rękę panny Elżbiety Wielobrodzkiej, a do pana, jako do opiekuna...

— A, to co innego, to do mnie nie należy! Elżusiu, — zawołałem, zbliżając się do drzwi — czyś już ubrana?

— Już, wujciu!

— No, to chodź tutaj. Oto jest p. Ewaryst Borczyński. Jak widzisz, ma rajtfrak, szpicrut i szkiełko; i oświadcza się o twoją rękę. Jesteś pod moją opieką, ale chodzi tu o twój los, więc musisz odpowiedzieć sama za siebie. Czy przyjmujesz? Czy może żądasz czasu do namysłu? Mów dziecko? Milczenie, i wielka bladość w obliczu dziewicy.

— No, mów, Elżusiu!

— Józiu, Józiu! — jęknęła z płaczem dziewczyna, która rzeczywiście słyszała całą moją rozmowę z p. Ewarystem, i teraz rzuciła się na szyję brata, wchodzącego w tej chwili do pokoju.

— Józiu! krzyknąłem drżąc z gniewu, wyrzuć tego d... za drzwi! Nim wymówiłem ostatnie słowo, rajtfrak, szpicrut, szkiełko, kapelusz, francuzczyzna i wszystko co było panem Ewarystem, leciało przez korytarz żydowski ku

bramie, jak kula armatnia. Na nieszczęście, w kurytarzu, pocisk ten uderzył prosto, w nos Bińci Tabickiej, której ucho już od kwadransa znajdowało się u dziurki od klucza, i która teraz comme de raison, zemdlała od razu, bez awizacji.

I oto koniec pierwszego aktu dramatycznych moich cierpień. Wyobraź sobie, doktorze, Bińcię Tabicką leżącą na poprzek kurytarza, mnie, Elżusię, jej Franię, Józia, Wasyla, Semka, cztery żydówki, dwóch miszuresów, i konewkę wody — a będziesz miał tableau, jakiego i w paryskich teatrach pokazać ci nie potrafią. Najsmutniejszą wszakże stroną całej tragedji było dla mnie, że Józio, przerażony zemdleniem ciotki, i powstrzymany w pierwszym impecie, nie miał czasu dopaść p. Ewarysta i powiedzieć mu do ucha, mojego zdania o całej tej sprawie.

Akt drugi rozpoczął się oczywiście trzeźwieniem Bińci, odszukaniem jej pieska, i długiemi wylewami czułości między temi dwiema istotami, rozumiejącemi się nawzajem, ale przez resztę świata nierozumianemi. Gdy już Fiduś przestał skomleć, a Bińcia mdleć, wszystko skrupiło się na mnie. Pokazało się, po francuzku i po polsku, że jestem najobrzydliwszym i najstraszniejszym z tyranów, że Elżbieta, ginąc z miłości dla p. Ewerysta, boi się wyznać to z obawy, iż mógłbym zamknąć ją na wieki do klasztoru, że zagradzam przyszłość jedynemu z dwojga dzieci nieboszczki rodzonej mojej siostry, że Borczyński i Kawkowscy byli na świecie, kiedy jeszcze o Jeżyńskich i Wielobrodzkich nikt nie słyszał, i kiedy jeszcze król Ćwioczek zaledwie w pierwszych majtkach chodził, i że

Bińcia w ogóle tego wszystkiego nie przeżyje, ale umrze bez żadnej delaty, tu zaraz, na połamanej i podartej kanapie p. Wolfa Mendlowicza. Frania (której Bińcia darowała była przed dwoma tygodniami starą czarną suknię jedwabną i szal pomarańczowy) rozszlochała się i zaczęła spazmować, Elżusia beczała już od dawna, a ja i Józio patrzyliśmy na siebie, jak winowajcy. Już to Bronio Wojnowski ma słuszność, że łzy kobiece mogą skonfundować człowieka z kretesem. Co powiesz na to, że przez moment zdawało mi się, że źle pojąłem całą sytuację, i że Elżusia, kto wie, czy nie byłaby przyjęła deklaracji p. Borczyńskiego, gdyby nie moja niechęć do tego młodzieńca? Zacząłem już nawet ekskuzować się, i plótłem Bóg wie co, a Bińcia rezonowała coraz głośniej i potężniej, gdy w tem, los przyjazny, sprowadził — p. Modesta Dynickiego. Trudno było rozprowadzać dalej sceny familijne w przytomności obcego człowieka, a zresztą, Elżusia jakoś tak nagle z andante lacrimoso wpadła w zwykłe adagio, a z adagio do allegro, i Bińcia tak prędko wyniosła się do domu, że odzyskałem równowagę umysłu, i poleciłem Semkowi, by jako elew Wicentego stanął przy rondlach i garnkach, i zaimprowizował obiad, albowiem mamy gościa, i nie pójdziemy dzisiaj do panny Tabickiej...

Ale to dopiero koniec drugiego aktu!

Dynicki zabawił u nas przeszło godzinę, poczem oddalił się, obiecawszy przyjść na objad o drugiej. Teraz dopiero miałem czas do spokojnej refleksji i począłem żałować, że nie miałem go pierwej, bo zaczęło mi się zdawać, że postąpiłem sobie nieco za sangwinicznie i z p. Borczyńskim

i z temi zaprosinami na obiad. Elżbietka przerwała mi ten rachunek z mojem sumieniem, okrywając moje ręce pocałunkami, i powtarzając z łkaniem, że jestem dobrym, kochanym wujaszkiem, któremu całe życie winna będzie wdzięczność. Możesz sobie wyobrazić, albo i nie, że byłem zdumiony tym wylewem uczucia, nie pojmowałem bowiem z początku, o co chodzi. Potrzeba było dłuższej indagacji, ażeby się dowiedzieć, że Elżbieta nie miała sama odwagi sprzeciwić się cioci Bińci i że nadto, z oględnego mojego sposobu wyrażenia się, podczas kilkudniowych swatów, powzięła była mylną opinię, jakobym sprzyjał konkurom p. Ewarysta. Była więc w rozpaczy, że jej przyjdzie wyjść za mąż w brew jej woli; ale „miała niesłuszność, bo powinna była wiedzieć, że złoty i nie wiem już jaki wujaszek, nie dopuści do tego, aby miała być nieszczęśliwą całe życie“. Jakie to biedne są dzieci bez matki, a szczególnie dziewczęta! Wszak gdyby nie nadnaturalna głupota p. Borczyńskiego, mogło się wszystko tak ułożyć, jak tego chciała Bińcia, i Elżusia była by się dała zaprowadzić do ołtarza, nieprzymierzając jak cielątko do jatek!

— Hm, hm, moje dzieci — rzekłem nie bez szczerej skruchy — pokazuje się, że ja stary od kilku dni robię same głupstwa. Najpierw, nie wiedzieć po co bawiłem się w dyplomację z Bińcią, bo mi nadmieniła, że chce ci zapisać swój majątek...

— Ja nie potrzebuję jej majątku! — przerwała mi Elżusia energicznie.

— Wiem, wiem o tem, moje serce, i dlatego powiadam, że niepotrzebnie dyplomatyzowałem i nabawiłem cię

strachu. A następnie, niepotrzebnie uniosłem się wobec tego Borczyńskiego i obszedłem się z nim po grubijańsku. Powinienem był dać odprawę ostrą, ale w delikatniejszej formie.

— On się tam właśnie zna na delikatności! zawołał Józio.

— Im mniej się zna na niej, tem dotkliwiej byłby ją uczuł. Ha, cóż robić, stało się, choć źle się stało. A i to także ponoś nie dobrze, że prosiłem p. Dynieckiego na obiad, tu w oberży. Gotowe ztąd powstać jakie plotki.

— Ależ wujciu, on nas tak gościnnie przyjął w Młynówce! I, o! jak to dobrze, że mi wujcio przypomniał obiad! Myślałam o tem już pierwej, że trzeba będzie pójść doglądać Semka bo Bóg wie, co on tam nagotuje!

Z temi słowami wybiegła do kuchni. Możesz wiedzieć konsyljarzu, że Semko jest wzorowym kuchtą, i że nie raz doświadczyliśmy tego w ciągu naszej podróży, a nigdy Elżusi nie przyszło na myśl stać nad nim i zaglądać do jego rondlów, aż dopiero teraz, kiedy p. Modest miał być na obiedzie. Uśmiechnąłem się na tę myśl i powiedziałem do Józia, że nie przypuszczam, ażeby jego siostra po sześcioletnim pobyciu na pensji we Lwowie mogła dać jakie pożyteczne instrukcje Semkowi w jego obecnym kuchennem posłannictwie. Józio rozśmiał się także i fizjonomje nasze wyrażały jak najlepszy humor, kiedy naraz drzwi się otworzyły i stanęła w nich, z rękami wpartemi w boki, Bińcia Tabicka.

— A pięknie, bardzo pięknie! Zrobić burdę karczemną, ubliżyć damie i śmiać się potem do rozpuku! Potrzeba w

istocie wychować się między opryszkami w Karpatach, ażeby zdobyć się na takie bohaterstwo!

— Bińciu, Bińciu, uspokój się, albo wejdź przynajmniej do pokoju, bo jeszcze się cały Stary Konstantynów zbiegnie tutaj, jak na jakie widowisko. Proszę cię siostruniu!

— Nie siostruniaj ty mię, obejdzie się bez tego, niech przynajmniej ludzie nie wiedzą, jaką mam godną parentelę! Cha cha! Wiem ja już wszystko, sprowadziliście tutaj tego jakiegoś skrybenta z Warszawy i chcecie mu sprzedać dziecko mojej siostry! Wiem ja, wiem, takie sprawki wychodzą zawsze na wierzch, jak oliwa! Pan Dynicki proszony jest na obiadek — ale, poczekajcie! Franciszka! Franciszka!

— Słucham pani, odrzekła Frania.

— Tutaj jest moja waza i czajnik i dwa talerze głębokie, a trzy płytkie. Ażebyś mi to wszystko oddała natychmiast mojemu człowiekowi, który czeka w bramie. P. Dynicki może jeść z miski, a nie z mojej porcelany. Słyszysz co ci mówiłam?

— Słucham pani.

Byłem zły, jak sto djabłów, ale usłyszawszy ten wyrok srogiej zemsty, popatrzyłem na Józia i obydwaj parsknęliśmy homerycznym śmiechem. Tego tylko jeszcze brakowało. Tabicka przyskoczyła do mnie jak furja, z zaciśniętemi pięściami. Na szczęście nie jestem tak małodusznym jak sąsiad Bronia, p. Mleczyński, i wytrzymałem ten atak nie mrugnąwszy okiem.

— Powiedz-że mi acani przynajmniej, czego chcesz ode mnie? — zagadnąłem spokojnie.

— Acani! zapiszczała — mocny Boże, on mię nazywa acani!

— No, skoro nie siostrunia, to acani.

— A ty... ty, ty... acan!

— Nie mam nic przeciwko temu.

— Macieju! zawołała, zmieniając nagle ton jak organista zmienia rejestr w organach. — Macieju! Bracie miej litość nademną! Czy godzi się tak postępować z siostrą, czy masz ty serce!

— Ależ tu nie chodzi o serce, tylko o dwa talerze głębokie, a trzy płytkie!

— A to nic, że obszedłeś się tak okropnie z synem najlepszej mojej przyjaciółki, że skompromitowałeś mię śmiertelnie, bo przecież ja ją zapewniłam, że Ewaryst będzie przyjęty i że czekacie tylko na deklarację!

— A wiesz ty jak mu się udała ta deklaracja? I czy wiesz, że Elżusia go nie chce?

— Elżusia go nie chce! A od czegoż ty jesteś mężczyzną i opiekunem? Zresztą, jeżeli Elżusia nie chce, to dobrze, nie dostanie ona kopiejki z mego majątku.

— Nie bardzo jej tam to potrzeba. Ma ładną wioskę, i sześćdziesiąt tysięcy ztr. w austrjackich cwancygierach pełnej wagi. Bardzo to zresztą pięknie z twojej strony, że chciałaś przyczynić się do zapłacenia długów p. Borczyńskiego, ale mogłaś to zrobić nie narażając Elżusi na takie zamęzcie.

— Powiadam ci że Ewaryst jest najlepszą partją na Wołyniu!

— W takim razie, czemu go nie zatrzymasz dla siebie?

Anim się spodziewał, jaki czarodziejski skutek wywoła ta uwaga, o której nie potrzebuję dodawać, że nie była zrobioną na serjo. Bińcia nagle usiadła na kanapie, spuściła skromnie oczy i szepnęła, jak pensjonarka:

— W istocie... Borczyńska wspominała mi o tem parę razy.. ale.. jest zawsze pewna różnica wieku...

— No, jest tam jakaś różnica (i w istocie jest, o całych 35 lat, ale tego nie uważałem za stosowne nadmieniać), ale czy podobna dobierać małżeństwa tak, ażeby zawsze pan młody i panna młoda byli w jednym wieku? Oto np. ja, gdybym się chciał żenić, wziąłbym osobę o dwadzieścia lat młodszą odemnie i wcaleby mię nie raziła ta różnica. To samo może się stać w odwrotnym stosunku. (Tu Józio nie mogąc zapewne dłużej zachować miny serjo, wyszedł z pokoju).

— To bardzo rozsądne zdanie! Pragnęłabym, ażeby cię Borczyńska słyszała, ona ma bardzo wiele szacunku dla ciebie i żałuje zawsze, że ma tak mało sposobności pomówić z tobą.

— Przy najbliższej sposobności nie omieszkam wyłuszczyć jej moje poglądy w tej materji. Ale, à propos, możebyś została na obiad z nami?

— Nie mogę, prosiłam Borczyńską do siebie. Drogi, kochany bracie (tu rzuciła mi się na szyję), prawda że się gniewasz?

— Ja? A to czego?

— To przyjdziesz na herbatę dziś wieczór?

— Jeżeli mi tylko mój reumatyzm pozwoli.

— Przyjdziesz, przyjdziesz! Do widzenia ale z

pewnością! Ale, słuchaj — z Borczyńską potrzeba bardzo zręcznie... tak, z nienacka... une fois qu'une idèe la frappe, można liczyć na nią. Do widzenia! do widzenia!

I lekko jak podtatusiały sylf, wydreptała z pokoju.

Otóż masz koniec trzeciego aktu i całej jednej komedji, a początek nowej. Uwolniwszy zaledwie Elżusię od konkurów p. Ewarysta, otrzymałem oficjalną nominację na swata panny Tabickiej!!!

Obiad był wcale dobry, lepszy niż można go mieć w podróży. Szkoda, że mając głowę przepełnioną swatami Bińci, i myśląc ciągle o tem, jakby to zrobić, ażeby czemprędzej być o sto mil od niej, popsułem młodym ludziom humor wzmianką, że jesteśmy na wyjezdnem ze Starego Konstantynowa. Dynicki zamyślił się widocznie, a Elżusia zapytała mię skwapliwie, czy nie odwiedzimy jeszcze raz pp. Janickich w Isakowcach. Odparłem, że zmuszony jestem odmówić sobie tej przyjemności, bo niepodobieństwem jest najeżdżać szlachcica takim taborem, złożonym ze czterech sług i siedmiu koni. Widokrąg zakochanych zachmurzył się tedy jeszcze bardziej, gdy w tem prawdziwy deus ex machina, pojawił się sam p. Janicki Franciszek.

Sprowadzała go nowina równie niespodziewana jak smutna. Pani Wojnowska, którą nie tak dawno zostawiłem w najlepszem zdrowiu, umarła po kilkudniowej chorobie, wyobraź sobie, na zapalenie mózgu! Bronio w szalonym żalu po niej stracił zupełnie głowę — obowiązkiem przyjacielskim było pojechać natychmiast do niego, pocieszyć go i pomódz mu ile możności. Stanęło tedy na

tem, że pojedziemy, ja z Franciszkiem, a Józia i Elżusię p. Dynicki odwiezie do Isakowiec, pod warunkiem, że towarzyszyć im będzie tylko Frania i że moje konie zostaną w mieście. Tak to jeden i ten sam wypadek temu sprawić może niewymowną boleść, a tamtemu radość i uciechę. Podczas gdy biedny Bronio pogrążony był w smutku, p. Modest i panna Elżbieta doświadczali wprost przeciwnego uczucia, a ja także rad byłem, że wymknę się Bińci. Nie jestem nawet pewnym, czyli śmierć pani Wojnowskiej nie wydała mi się zaraz w pierwszej chwili ciężkim wprawdzie, ale bardzo mądrem zrządzeniem boskiem. Dosyć, że rozjechaliśmy się o czwartej popołudniu, młodzież w jednę stronę, a my starzy w drugą.

Tragiczne wypadki opowiedziane piórem namaszczonego poety, w pięknej, uchu schlebiającej formie, mogą mieć wielką wartość dla pragnącego silnych wrażeń amatora, ale amatorem tego rodzaju nie bywa zwykle nikt, kogo sama rzeczywistość zdolną jest poruszyć i wstrząść do głębi. Nie wiem, czyli w słowach tych moich nie dotykam jakiej wielkiej prawdy, lub nieprawdy psychologicznej, lub estetycznej — niechaj sobie nad tem Niemcy głowy łamią, ale zauważyłeś zapewne kochany doktorze, że dwa najnieczulsze pod słońcem narody, t. j. Anglicy i Niemcy posiadają w piśmiennictwie swojem największe arcydzieła nowoczesnej tragedji — dzieła Szekspira, Getego i Szylera, podczas gdy wrażliwi Francuzi, Włosi i my Polacy wznosimy się na równy szczebel z tamtymi w rodzaju „podniosłym“ tylko tam, gdzie nie ma okropności, gdzie groza sprawia wprawdzie

dreszcz, ale nie budzi wstrętu. Ażeby się jaśniej wytłumaczyć, powiem ci, że mojem zdaniem potrzeba nie mieć nerwów i nie znać w życiu łez, ani prawdziwego smutku, ani rzeczywistego cierpienia, ażeby napisać lub wysłuchać z lubością i zadowoleniem, np. Króla Leara albo Fausta[2] mówię napisać lub wysłuchać, bo przypuszczam, że tworzenie sprawia tyle przyjemności co duchowe połykanie utworu, a ponieważ widziałem Anglików i Niemców chciwie połykających strachy tragiczne i rozkoszujących się w ich smaku, więc przypuszczam, że i stwórcom równie miłą rzeczą musiało być warzenie tej strawy. Wszak sam nieraz zwracałeś moją uwagę, jak rozkosznie Wicenty oblizuje się i uśmiecha, gdy wnosi na stół owe zrazy zawijane, w których przyrządzaniu jest niezrównanym mistrzem: Przypuszczam, że taki liryk, tragik, czy romansopisarz, równie jest zadowolonym ze swojego fabrykatu, i winszuję mu jego konstytucji fizycznej, czy psychicznej, ale — nie posiadam jej niestety. Mógłbym opisać szeroko i długo, choć niezręcznie — kłótnie ze staremi babami, głupstwa szlacheckie, złe drogi, bole brzucha, wesela, imieniny, chrzciny i t. d. — ale gdybyś mię zabił, nie potrafiłbym zdać ci sprawy z śmierci choćby najobojętniejszej mi osoby, z żalu osób pozostałych, z pogrzebu, i z tego wszystkiego, co towarzyszyło tym faktom. Dla tego też nadmienię tutaj tylko krótko i węzłowato, że zastaliśmy Bronia w stanie zupełnej prawie bezwładności umysłowej i fizycznej, i tak przygnębionego stratą, którą poniósł, że dziki zwierz byłby się ulitował nad nim. Z początku udzieliło się to i nam, tj. mnie i

Franciszkowi, ale, naturalnie, łatwiej nam było opamiętać się i zebrać zmysły. Zarządziliśmy tedy, co było potrzeba, w ten sposób, że jeden z nas na przemian siedział przy nim, i tulił go jak dziecko do piersi, a drugi tymczasem zajmował się pogrzebem, gospodarstwem, Henryczkiem i ciotką. Niechaj ci jeden szczegół wystarczy, ażeby ci dać wyobrażenie, jak dalece przyjaciel nasz potrzebował tej opieki. Miał nieboraczysko jeszcze jakichś paręset rubli w swojej kasie — sumę tę, po części w workach, a po części w bumażkach, schwycił do rąk, gdyśmy go oderwali od katafalku, i zaprowadzili w najodleglejszy kąt jego „pałacu“. Usiłował ciągle przeliczyć ruble, majacząc coś o jakimś rzeźbiarzu w Rzymie, w którym nieboszczka ongi odkryła nowego Fidiasza, i o tem, że ów signiore musi jej koniecznie wykuć nagrobek z marmuru, bo — nieprzeżyłaby tego, gdyby jej kto inny pomnik postawił. Liczył i liczył, rubli na złote, złote na skudy, a te znowu na liry, i odwrotnie — w tem licho nadnosi jakiegoś sługusa w pończochach, który donosi, że dla pomocników murarza, który przygotował grób na cmentarzu, potrzeba — nie pamiętam już, dwa, czy trzy ruble, i tyle a tyle kopijek. Bronio wybucha nagle w płacz nadludzki, rzuca się na szyję swojemu fagasowi, i zaczyna go błagać, że wprawdzie nie ma już ani złamanego grosza, ale że daje mu oto zegarek (nb. złoty, genewski) szpinkę brylantową, dwa sygnety, i kandelaber srebrny ze złota, a resztę odsłuży mu, choćby miał drwa rąbać, ale niech zaspokoi murarza i niechaj mu powie, że wszystko, wszystko będzie zapłacone. Domyślam się, że ten sam jegomość, który przed południem bez

ostatecznej racji i bez najmniejszego taktu wyprosił za drzwi p. Borczyńskiego, wykonał w tej chwili akt pozasądowej rumacji na osobie wygalowanego interpelenta, i że obydwaj z Franciszkiem wzięliśmy się wkrótce na serjo do uporządkowania interesów Bronia. Najpierw, na własną rękę, dałem consilium abeundi cioci i labusiowi. Henryczka, pod opieką poczciwego bardzo wikarego z pobliskiej parafji, wyprawiłem do Żytomierza, gdzie umieszczony jest pod dobrą opieką i będzie chodził do szkoły. Począwszy od marszałka, a skończywszy na groomach stajennych, rozpędziłem całą służbę na cztery wiatry, płacąc każdemu jego trzymiesięczne „zasługi“. Nakoniec, posłałem po porucznika Lizdejkę, który jest niezłym agronomem, a niezrównanym organizatorem, przełożyłem go nad wszystkiemi folwarkami, ekonomami i pisarzami, zaasygnowałem mu u Halpera w Berdyczowie tyle, ile potrzeba na połatanie najbardziej krzyczących dziur w gospodarstwie, i sprowadziłem prawnika, przy którego pomocy zrobiliśmy układy z najdokuczliwszymi lichwiarzami. Niech nie zapomnę dodać tutaj, że p. Modest Dynicki, przybywszy na pogrzeb, został z nami, i że był nam nad wszelki wyraz pomocnym, radą, czynem i kasą. Ściśle rzecz biorąc, on wszystko zrobił, on przepłoszył lichwiarzy żydowskich i chrześciańskich, on obliczył, ile Bronio ma długów, jakie płaci procenta, i ile potrzeba w pierwszej chwili, ażeby wprowadzić interesa Wojnowskiego na lepszą nieco drogę. Pokazało się, że wystarczy pięćdziesiąt tysięcy rubli, pożyczonych na 4 od sta, ażeby oczyścić majątek w 15 latach. Daliśmy po połowie, ja i

Dynicki, i potrzeba jeszcze tylko przeprowadzenia niektórych formalności prawnych, a z tej strony przynajmniej będzie spokój. Obecnie zabraliśmy Bronia z sobą i wieziemy go do Isakowiec, a p. Modest został z porucznikiem, ażeby mu dać wskazówki co do zasiewów ozimych i pomódz przy zakupnie inwentarza.

Na tem mógłbym skończyć list niniejszy, pisany w drodze, znowu u p. Wolfa Mendlowicza, gdybym ci, kochany konsyljarzu nie był winien końca komedji z Bińcią Tabicką i z jej swatami. Obróć kartkę, i przygotuj się na niespodziankę nielada.

Oto przed chwilą nieoceniona siostrunia wpadła tutaj jak piorun i zażądała kategorycznie, ażeby ktokolwiek z nas — ja, Franciszek, Józio, Dynicki, albo porucznik, wyzwał na pojedynek i zastrzelił pana Ewarysta Borczyńskiego, urodzonego z hrabianki Kawkowskiej. O ile mogłem wyrozumieć z jej impetycznego i niekoniecznie współczucie budzącego opowiadania, nie czekała ona wcale, ażebym rozpoczął przeznaczone mi funkcje swata, ale w mojej nieobecności i ku wielkiemu mojemu ukontentowaniu wypełniła je sama. Otóż, czy pan Ewaryst nie podziela filozoficznych moich zapatrywań na nierówności wieku w małżeństwie, które zyskały tyle uznania ze strony Bińci, czyli też brała się do rzeczy zbyt obcesowo, czyli nakoniec, potomek po kądzieli Kawkowskich obliczył, że 120.000 rubli, które ma Bińcia, nie wystarczą na zapłacenie jego 180.000 długów, podczas gdy wystarczyłyby z czubkiem, gdyby były dodane do posagu Elżusi i do tego, co jej przypadnie „po najdłuższem

życiu“, dosyć, że zrobiła się jakaś awantura, o której wiem tylko tyle, że w jej ciągu pan Ewaryst i rodzicielkę swoją, hrabiankę przecież Kawkowską i Bińcię, nazwał obiedwie... zadrżyj konsyliarzu! nazwał je „staremi babami!“ Bardzo to niepięknie z jego strony, ale powiedziałem Bińci, że nie widzę w tem jeszcze dostatecznej racji, bym miał obarczać sumienie moje zbrodnią zabójstwa i wchodzić w kolizję z kryminałami. Sypnęła mi w oczy czemś na kształt „wyrodka i podłego tchórza“ — ale przynajmniej poszła sobie precz, a tymczasem zaprzęgają już konie i wyjeżdżamy ztąd natychmiast, oby jak najdalej. Tak wzdycha Twój przyjaciel

Maciej Jeżyński.

P. S. Wyobraź sobie: W tej chwili pan Wolf przedłożył mi rachunek, w którym domaga się po 10 kop. za garniec owsa, a po 5 kop. za wiązkę siana. Jak radzisz, czy zapłacić, czy posłać po czastnego prystawa? I nie zapomnij, kochany konsyliarzu, przysłać mi odwrotną pocztą pudełko genjalnych Twoich pigułek. Kończę, bo Wasyl już zajechał.

VI.

Wołoczyska. 20. września.

Drogi doktorze! Nie pisałem dawno, bo nie miałem ani chwilki czasu. Komornik Otyłowski musiał ci donieść, że poleciłem mu wniesienie prośby do forum nobilium w

Stanisławowie, ażeby pozwolono na zamążpójście Elżusi. Domyśliłeś się tedy zapewnie, że pan Modest Dynicki oświadczył się i że nie doświadczył losu p. Ewarysta. Stało się to w Isakowcach i scena była bardzo rzewna, wszystkie panny płakały, nie wiem, czy z radości, że Elżusia ubierze się w czepek, czy z żalu, że p. Modest dostanie żonę. Walny chłopak, nie uwierzysz, jak doskonale zaaranżował interesa Wojnowskiego. Ślub odbędzie się u mnie na św. Katarzynę, która była patronką nieboszczki mojej siostry, a matki Elżusi. Bronio przyszedł już trochę do siebie, wyprawiliśmy go do Żytomierza. Niech się zajmie synem, to go przywoła do życia. Pigułek nie otrzymałem, ale mniejsza o to, za pięć dni będę je miał bezpośrednio z Twoich rąk, najserdeczniejszy z synów Eskulapa. Byłbym zapomniał donieść ci, że Marynia Janicka idzie za mąż, i Hancia także, jedna za dyrektora cukrowarni, a druga za inżyniera architektę. Widocznie to nasz przejazd przez okolicę Starego Konstantynowa wywołał taką skłonność do żeniaczki w kawalerach i tak przychylne małżeństwu usposobienie panien. Tylko Bińcia zrezygnowała stanowczo — na razie przynajmniej. Przypomniała sobie w sam czas, że Józio już anticipando wyraził jej nieukontentowanie p. Ewarystowi, wiesz, wówczas, gdy się tak uniosłem. Otóż sprowadziła chłopca przemocą prawie do Starego Konstantynowa, wycałowała go, zawołała jakiegoś bióroskroba i dwóch świadków i sporządziła testament, na mocy którego Józio jest jej uniwersalnym spadkobiercą. Tem lepiej dla niego, jeżeli panna Tabicka przed śmiercią nie zmieni ostatniej swojej woli, albo dotychczasowego

swego panieńskiego stanu. Jest coś matrymonialnego w powietrzu, dowiaduję się właśnie, że Semko oświadczył swój afekt Frani i że będziemy mieli nie jedno, ale dwa wesela na ś. Katarzynę. Potrzeba będzie wybudować chatę na gruncie obok stawiska, przy drodze do Romanówki i wybrać na oborze jałówkę dla tej młodej pary. Jakie to szczęście, że szaleństwo to nie chwyciło się jeszcze i nie chwyci chyba nigdy głowy Twojego przyjaciela, który podpisuje się tutaj po raz ostatni w tej podróży jako Twój niezmienny

Maciej Jeżyński.

VII.
Epilog.

Podczas gdy „Obrazki“ powyższe wychodziły z prasy, oczekiwałem z biciem serca, rychło mię dosiędną gromy, które zbyt ponoś zuchwale wyzwałem w przedmowie. Obawy moje nie ziściły się i mógłbym śmiało epilog niniejszy zamknąć w kilku słowach, cytując horacjuszowskie: „Exegi monumentum“,[3] gdyby mię nie trapiła myśl, że tu musi koniecznie zachodzić jakiś plagjat, tylko nie wyśledzony jeszcze przez żadnego krytyka. Toć plagjaty są istną plagą, prześladującą ludzkość nie od dzisiaj — i w tej chwili np. przypominam sobie, że owe

przechwałki, któremi Horacy zamyka 3cią księgę swoich pieśni, znajdują się powtórzone niemal słowo w słowo, w zakończeniu „Metamorfoz“ Owidjusza. Ciekawa rzecz, kto kogo okradł, czy Naso Flaccusa, czy Flaccus Nasona. Co się zaś tyczy moich „Obrazków“ o których aż mi miło wspomnieć w tak dystygowanym towarzystwie starożytnych sanskiulotów — otrzymałem dotychczas same tylko wskazówki, że wspomniane w nich osoby i wypadki znane są powszechnie na Wołyniu. Mówiono mi już nawet, jak się nazywał właśnie marszałek Czarnokoński i że go gdzieś Czajkowski opisał, mam kilku znajomych, którzy znali osobiście porucznika Lizdejkę, ciocię Tabicką i nieboszczkę panią Wojnowską, a co najgorsza, zagrożono mi, że ów p. Borczyński, o którym p. Maciej wyraża się niezbyt korzystnie, ożenił się później i ma już dorosłego syna, który mię niezawodnie wyzwie i zastrzeli za to, że ośmieliłem się rodziciela jego „podać do druku“.

[3] Wszystko to, jakkolwiek po części jest nieprzyjemnem, stanowi przecież dowód niezbity, że „Obrazki“ powyższe są oryginalnie wołyńskiemi. Proszę sobie tedy wyobrazić moje zdziwienie, gdy onegdaj wpada mi przypadkiem do rąk książka, ozdobiona na tytułowej karcie swojej oczywistym fałszem, jakoby była drukowaną w Londynie, w r. 1771, a więc, sto siedm lat temu. Książka to nosi tytuł: „The expedition of Humphrey Clinder, by T. Smollet, M. D.“ i obejmuje sporych 25 arkuszy bitego druku — ale z przykrością zmuszony jestem skonstatować, że w tej liczbie znajduje się także dosłowny prawie przekład powyższych czterech arkuszy mojej pracy

literackiej i to prawdziwy przekład, a nie przeróbka bo nie można przecież nazwać przeróbką tego, że ktoś nazwiska polskie i litewskie przetłumaczy na angielskie i szkockie! I o tym to plagiacie Thackeraj w odczytach swoich wyraża się jak następuje:[4]

„Nowela p. t. Humphrey Clinker jest mojem zdaniem, najzabawniejszą powieścią jaką kiedykolwiek napisano od czasu wynalezienia sztuki powieściopisarskiej. Postacie w niej skreślone przez długie jeszcze wieki pobudzać będą Anglików do śmiechu, a z całej książki tryska potok dobrego humoru, niewyczerpany jak źródło Blaududa“ (w Bath).

Słowa te, pochodzące z ust tak kompetentnych, dowodzą, że nie przesadziłem bynajmniej, twierdząc na wstępie, iż „Wędrówki Pana Macieja“ są fragmentem jednego z największych arcydzieł sztuki powieściopisarskiej, ale powtarzam raz jeszcze, że arcydzieło to jest plagiatem, którego sprawca powinien pójść pod katowski miecz krytyki. Dr. Smollet dowiedział się z kądsić, że Jeżyński pochodzi od jeżyny, i dlatego też obywatel ten nazywa się u niego Mathias Bramble. P. Jeżyński jest z Pokucia i chwali „baraninę z połonin“ i pstrągi z Bystrzycy, p. Bramble jest z Walii i chwali baraninę i pstrągi walijskie. P. Jeżyński jedzie na Litwę, p. Bramble do Szkocyi, i chwali ją tak jak tamten Litwę. P. Jeżyńskiego leczy dr. Ludwikowski, lekarz pana Bramble nazywa się dr. Lewis i zawiaduje także domem w jego nieobecności. P. Jeżyński ma reumatyzm, siostrzeńca i siostrzenicę, p. Bramble także. Elżusia wychodzi za mąż za

Dynickiego, a panna Lydia Melford za Dennisona. P. Jeżyński ma siostrę cioteczną, która się nazywa p. Tabicka i pragnie wyjść za mąż, a siostra p. Bramble nazywa się Miss Tabitha i chce także zostać mężatką. Bronio Wojnowski ożeniony jest z panną Tomaszewską, a Mr. Baynard z panną Tompson, zresztą cała historja przeniesiona jest żywcem na grunt angielski, z tą różnicą, że morgi nazwane są akrami, a ruble funtami. Trzech sąsiadów na Wołyniu jest pod pantoflami trzech sąsiadek i wszyscy trzej są na prostej drodze do ruiny — otóż dr. Smollett znalazł trzech skwajrów angielskich, którzy czynią to samo; jak gdyby Anglija mogła ostać się dotychczas i wytargować jeszcze od Turków Cypr, przy takiem gospodarstwie szlacheckiem, dzięki któremu my własnej skóry, od tych, co nas drą, wytargować nie możemy! Ale idźmy dalej. P. Jeżyński spotyka na Wołyniu porucznika Lizdejkę, Litwina, znanego całemu Wołyniowi — więc i p. Bramble robi znajomość z porucznikiem Szkotem, który się nazywa „Lismabago“, ale zresztą podobny jest do tamtego jak jedna kropla wody do drugiej. P. Czarnokoński jest marszałkiem na Wołyniu, a w Anglii został baronetem i pisze się „Sir Bullford“, tylko zamiast sprawnikowi płata figla sędziemu, oczywiście, dosłownie te same figle wołyńskie, które opisuje p. Jeżyński i zakończone tą samą zemstą porucznika. Na Wołyniu, równie jak w całej Polsce, jest zwyczaj, że mężczyźni razem z damami wstają od stołu, otóż u pp. Baynardów Anglicy naśladują w tem Wołyniaków, zapomniawszy, że nie są u pp. Wojnowskich. Jednego tylko p. Borczyńskiego nie tknął mi dr. Smollett — jest to typ tak

specjalnie Wołyński, że publiczność angielska byłaby się przecież połapała z kim ma do czynienia. Abramko p. Janickiego ocalał także jakimś cudem, ale za to pluskwy ze starego Konstantynowa rozgościły się po wszystkich zajazdach angielskich.

Potrzebaż jeszcze dłuższego wywodu, ażeby wykazać, jak okropnie zostałem pokrzywdzonym przez humorystę angielskiego? Czy może mię kto podejrzywać, że raczej ja z mojej strony dopuściłem się rabunku na utworze dr. Smolletta? Powołuję się na fakt notoryczny, że naszkicowane przezemnie postacie są wołyńskiemi, a nie angielskiemi. Zresztą, widziano już wprawdzie nieraz Wołyniaków zanglizowanych, ale zwołyniaczonego Anglika nikt jeszcze nie widział.

Pozostaje mi więc jeszcze tylko, dla uzupełnienia obrony mojej, a raczej oskarżenia, rozprawić się z tą okolicznością, że w istocie wszystkie encyklopedje i podręczniki literatury utrzymują zgodnie, iż dr. Tobiasz Smollett umarł w Liwornie, 21. października 1770 roku, w 51szym roku swego życia. Jest to okoliczność o tyle niedogodna, że sprawia pewną lukę chronologiczną w żelaznym łańcuchu moich rozumowań. Ale opowiem szanownemu czytelnikowi anegdotę, która pozorną tę sprzeczność wyjaśni przez analogję.

Dyrektor P. wykładając w Stanisławowie grekę, czytał zawsze na początku godziny „katalog“, tj. spis uczniów. Ile razy przy takiej sposobności usiłowano wytłumaczyć nieobecność którego z kolegów słabością, albo tem, że rodzice jego przyjechali, lub czem podobnem, dyrektor

powtarzał stereotypowo: „Das ist nur eine Ausrede!“ (to tylko wymówka!) i bez litości notował absencję. Otóż zdarzyło się, że jeden z uczniów, dajmy na to, Iksowski, umarł. Dyrektor czyta katalog i wywołuje jego nazwisko.

— Er ist gestorben! — odzywa się naraz kilkanaście głosów.

— Gestorben, gestorben! — odpowiada p. P. — das ist nur eine Ausrede!

Niechajże sobie dr. Smollett znów drukuje po encyklopedjach, że już dawno umarł; ja w to nigdy nie uwierzę, i spodziewam się, że szanowny czytelnik z grzeczności, pójdzie za moim przykładem. Do Was zaś, bracia literaci, zwracam się na zakończenie z przestrogą: Strzeżcie się plagjatów, jak ognia, i nie wmawiajcie w ludzi, że marszałek Czarnokoński mógł kiedy być baronetem angielskim, a porucznik Lizdejko Szkotem. Nie uwierzycie, jak to boli, w skutek takiego wypadeczku, stać się niegodnym portretu w Dzienniku dla wszystkich. Mam nadzieję, że dr. Smollett nigdy nie ujrzy tam swojej litografji.

1. ↑ Przed laty, gdy gimnazja składały się z 4-rech klas gramatykalnych, a 2 humanitarnych, przejście na uniwersytet stanowiła „filozofja“, której pierwszy i drugi rok zwano, jak w tekście „fizyką“ i „logiką“. P. A.
2. ↑ Przypominam, że pan Maciej Jeżyński żył w epoce, która poprzedziła pp. Coppé, Zola itp. i że przeto nie mógł mieć tak gastronomicznie wykształconego podniebienia czytelniczego, jak szanowna publiczność tegoczesna. P. Autora.
3. ↑ Horacy mówi:
   „Exegi monumentum aere perennius
   .....Quod non imberedax...
   Possit dirnere, aut innumerabilis
   Annorum series...
   Non omnis moriar, multaque pars mei itd. itd.
   Owidiusz zaś:
   ..Jamque opus finivi, quod nec Jovis ira.
   Nec ignis, nec edax poterit abolere vetustas.
   ...Parte meliori mea super omnia perennis astra ferar itd.
4. ↑ The English Hunwuriots, by W. M. Thackeray. Tauchnitz edition, pag. 243.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Jan Lam.*

Ekstaza w Klekotowie.

FRASZKA.

Miasto Klekotów, stołeczne powiatu klekotowskiego i uposażone wskutek tego najrozmaitszemi władzami i dykasterjami, nie należy wprawdzie do rzędu takich kolosalnych mrowisk rodzaju ludzkiego, jak Kołomyja albo Tarnopol, ale ma także swoje zalety. Rozsiadło się ono na wielkiej równinie, malowniczo przerżniętej srebrnym wężykiem bystrego Narwańca, którego nazwa łączy się z piękną legendą ludową, przypominającą powieść o Wandzie. Przed laty bowiem i przed wiekami, kiedy jeszcze nie było rogatek, ani nawet nadzwyczajnego dodatku do podatków, a więc bardzo, bardzo dawno, żył tu młodzian, imieniem Narwaniec. Był on według jednych księciem, według drugich pasterzem. Uroda jego i inne przymioty zjednały mu serce pięknej Marcypanny, o której rękę od trzydziestu lat mnóstwo książąt i rycerzy wstępnym między sobą dobijało się bojem, aż wszyscy polegli i rozlew krwi ustał. Ta tedy dziewica, nie widząc młodziana, ale tylko

poznawszy go z opowiadań, pokochała go mocno i przez posła zawiadomiła go, iż oddaje mu swoją rękę. Bliższych szczegółów swadźby nie pomni tradycja, ale dodaje, że niebawem w świątyni, na pagórku, nad brzegiem rzeki, Narwaniec wiecznym ślubem połączył się z Marcypanną. Otóż gdy wychodzili z świątyni, i gdy mu obyczajem ówczesnym, rumieniąc się, różanych usteczek do pocałunku nastawiła, młodzian zawołał w ekstazie, że takiego szczęścia drugi raz w życiu spodziewać się nie może, a skoro tak, to i żyć nie warto — poczem rzucił się w fale wezbrane powodzią, na jego pamiątkę zaś rzekę nazwano Narwańcem. Tak przynajmniej opowiadają tę sprawę niewiasty klekotowskie, mężczyźni zaś przechowują odmienne cokolwiek podanie, które tu, jako ubliżające płci nadobnej w osobie jednej z najsłynniejszych przedstawicielek milczeniem pomijam. Dla ścisłości historycznej nadmienię tylko, że jakkolwiek ów Narwaniec bezpotomnie zeszedł ze świata, to musiały być linje kolateralne, dotychczas bowiem rodzina Narwańców, bardzo licznie reprezentowaną jest w Klekotowie. Częstą jest tam także i owa ekstaza, w którą wpadłszy utopił się młodzian, ale ja dziś o innej Ekstazie mówić mam zamiar.

Czoło dzisiejszego Klekotowa stanowią oczywiście, starosta i marszałek. Są i inni dygnitarze, ale przy tamtych błyszczą tylko jak złota oprawa około dużych iskrzących się brylantów. Starostą jest hrabia Malowański, ze starej pańskiej rodziny, która może jeszcze za czasów pierwszego Narwańca przybyła w te strony, marszałkiem imć pan Kukurnicki wdowiec podeszłego już wieku, człek stateczny,

aczkolwiek nieco ociężały, co stanowi miły kontrast w obec młodzieńczej żywości hrabiego starosty. Podczas gdy hr. Malowański wyraża się nieraz o członkach wydziału powiatowego: „Jabym tych trutniów kijem porozpędzał“: pan Kukurnicki nie zdobyłby się na spędzenie muchy, któraby siadła na nosie kancelisty starostwa, a gdy mu raz na balu szepnięto do ucha, aby poszedł poloneza w parze z panią aptekarzową, jako żoną naczelnika gminy, odparł flegmatycznie: „Kiedy mi się nie chce!“ Złośliwi krytycy, których jak wszędzie, w Klekotowie nie brak, utrzymują, że p. marszałkowi nigdy nic się nie chce, podczas gdy hrabiemu staroście zachciewa się czasem za wiele. Paszkwile te zostawiam, oczywiście, bez odpowiedzi i w ogóle postanowiłem sobie, nie wdawać się w sprawy tych, którzy rządzą i sądzą w powiecie klekotowskim. Pomijam więc i pogłoskę, która tam podczas mego pobytu krążyła, jakoby pan Kukurnicki miał zostać starostą, a hr. Malowański być wybrany marszałkiem, co niby odpowiadałoby bardziej wzorom z wyższych sfer wziętym — i przystępuję do instytucji, mających mniej związku z polityką.

Przedewszystkiem zasługuje na uwagę w Klekotowie szkoła męzka, która może pochlubić się jedyną dotychczas w całym kraju, a bardzo w swoim rodzaju pożądaną katedrą. Powstała ona tak: Przez długi czas dwóch czy trzech obywateli Klekotowa objawiało jak największe nieukontentowanie ze wszystkiego, co się tam działo. Odznaczał się między nimi niejaki p. Bąbel, który niegdyś kopał wosk ziemny, później był magnetyzerem, jeszcze

później dostarczał szmat do papierni, a obecnie trudnił się zbieraniem składek od ofiarniejszych obywateli na cele dobra ogólnego, które zamierzał popierać potęgą słowa. I w istocie słowo jego było tak potężnem, że słuchając go, rzekłbyś, iż świat cały jest jaskinią łotrów, zdrajców ojczyzny i pijaków. Wyjęci od ogólnego potępienia byli tylko ci, którzy dawali składki, ale gdy tych z każdym dniem ubywało, więc świat stawał się coraz bardziej jednobarwnie łotrowskim. Jakiś czas jeszcze Motio piwowar, stawiany był jako wzór cnoty wobec Moszka, propinatora, który według rozbioru pana Bąbla, zaprawiał piwo odwarem z drzazg orzechowych, ale niebawem gruchnęła pogłoska, że Motio daje rybią trutkę do piwa, a autorem jej był p. Bąbel. Jakiś czas w radzie gminnej klekotowskiej było pięciu sprawiedliwych, ale z niewyjaśnionych powodów liczba ich stajała do dwóch. Jakiś czas p. Narwański pomocnik aptekarza, który nader gorliwie służył muzom i każdą chwilę wolną od kręcenia pigułek, poświęcał na robienie wierszy, albo na pisanie do gazet, był niezrównanie utalentowanym i wzorowym młodzieńcem, którego utwory sam p. Bąbel z wielkim zapałem deklamował, ale skończyło się na tem, że jego, ekspedytora pocztowego i jednego z nauczycieli miejscowych p. Bąbel ogłosił trójką hultajską, która pijaną wrzawą dręczy senne ucho nocy, a w dzień z oczyma blachmanem zaćmionemi lada jako spełnia swoje obowiązki, ku fizycznemu, materjalnemu i moralnemu jak największemu upadkowi całego Klekotowa. Tak też i kasjer miejski, z pierwowzoru uczciwości, zeszedł na złodzieja

grosza publicznego i jeden tylko szef stacji kolei żelaznej, z kompletnego oczajduszy, rozbójnika i germanizatora, jakim był w ustach p. Bąbla, wskutek jakichś niewyjaśnionych transakcji stał się przynajmniej osobą neutralną, o której nic nie było do powiedzenia. Większą jeszcze łaskę miał Icek, faktor dostawcy drzewa dla różnych instytucji, ale gdy go już p. Bąbel miał kanonizować, sędzia powiatowy zamknął biednego Icka za jakieś nieprawe przeniesienie ruchomej własności i dotychczas go nie puszcza. Kierująca nakoniec nauczycielka szkoły żeńskiej, z anioła dobroci, pilności i cnoty została w mig tak brzydką lafiryndą i takie p. Bąbel umiał opowiadać rzeczy o jakiejś altance i jakichś kolczykach, że ogólnemu, jak się wyrażał, jedynie zgangrenowaniu całego społeczeństwa w ogóle i pewnym kurczętom jakoteż faseczkom masła, które niespodzianie znalazły się w spiżarni p. Kukurnickiego jako prezesa okręgowej Rady szkolnej (posiadającego w trzech folwarkach około 140 krów własnych), przypisać należało, iż taką Messalinę cierpiano jeszcze na posadzie. Gdy nadto dwóch członków pomienionej Rady nazwał p. Bąbel hyenami wygrzebującemi zwłoki z cmentarza patrjotyzmu, jakim jest Klekotów, (za to że nie pozwolili na ferje szkolne we wszystkie rocznice wszystkich bitw i potyczek, w których nie błyskał jego oręż od r. 1768 do 1881, t. j. że nie pozwolili na ferje całoroczne), zebrała się nakoniec, ta uczona korporacja i zważywszy, że obydwaj stronnicy p. Bąbla wierzyli lub udawali, iż wierzą w jego wyroki, uchwaliła wejść w transakcję z tak potężnem stronnictwem. Z milczącem tedy zezwoleniem hrabiego-starosty

utworzono obok szkoły miejskiej „nadzwyczajną katedrę patrjotyzmu i cnoty obywatelskiej“ i wykłady na niej powierzono p. Bąblowi za roczną renumeracją 100 złr. z kasy miejskiej. I rzecz dziwna, jakkolwiek oprócz pomienionych dwóch stronników (i komendanta żandarmerji), nikt nie uczęszczał na kolegia, zmniejszyła się od tej chwili liczba renegatów, opryszków jawnogrzeszników w Klekotowie do takiego minimum, jakiego nie bywało na świecie od czasu, gdy Adam nie był jeszcze porzucił kawalerskiego stanu.

Wprost przeciwne stronnictwo ugrupowało się około apteki. Oprócz pana Narwańskiego gromadził się tam p. Perła, ekspedytor i tymczasowy zawiadowca poczty, który z wyjątkiem końcówek, jak małpa, banhof, Feliks itp. do wszystkich innych miał rymy w pogotowiu, udało mu się bowiem zrymować nawet rozbratel i obywatel, jakoteż wielbłąd i Elbląg. (Do słowa w ręku *karczma* miał aż dwa rymy: „rycerz, który *tarcz ma*“ i „Boże, piorunem obaj *warczma*“, ale przyznam się, że ten ostatni zwrot wydawał mi się zawsze zbyt poufałym w obec Stwórcy i że na wypadek kanonady w obłokach, warczenie piorunem ze strony p. Perły byłoby co najmniej zbytecznem). Liczył się tam dalej także dozorca dróg p. Ćwikalski, który jakkolwiek starszy, chętnie garnął się do młodych i którego już z daleka coś na kształt brzasku zorzy porannej rumieniącego się na jego kościach policzkowych i innych wypukłościach twarzy, wskazywało jako człowieka jowialnego. W istocie przedstawiał p. Ćwikalski w literackim świecie Klekotowa żywioł lekki i wesoły,

układał bowiem i deklamował chętnie różne dykteryjki które odznaczały się szczególnie oryginalnym choć niejednostajnym rytmem, od dziesięciu do dwudziestu siedmiu zgłosek w jednym wierszu. Natomiast co do rymów, nie mogę twierdzić, ażeby p. Ćwikalski był równie szczęśliwym, jak p. Perła — ratował go atoli poniekąd nasz język, w którym tyle drugich przypadków liczby pojedynczej kończy się na „ego“, a tyle form czasownikowych na „ałem“ „yłem“, „ała“, „yła“, „ący“, „ony“, „ąca“, „ona“. Przy ich pomocy pan dozorca dróg napłodził więcej utworów od Calderona lub Dumasa ojca, i tak się w nich rozmiłował, że nawet gdy mu się nawijały wybredniejsze rymy, jak np. kobyła i miła, chował je rad w środek wierszy i kończył słowami, jak: wierzgnęła, ziewnęła. Nie najmniejszą zaletą p. Ćwikalskiego było to, że był wielkim zwolennikiem kronik lwowskich p. Jana Lama i często je nawet do ćwiczenia wiązaną mową odtwarzał. Do grona które nazwałem apteczne, należał jeszcze p. Smerecki, który oprócz dyżurów w sądzie nie trudnił się innem literackiem zajęciem, ale był tem, co Francuzi nazywają *un bel ésprit*, rad przestawał z literatami i artystami, brał udział w teatrach amatorskich, trochę śpiewał, trochę deklamował, a nadewszystko chętnie nadskakiwał paniom. Do każdego festynu, bazaru, loterji fantowej był ich nieodstępnym adjutantem i miał sobie w tym celu urlop przez płeć piękną u przełożonego wyrobiony — przepisywać role, nuty, i krzesła, lub ewentualnie popędzić milę pieszo w największym skwarze po zapomnianą na majówce w lesie parasolkę lub torebkę, było

dla niego zwykłą i codzienną niemal igraszką.

Właściwą głową stronnictwa aptecznego była pani aptekarzowa, wdowa, wcale jeszcze świeża i obdarzona ową pełnią wdzięków, dla której wolimy nieraz znośną jesień niż lato, po macoszemu przez panującą planetę traktowane. Nadto, była miłośniczką literatury i sztuk pięknych, w skutek czego tuliły się one chętnie w jej otoczeniu. Jeżeli zaś mówię o sztukach pięknych w Klekotowie, to ma się rozumieć, że nie mogę myśleć o niczem innem, jak tylko o fortepianie — po za Krakowem i, podczas wystaw, Lwowem, inne sztuki piękne nieznane są w Galicji. Miał zaś fortepian w Klekotowie podwójnie urzędowę reprezentację: p. Molskiego i p. Durską, którzy oboje udzielali lekcyj, i jak mię zapewniano, byli wyznawcami szkół wręcz sobie przeciwnych. O ile dociekłem, grał p. Molski tak powoli i licho, że go prawie słychać nie było; p. Durska zaś grała tak prędko i głośno, że wśród ciągłego grzmotu nie można było rozróżnić żadnego tonu — znawcy zapewniali mię, że tamto jest metoda Szopena, a to, Liszta. Z liryczno-poetycznym nastrojem stronnictwa aptecznego, któremu więcej od głośnych wybuchów szału odpowiadały uczucia i namiętności głębokie a rwące, jak cicha woda, zgadzał się raczej ton p. Molskiego, i on też stał na czele muzykalnego departamentu w aptece, jakkolwiek zaprzeczyć się nie da, że właśnie pod kierownictwem p. Durskiej ośmnastoletnia dziś córka p. aptekarzowej, panna Bronisława, już w piątym roku życia wystąpić mogła w koncercie na dochód pogorzelców, a w siódmym dać koncert na własną rękę w

podobnie dobroczynnych zamiarach. Ale pani aptekarzowa poróżniła się z panią Durską; sejm galicyjski odmówił wsparcia na dalsze kształcenie pani Broni w konserwatorjum lipskiem (apteka klekotowska niosła zaledwie 4.000 złr. rocznie dochodu) i powoli p. Molski począł aranżować wszystkie wieczorki domowe i publiczne p. aptekarzowej. Ośmnastoletniej panny Bronisławy nie będę tu opisywał — nie lubię dawać portretów moich bohaterek. Dosyć, gdy powiem, że była, lub jest piękna; każdy może naówczas wyobrazić ją sobie, jak mu się najlepiej podoba.

Pani Elżbieta Pirzpuchler (przykro mi, że w ten wieniec rymów i tonów wplatać muszę tak prozaiczne nazwisko) — tak bowiem zwała się po śp. mężu aptekarzowa, była sama w swojej osobie właścicielką apteki, i zmuszoną przeto była kierownictwo jej poruczyć egzaminowanemu magistrowi farmacji. Prowizor ten i mąż nauki zwał się Narcyz Narwański, był rodem z Klekotowa, i pochodził z jednej z najstarszych rodzin miejscowych, jak to już samo nazwisko jego, ściśle z legendą o szczęśliwym wybrańcu pięknej Marcypanny związane wskazuje. Był to brunet o bladej wyrazistej twarzy, ujętej w dość gęsty czarny zarost, ocienionej z wierzchu, tj. z każdej strony z wierzchu, dwoma gałkami niemniej czarnych włosów, między któremi w środku nie było na przestrzeni kilku cali najmniejszej łączności. Brak ten, przedłużający część czoła aż do tyłogłowiu, był na pierwszy rzut oka zadziwiającym, gdyż pan Narcyz nie miał jeszcze lat trzydziestu, a oprócz posady swojej jako prowizor posiadał jaki taki mająteczek, któryby

mu był pozwolił nabyć i własną aptekę; jeno że o dobrą trudno a złej kupować niewarto. Zajrzawszy atoli głębiej w serce p. Narcyza, doszedłem ukrytej przyczyny tego zjawiska, i wyjawię ją, ażeby nie męczyć długo szanownego czytelnika. Trawiły go dwie namiętności, jedna z nich nazywała się poezja, a druga Bronisława, czyli raczej obie nazywały się „poezja“, albo „Bronisława“, jak kto woli. W obudwu kierunkach powodzenie jego było niejednostajne. I tak, raz, bez jego wiedzy, w pierwszym (a oraz ostatnim) numerze jakiegoś tygodnika literackiego, który miał rozbudzić życie umysłowe w Galicji, ale sam zaraz zasnął, spowodował p. Perła, mający stosunki z całym światem, wydrukowanie jego wiersza, poczynającego się od słów:

Lecą, ach, po nad Klekotów
Z klekotem bociany,
Lecą pośród burz i grzmotów;
Wołam je stroskany: i t. d.

Wołanie to nie tyczyło się atoli żadnego prezentu, jakiegoby, według przypowieści, oczekiwać można od bocianów, ale miało na celu polecić im, by nie zapomniały w dalekich, gorących strefach rozpowszechnić wiadomość, że podczas, gdy one uciekły przed zimą, jedno tu serce wśród śniegów i lodów, pali się gorącym żarem, czy tli płomieniem, czy coś podobnego. Ponieważ była to wyraźna wzmianka o Klekotowie, i ponieważ pod poematem stało N. N. (Narcyz Narwański), całe miasteczko domyśliło się i bez rumieńców autora, kto tak pięknie rymuje, i wielka z

tąd sława opromieniła p. Narcyza. P. Pirzpuchlerowa i panna Bronisława kazały sobie dostarczyć odpisów tego utworu; pewien koncypient notarjalny, znany z miotania się na wszystko, co wzniosłe i piękne, sparodjował poemat dodając do pierwszej zwrotki dwuwiersz:

Hej, bociany, gdzie lecicie?
Wszak się jeszcze poziębicie!

Jednem słowem, sukces był kompletny, i p. Narcyz zawiązał odtąd przyjaźń dozgonną z p. Perłą. Mniej szczęśliwemi były próby następne. Po wieczorku, na którym panna Bronia grała jak anioł jakąś sonatę, napisał p. N. N. korespondencję pełną zachwytu do *Dziennika Polskiego*. Otóż obcięto ją niemiłosiernie i zaledwie doniesiono, że odbył się wieczorek, i że p. B. P. odegrała sonatę. Posłał tę samą korespondencję do *Gazety Narodowej*, ale djabeł drukarski wdał się w rzecz i doniósł, że p. B. P. „Odegrzała herbatę“, — po kilku zaś reklamacjach poprawił się i przyznał, że odegrała tylko — „sonat“ w skutek czego publiczność czuła się „zochwaconą“. Gdy zresztą jednocześnie w orlim polocie p. Perły zmieniono r na ł, dodając że Klekotów ze zdumieniem odkrył taki talent w swoich mułach (zamiast murach) więc pp. Perła i Narwański postanowili pisywać jedynie do *Samorządu*. Zawsze atoli każdy przyzna, że było z czego wyłysieć.

Osobliwie, gdy i w drugim kierunku aczkolwiek z innych powodów, nie lepiej wiodło się p. Narcyzowi. Delikatna to

rzecz, poruszać takie materje, bo trudno ustrzedz się powtarzania różnych plotek, ale puściwszy się na to pole, muszę brnąć dalej. Otoż powiedziałem, że p. Narwański nie był bez mienia i że p. Pirzpuchlerowa była jedyną właścicielką jedynej na cały Klekotów i okolicę apteki. Powiedziałem także że p. Pirzpuchlerowa była osobą świeżą, przystojną i okazałą, podczas gdy p. Narcyz był szczupłym bladym brunetem z interesującą brodą niemającym lat trzydziestu, a w dodatku, magistrem farmacji. W takich warunkach każdy przyzna że nie byłoby rzeczą nienaturalną, gdyby się świat był nagle dowiedział, że za trzy tygodnie nad apteką klekotowską zamiast szyldu z napisem E. Pirzpuchler pojawi się inny, opiewający E. Narwańska. Otóż świat twierdził, że p. Pirzpuchlerowa była także tego zdania, tylko p. Narcyz domyśleć się tego nie chciał i że p. Bronia pomagała mu być niedomyślnym. Basia, pokojówka obecnie u hr. Malowańskiej, a przedtem u p. aptekarzowej, słyszała na własne uszy jak ta raz mówiła do panny Bronisławy: Gdyby Perła doczekał się już raz własnej poczty, zarazbym cię wydała za niego: ale to nieszczęście że ty masz tylko 2.000 złr. a on zaledwie 150 rocznie z wiktem i stancją“. O czem gdy Basia doniosła p. Narwańskiemu, zapytał nazajutrz p. Bronię z miną samobójcy, ażaliby rada była zostać pocztmistrzynią? A ona mu na to: Nie, już wolę być aptekarzową. Więc znowu p. Narwański spotkał p. Perłę w sieni; i rzekł mu; Przyjacielu kocham cię nad życie, ale przeszkadzamy sobie nawzajem — tak dłużej być nie może: chodź otrujemy się obadwaj i damy światu przykład, że brat zginie, a nie zdradzi brata!

Wskutek czego, pan Perła, zamiast otworzyć drzwi do apteki, jak zamierzał, zbladł i odskoczył aż na ulicę, wyjawiając przytem, iż ponad wszystkie trucizny przenosi ich właścicielkę, nie zaś córkę właścicielki, a otruje się dopiero, gdyby nie otrzymał wakującej w krótce poczty klekotowskiej i nie mógł jako pocztmistrz rzucić się do nóg ubóstwionej istoty, wyznać jej długo tajoną miłość i prosić o jej śliczną, pulchną rękę. Poczem p. Narwański i p. Perła uściskali się i ucałowali, wołając: zawsze pomrzemy razem! Gdy zaś za pośrednictwem Basi wiadomość o tem wszystkiem z różnemi upiększeniami, zaczęła nurtować po mieście, p. Bąbel napisał jeden bezimienny list do dyrekcyi poczt, ze wskazówką że nieźleby było zeszkontrować kasę pocztową w Klekotowie, a drugi do departamentu sanitarnego w namiestnictwie, donoszący o różnych fatalnych pomyłkach w ekspedycji recept, popełnionych przez prowizora Narwańskiego, cierpiącego na delirjum tremens. O obudwu tych listach dowiedzieli się obwinieni w drodze prywatnej i kupili sobie bardzo grube laski trzcinowe, któremi wywijali ostentacyjnie, ilekroć spotkali pana Bąbla.

Tak stały sprawy sercowe i matrymonjalne w Klekotowie, gdy pewnego wieczora panna Bronia i p. Molski grali w saloniku na cztery ręce na fortepianie, p. Narcyz udawał że słucha i rozumie, o co im chodzi, a w istocie pożerał tylko p. Bronię oczyma, podczas gdy p. Pirzpuchlerowa zwierzała mu się po cichu, że nigdy tego nie odżałuje, iż pozwoliła córce występować publicznie, że bardzo słusznie ten jakiś... jakże się nazywa, ten nieznośny

Lang, czy Lam, ostrzegał w gazetach przed takiemi popisami małych dzieci, że Bronia w istocie skończyła zaledwie lat czternaście i powinna jeszcze chodzić w krótkiej sukience i t. d.

W tem otwierają się drzwi i wpada zadyszany Perła. Nim jeszcze wszedł obiedwiema nogami do pokoju, woła tubalnym głosem:

— Powiem państwu nowinę!

A nie czekając wyrazów ciekawości i zapytań, wołał dalej:

— Ekstaza przybywa! We czwartek wielki koncert, a wieczorem recepcja u starosty! Zaraz tu będzie Smerecki z prośbą do pani dobrodziejki o udział (tu kłania się), z jej czarującym śpiewem; do panny Bronisławy także o sonatę (tu kłania się znowu, ale z mniejszą gracją), i do p. Molskiego o akompaniament! (Tu nie kłania się wcale). Chcieli prosić adjunktową z jej kaszlanym kwiczysopranem i z p. Durską do akompanjamentu, ale im wyperswadowałem, że nikt nie przyjdzie na koncert w takim razie!

— Ekstaza! — zawołała p. Pirzpuchlerowa, jakby zelektryzowana.

— Ekstaza w Klekotowie! — wyjąknął pan Narcyz, bledszy ze wzruszenia niż zwykle.

— Ekstaza weźmie udział w koncercie! wygłosił p. Molski uderzając lewą ręką o basowe klawisze i przyciskając pedał, jak gdyby był p. Durską.

— Ekstaza?? — zapytała p. Bronia, spoglądając w około zdziwiona.

— Moje dziecko — rzekła p. aptekarzowa, widzisz jak niepotrzebnie przerwałaś nauki, kiedy jeszcze powinnaś bawić się lalkami (znaczące spojrzenie na p. Narcyza) i pisać temy francuskie, Ekstaza, to jest pseudonim, to znaczy...

— O, ja wiem! Pseudonim, to jest T. T. Jeż, a to znaczy Miłkowski!

— Nie dziwcie się państwo jej naiwności — mówiła dalej p. Elżbieta — gdy kiedyś dorośnie do lat szesnastu (powiedziałem, że miała ośmnaście), nie będzie się wyrywała z takiemi niedorzecznościami, moja ty, ty, pieszczotko, (pocałunek macierzyński na zachmurzone czoło córki), nie wiem nic o żadnym Miłkowskim, choć to podobno księgarnia we Lwowie (p. aptekarzowa nie uznawała literatury przemawiającej niewiązaną mową) i możesz być pewna, że żaden mężczyzna nie wzniesie się nigdy do wysokości Ekstazy. Jest to istota cudowna, wybrana; wszak mówią, że zaraz po urodzeniu płakała wierszami, a gdy przebywała szkarlatynę, wówczas gdy inni mówią z gorączki, ona sypała jedną odę po drugiej a każda proroczo natchniona!

— I gdzież ona mieszka? Czem jest?

— Mieszka — odparł p. Perła — sześć mil ztąd, w Mistrzosławiu. Jest — wieszczką, prorokinią. Napisałem właśnie na jej cześć króciutką rzecz, nawiązującą do tutejszej legendy o Narwańcu i Marcypannie. Jeżeli państwo pozwolą, odczytam.

Podczas gdy pan Perła czyta, niechaj mi będzie wolno opowiedzieć w krótkości, co się stało. Oto, przy

sposobności imienin monarszych, uchwalił Klekotów z pobudki hr. Malowańskiego i p. Kukurnickiego, utworzyć stypendjum o rocznych 100 złr. dla jednego ucznia będącego rodem z Klekotowa. Z powiatowych dodatków do podatków wyznaczono na ten cel 1,200 zł., z dodatków gminnych miasta Klekotowa 600 zł., znana ofiarność niektórych obywateli powiatu przyniosła 37 zł., 81 centów, a z sześciu wieczorków i jednego balu, uzbierano czystego dochodu 112 zł. 58 ct. czyli razem 1950 zł. 39 ct. Do kapitału tedy, wynoszącego 2000 zł. niedostawało jeszcze 49 zł. 61 ct. Gdy zaś nie było już innych dodatków do podatków pod ręką, gdy składki przestały płynąć, a wieczorki urządzane przez miejscowych amatorów nie opłacały już nawet kosztów światła, więc starosta i marszałek wpadli na myśl urządzenia wielkiego *coup* i sprowadzenia słynnej deklamatorki, wdowy po sekretarzu ministerjalnym, zamieszkałej w Mistrzosławiu. Widzimy, jakie wrażenie wywarła ta wiadomość. Nie mniejsze było i w mieście, gdy się dowiedziano, że nazajutrz przybędzie pociągiem wieczornym jakaś pani nadzwyczajna, po którą pójdą na dworzec konie p. starosty; że będzie w czwartek ogromny koncert, po koncercie bal u starosty, w piątek obiad u p. marszałka, a wieczór znowu bal u p. aptekarzowej — wszystkie te wielkie rzeczy uchwalono bowiem w krótszym czasie, niż go potrzebował p. Perła na odczytanie swojej kantaty. P. aptekarzowa drożyła się wprawdzie nieco co do udziału p. Broni w koncercie, wymawiając się, że dziecko jeszcze za małe, ale p. Smerecki zbił te skrupuły powołując się na liczne bardzo,

dawne i niedawne występy „dziecka“.

Nadeszła upragniona chwila. Pp. Perła, Narwański, Smerecki od południa biegali po mieście we frakach i białych krawatach; p. Ćwikalski czynił to samo w czarnej niegdyś kapocie, wstępując co chwila to tu to tam, na pokrzepiającą kropelkę. Hr. Malowański i p. Kukurnicki mieli udać się powozem na dworzec, położony opodal od miasta, za mostem na Narwańcu, którego kolej przekroczyć nie śmiała, czy nie chciała. Inni wyznaczeni do przyjęcia mieli podążyć pieszo na miejsce ceremonji, ale gdy było nieco błota, więc p. Perła dla siebie, dla Narwańskiego i Smereckiego kazał zaprządz konia do tak zwanej „biedy“ pocztowej, czyli wózka na dwóch kołach, co było tem przezorniej, gdy powóz starosty w powrocie nie mógł przecież zabrać całego towarzystwa, gdy piechotą za nim pędzić było niepodobieństwem, gdy Smerecki był niezbędnym do ulokowania Ekstazy w wynajętym dla niej u Süskinda Rosendufta apartamencie, i gdy na dworcu klekotowskim wtenczas tylko dostać można konie, gdy się je zamówi. Na prośbę p. Smereckiego obiecał burmistrz kazać pozapalać latarnie wzdłuż całej drogi i polecił nawet w istocie urzędnikowi magistratu, ale ten zabajdurzył się na nieszczęście z Ćwikalskim u Abramka, zasnął oparty o stół i nie wykonał polecenia. Ćwikalski natomiast tak się gracko spisał, że kiedy nasi trzej wyfrakowani zajechali „biedą“ na dworzec, już go tam zastali przy bufecie, pijącego trzeci kieliszek piołonówki i srodze odgrażającego się na Bąbla, że mu kości połamie.

Jakieś uderzenie dzwonków dało się słyszeć. Co to

znaczy? — Pociąg wyrusza z najbliższej stacji — wytłumaczył sługa kolejowy — za kwadrans tu będzie!

Znowu dzwonki, inne tym razem. — To pociąg mija budkę nr. 254. Zaraz zajedzie na dworzec!

A powozu ze starostą i marszałkiem nie ma! Stowarzyszeni literaci spojrzeli ze strachem jeden na drugiego.

— Czy ty przynajmniej znasz Ekstazę? — zapytał któryś.

— Nie.

— I ja nie.

— I ja nie — dodał Ćwikalski.

— Ale — zreflektował się Perła — mam przecież przy sobie jej fotografię.

— Doskonała rzecz! — zawołał Ćwikalski — dajcie mi ją tutaj; zje djabła, jeżeli jej nie poznam.

Chciano robić jakieś uwagi Ćwikalskiemu; ale w tem rozległo się gwizdanie maszyny, dzwon stacyjny zagłuszył wszelką mowę; deputacja wybiegła na peron, pocieszając się w duchu nadzieją, że tymczasem przybędzie oczekiwany powóz, chociażby bez starosty i marszałka. Skrzypnęły hamulce u wagonów i zajechały przed peron najpierw takie, które wiozły brusy i belki jodłowe, potem takie, które wiozły trzodę rogatą i chlewną, potem brunatne, wiozące nieskończoną ilość żydów, a wśród nich jeden po części zielony, a po części żółty. W nim musiała być Ekstaza.

Umówiono się na prędce, że przemówi do niej najpierw Smerecki w imieniu komitetu koncertowego, a następnie

Perła będzie mówił wiersze tak długo, póki powóz oczekiwany nie nadciągnie.

Konduktor otworzył drzwi u trzech przedziałek wagonu, i o dziwy, z wszystkich trzech powysiadały jejmoście nie młode, niełądne, nie poetyczne — zgadnijże teraz, która z nich jest natchnioną!

W tej chwili Ćwikalski okazał się wielkim. Z fotografią w ręku odbył w mig przegląd przybyłych dam, i jakkolwiek niezupełnie już dobrze trzymał się na nogach, poskoczył ku jednej, i wierny swojemu powołaniu nierytmicznego poety, zawołał:

Patrzcie, to, to jest Ekstaza,
Bo podobna do tego bohomaza!

Parskanie i syczenie lokomotywy zagłuszyło w znaczniejszej części efekt tego zbyt pospiesznie dobranego rymu; Smerecki przysunął się z gracją do agnoskowanej przez Ćwikalskiego wieszczki i palnął perorę na temat, że tylko nieprzewidzianemu przypadkowi, który spotkał powóz hr. Malowańskiego, zawdzięcza zaszczyt rekomendowania w swojej niegodnej osobie komitetu; którego kilku członków niniejszem przedstawia. Wieszczka wyprostowała się, wyciągnęła dłoń nakształt Pytji na trójnogu i wskazując na p. Narcyza, zapytała:

Kto jest ten młodzieniec,
Co mu sławy wieniec,
Owoc myśli tłumnych,
Z oczu patrzy dumnych?

— Narwański, farmaceuta — odparł p. Narcyz, kłaniając, się i rumieniąc.

— A ja Ćwikalski, całujący *ruci* pani dobrodziejki.

Wieszczka odwróciła się z pogardą od tego prozaicznego człowieka i zagadnęła Perłę:

A ty, jasnowłosy panie,
Jakie, proszę, twe nazwanie?

Na co tenże:

Wieszczego twego poddany jam berła,
Skromny pocztowy ekspedytor, Perła.

Wieszczka zaś:

Kto sam siebie sądzi skromnie,
Ma wywyższon być ogromnie,
Lecz gdzie pycha nie zna granic,
Wszystkie żądze, trudy, za nic!

(Podnosząc głowę i wskazując imperatorskim giestem ręki na dół:)

Więc choć wam się podobało
Skronie me otoczyć chwałą,
Ja w pokorze wszystkich witam
I o zdrowie najpierw pytam?

Ma się rozumieć, że p. Perła notował tymczasem każdą zgłoskę, z porywającym patosem przez wieszczkę wygłaszaną. Nagle atoli zgasło światło na peronie, bo pociąg odszedł był już dalej. P. Smerecki opamiętał się, podał rękę znakomitej deklamatorce i wprowadził ją do salonu 2-giej klasy, bo 1-ej w Klekotowie nie ma. Na

nieszczęście, już i w 2-giej klasie pogaszono światła, a gdy powozu jeszcze ciągle nie było, potrzeba było schronić się do 3-ej, gdzie przy skromnej latarce żyd podawał wódkę spóźnionym robotnikom kolejowym. Nie położyło to tamy natchnieniu, ale gdy już i ta resztka światła gasnąć miała, i nadto miano dworzec zamykać na noc, potrzeba było myśleć o jakimkolwiek odwrocie.

Niestety, jako środek do tego taktycznego celu nie zostało nic, jak tylko „bieda“ pocztarska. Wyniesiono krzesło i przy świetle latarki skonfundowany na śmierć i niewiedzący, co mówić, komitet koncertowy wsadził jakoś do biedy najpierw Ekstazę, a potem, obok niej, Smereckiego. Gdy ten atoli nie był biegłym w powożeniu więc musiał p. Perła, ulokować się plecami do niego na przednim brzegu biedy, opierając się nogami o dyszle; na rymowane zaś naleganie wieszczki i p. Narcyz wydrapał się na ten sam drążek, ale z grzeczności usiadł, zwrócony ku środkowi biedy.

Mimo całego pomięszania, jakie opanowało było naszych trzech bohaterów, p. Narcyz spostrzegł, że wieszczka przy wsiadaniu upuściła jakiś papier i że jakiś cień gruby przesunął się w tejże chwili koło biedy. Chciał właśnie zwrócić uwagę na tę okoliczność, gdy p. Perła zaciął konia, który szarpnął nagle, wskutek czego nasz farmaceuta, wedle znanych prawideł fizycznych, znalazł się niespodziewanie na łonie Ekstazy. Przy pomocy Smereckiego dostał się atoli napowrót na swoje miejsce i wśród ciemności, po rozpluskującem się na wszystkie strony błocie, ruszono ku miastu. Już ekwipaż stanął na

moście, pod którym sączyła się struga, niemal niewidzialna, i którą zupełnie bezkarnie prześlepić byłoby można — gdy z przeciwnej strony dał się słyszeć turkot powozu. Był to hr. Malowański, który spóźnił się wraz z panem Kukurnickim, z powodu, iż rządowy zegarek został po za kolejowym o pół godziny, a autonomiczny o całą godzinę. Zaledwie udało się uniknąć zderzenia; na szczęście, powóz zaopatrzony był w latarnie. Hr. Malowański i p. Kukurnicki w okamgnieniu znaleźli się obok Ekstazy i powitali ją imieniem powiatu i miasta. Na co wieszczka raczyła odpowiedzieć:

Ty, co jesteś tu „starosta“,
Witam ciebie prosto z mosta,
Gdzie Narwańca szumne fale
Grzmią po skale w dzikim szale!

(Zwracając się do p. Kukurnickiego):

Lecz bezsilne one całkiem
Gdzie jest taki mąż marszałkiem,
Co od fal i wroga gotów
Bronić zawsze swój Klekotów.

— Panie Narcyzie, notuj pan — szepnął rozpaczliwym głosem p. Perła — ja nie mogę, bo mam lejce w rękach!

Jeszcze dłuższy czas płynęło złoto z ust wieszczki, nim obudwu najwyższym dygnitarzom powiatu powiodło się przenieść ją do powozu, do którego zaproszono także p. Smereckiego. Konie hrabiego ruszyły wyciągniętym kłusem, a za niemi powlokła się i nasza bieda z dwoma młodzieńcami pogrążonymi w ponurem milczeniu. Nim przybyli do miasta, już każdy tam wiedział, dzięki uwijaniu

się Bąbla, że Ekstaza przyjechała z dworca biedą i przywiozła p. Narwańskiego na kolanach, karmiąc go przez całą drogę karmelkami. Stroskani poeci nie mieli odwagi rozstać się, ani udać się na spoczynek, czuli potrzebę zastanowienia się nad fatalnemi wypadkami dnia i dodania sobie nawzajem odwagi. Zresztą potrzeba było poczekać na Smereckiego. Podeszli tedy pod zajazd Süsskinda Rosendufta, gdzie na dole znajdowała się winiarnia Abramka i tam martwili się myślą że największa na piętnaście mil wokoło poetka, z winy mieszkańców Klekotowa, narażoną została na kompromitację i śmieszność. Szkoda tylko, że myśleli zbyt głośno, bo w drugim pokoju znajdował się p. Bąbel, który słyszał każde słowo. Nakoniec nadszedł Smerecki, w najlepszym humorze i zapewnił ich, że wieszczka nad wszelką miarę zadowolona jest z przyjęcia, że mała nieakuratność nic nie znaczy i że najlepszym tego wszystkiego dowodem jest werwa, z jaką deklamowała, jak gdyby się przez miesiąc uczyła na pamięć wierszy, które przecież w tej chwili tworzyła.

— Ach prawda — rzekł Perła — jak ona spojrzała na pana, pytając: kto jest ten młodzieniec?

— Co mu sławy wieniec — dorzucił Smerecki.

— Owoc myśli tłumnych... — wymarzył p. Narcyz.

— Patrzy z oczu dumnych — zakonkludował p. Perła. — Widocznie zrobiłeś pan na niej jak najlepsze wrażenie. A panu jak się ona podobała?

— Ogromnie... ogromnie mi zaimponowała.

— No, brawo — zawołał Smerecki; — kto wie, może

nam się uda rzecz niebywała na świecie; skojarzyć poezję z poezją!

— To byłoby świetne — dodał Perła.

— Nie mówcie o tym przedmiocie, panowie, to mi szarpie serce! — jęknął p. Narcyz, zerwał się i wybiegł z pokoju. W ślad za nim wyniósł się po cichu p. Bąbel.

Nazajutrz ledwo się obudził, oddano mu list z lakonicznem doniesieniem: Od p. profesora, do p. prowizora.

P. Narcyz otworzył i przeczytał:

„Wiem o papierach, w najwyższem stopniu kompromitujących dla waszej Ekstazy. Ten który je ma w ręku, żąda 100 zł. za ich wydanie. Jeżeli do południa pieniądze nie będą u mnie, o pierwszej całe miasto dowie się o ich treści. Czekam u Abramka. *Bąbel*“.

P. Bąbel pomylił się, jeżeli na podstawie podsłuchanej rozmowy liczył na jaki miłośny afekt w sercu p. Narcyza ku Ekstazie, jakkolwiek wielkiej, sławnej i tak mało uprzedzonej na jego korzyść. W sercu tym nie było miejsca dla nikogo oprócz p. Bronisławy. Ale prowizor który może pogardzać gotową apteką w pełnym ruchu i smaczną wdówką, musi mieć romantyczne i rycerskie popędy. To też p. Narcyz zerwał się natychmiast i poleciał zwołać na radę wojenną Perłę i Smereckiego. Uchwalono, że ten ostatni pójdzie uwiadomić starostę, marszałka, burmistrza, (jeżeli już wstał z łóżka) prezydenta sądu i wszystkie wogóle władze; a dwaj inni udadzą się natychmiast do Abramka.

P. Bąbel siedział sam w osobnym pokoju przy szklance miodu, i na widok wchodzących uśmiechnął się brzydko,

potrząsając zwitkiem papierów. Były to te same, które podniósł wczoraj z ziemi na dworcu.

— Cóż, papiery są; a pieniądze?

Pilne czytanie gazet politycznych, któremu hołdował p. Bąbel, sprawia, iż człowiek nie może sobie wyobrazić akcji wojennej bez długiej poprzedniej wymiany not dyplomatycznych. Poeci natomiast nie czytują gazet. Z tego też zapewne powodu p. Perła zamiast odpowiedzi, poskoczył naprzód jak piorun i jedną ręką wyrwał p. Bąblowi papiery, w drugiej zaś, dzierżąc jednę z owych grubych lasek trzcinowych, o których była wzmianka, i które niełatwo się łamią, wykonał kilka ruchów w *prime*, a kilka w *tercyi*, z których pierwsze przerwały się na głowie, a drugie na prawej stronie pleców p. Bąbla. Jednocześnie rozpoczął p. Narwański podobną akcję, ale w *quarte*, w skutek czego i lewy bark szanownego profesora moralności publicznej uległ znacznym niedogodnościom. Zaskoczony w ten sposób wbrew wszelkiemu prawu narodów, p. Bąbel przez czas jakiś przycupnął do stołu, licząc na to, że kości ludzkie twardsze są od jakiejkolwiek trzciny, i że jeżeli człowiek przenieść może boleśną stronę podobnej operacji, to najlepiej zrobi, nie podnosząc zgiełku, ażeby do bolesnej nie przybyła i druga strona, zwana publicznym despektem. Uprzykrzyło mu się atoli wkrótce i wołając na całe gardło o pomoc, wybiegł do izby szynkownej, gdzie siedziało już kilku kapotowych mieszczan, mimo dość wczesnej pory.

— Gwałtu, ludzie, ratujcie. Patrzcie, oto mnie, który was bronię od kliki burmistrzowskiej i marszałkowskiej, opada, morduje ta klika przez swoich najętych opryszków gwałtu!

Za miesiąc wybory, jak mnie zabiją, to was roztoczy gangrena społeczna! gwałtu!

Mimo tej gorącej allokucji, ani p. Perła z p. Narcyzem nie przestali gromić kryjącego się po za ławki i stoły trybuna ludu, gdzie go dosięgnąć mogli, ani też przedmieszczanie nie objawiali najmniejszej ochoty do pospolitego ruszenia na jego obronę. I kto wie, coby się z nim było stało, gdyby nie żandarm, który wszedł w tej chwili z rozkazu p. hrabiego starosty aresztować p. Bąbla.

W sali, gdzie zwykle Klekotów składał ofiary na ołtarzu Muz, tego wieczora jedna tylko muza odbierała wszystkie hołdy. Sonata p. Bronisławy wypadła świetnie, niemniej jak drugi utwór, grany na cztery ręce z p. Molskim — śpiew p. Elżbiety był zachwycającym, ale Klekotów był już oswojony z tem wszystkiem. Cała jego uwaga skoncentrowaną była ku fotelowi, wybitemu czerwonym (wełnianym) aksamitem, a wypożyczonemu umyślnie od ks. proboszcza — na którym siedziała Ekstaza, rozmawiając głośno z dygnitarzami miejscowymi tak, że fortepianu i śpiewu nie wiele słyszano. Starosta uniewinniał się przed nią dość zręcznie ze wczorajszego swojego spóźnienia się na dworzec, utrzymując żartem, że nie dowierzał sobie, czy zdoła sprostać zadaniu, że wysłał przeto „młodzież“ na pierwszy ogień. P. Narcyz, który stał w pobliżu, zarumienił się, a gdy wieszczka z wdzięcznym uśmiechem podała mu rękę, omal nie zemdlał ze wzruszenia. Wszak pierwszy raz w życiu patrzył oko w oko takiej znakomitości!

Na koniec przyszła na nią kolej. Wstała, i... braknie mi

słów, ażeby dać wyobrażenie o tem co nastąpiło. Dosyć powiedzieć, że wygłosiła legendę wierszowaną, osnutą na tle miejscowego podania o Narwańcu, który się utopił z roskoszy, iż posiadał Marcypannę, i że publiczność na przemian płakała, unosiła się i truchlała. Najczęściej atoli truchlała, jakkolwiek bowiem była dość świadomą nieszkodliwości swojej rzeczki, poetka przedstawiała ją w taki sposób, że można było obawiać się, iż cały Klekotów zaleje. Późno w nocy gdy skończyła wśród burzy oklasków, przystąpił do niej na estradę pan Perła w asystencji p. Narwańskiego i Smereckiego, z olbrzymim wieńcem w ręku, który jej ofiarował imieniem publiczności. Odpowiedziała odą, wzięła wieniec, i — podała go panu Narcyzowi, którego to skonfundowało tak dalece, że w mniemaniu, iż wieszczka każe mu postąpić z wawrzynami swojemi jak się zwykle postępuje z ziółkami w aptece, zaczął pilnie szukać papieru po kieszeniach, papieru do opakowania tej *Herb: glor: poet:* ale go nie znalazł. Wtem wieszczka pochyliła ku niemu głowę i poszturkiwany przez Perłę i Smereckiego, domyślił się wreszcie, że ma jej wawrzyn włożyć na skronie, co też uskutecznił, rujnując do szczętu fryzurę. Zapewniono mię że widok Ekstazy, gdy podniosła głowę, był pognębiającym. Czysty dochód z wieczorku, ze względu na wielką ilość biletów wolnego wstępu, które rozdano, wyniósł 14 złr. 37 ct.

Nim przystąpię do dalszego opowiadania, winien jestem, dla dokładności historycznej, zanotować, że owe „kompromitujące papiery“, w których posiadanie wszedł przemocą p. Perła, zawierały jedynie koncept wierszy

improwizowanych wczoraj na dworcu i po drodze przez Ekstazę, jakoteż tych, które przez cały czas swego pobytu w Klekotowie jeszcze improwizować miała. Ponieważ atoli manuskrypt przepisany był bardzo starannie i pozwalał przypuszczać, że wieszczka zachowała jeżeli nie drugi odpis, to brulion, więc uchwalono nie zwracać go jej wcale. Co się tyczy p. Bąbla, starosta, mając w ręku list jego, pisany do pana Narwańskiego, oddał go sądowi, w którego rękach szanowny ten obywatel ku wielkiemu uszczerbkowi swojej katedry moralności publicznej i ku zupełnemu zgangrenowaniu społeczności klekotowskiej, dotychczas pozostaje. Więc się nim też zajmować nie będziemy, jeno skutkami jego czynów.

— Cha, ha — mówiła w godzinę później pani Purzpichlerowa do pana Narcyza — Cha, cha! — a każde jej „chacha“ było tuzinem puginałów — jakże to było; kto kogo wiózł na kolanach, pan ją, czy ona pana, kto komu dawał karmelki? Chacha! A ten pojedynek z panem Bąblem, który aż żandarmerja musiała przerywać? Chacha! Bardzo walecznie, chacha!

Ale mniejsza o panią Purzpichlerowę.

— Nie wiedziałam — rzekła sznurując usteczka p. Bronia — że pan Narwański (zwykle mawiała: p. Narcyz) taki amator pseudonimów.

— Panno Brońciu, na miłość Boga, przysięgam pani! — wołał p. Narcyz, składając ręce.

— O ja nie pseudonim, proszę się nie przysięgać!

— Ależ panno Brońciu!

— A Bąbla pan mało nie zabił za jej honor, a kiedy

(szlochanie) ten stary prezydent sądu powiedział o mnie u starosty, żem (ponowne szlochanie) głupia gąska, to nic?

— Przecież, panno Brońciu, niepodobieństwem jest, ażeby magister farmacji bił prezydenta sądu! starego, poważnego człowieka!

— Tak, tak, on poważny człowiek, a Ekstaza pseudonim, a ja (płacz) głupia gąska!

Ale mniejsza i o takie sceny, to się między zakochanymi łatwo naprawia, zwłaszcza gdy pan Narcyz swojego czasu dopiero na usilne prośby panny Brońci przysiągł jej, iż nie zrobi awantury z prezydentem sądu za jego wyrok o jej erudycji i ogólnym rozsądku.

Mniejsza i o to, że nazajutrz, po koncercie na którym Ekstaza deklamowała jak z nót to, co stało w zgubionym manuskrypcie, a p. Brońcia znowu grała sonatę jak anioł, pan Narwański otrzymał list, że p. X. aptekarz w Dzidowie, mieście równie znacznem jak Klekotów, zdecydował się na koniec sprzedać mu za przystępną cenę aptekę z ogromną klijentelą. Dzień zwłoki nie stanowił tu różnicy.

Najgorszem było, że w istocie na koncercie na wieczorku, i na ulicy, Ekstaza zaszczycała go względami, które ogólną uwagę zwracały na siebie. Cały Klekotów nie mówił o niczem innem. Nie mógł odprowadzić p. Pirzpuchlerowej z córką do domu, bo Ekstaza kazała mu się odprowadzić do hrabiego Malowańskiego. Nie mógł przepędzić południa piątkowego u p. aptekarzowej, chociaż wolnym był tego dnia od pilniejszej pracy w aptece, bo Ekstaza chciała poznać piękności Klekotowa, i kazała mu się prowadzić na spacer. Wypytywała go bliżej o jego

stosunki rodzinne (umiała czasem zniżyć się do prozy), zachęcała go, ażeby jej towarzyszył do Mistrzosławia, gdzie pozna niesłychane znakomitości; kazała mu przedłożyć sobie wszystkie jego utwory poetyczne; zachwycała się jednemi, w drugich wytykała zbytek smętku i niewytłómaczonej melancholji. Tak rozmawiając zaszli na błonie, które przytykało z jednej strony do płotu od ogrodu p. aptekarzowej, a z drugiej obrębione było wierzbami i krzakami, po za któremi mruczał niewidzialny zupełnie Narwaniec, nie po skale, ale po błocie, i w niezbyt dzikim szale. Po jednej stronie płotu, na błoniu, pasą się gęsi i wywracają koziołki dzieci mieszczańskie płci obojej; po drugiej stronie, jak w Wallenrodzie, p. aptekarzowa nieruchoma siedzi na ławeczce i robi robótkę, a obok niej p. Brońcia i p. Ćwikalski „całuje *ruci* pani dobrodziejce“, jakoteż p. Perła opowiada, jak mocno starosta i marszałek zachwycali się śpiewem p. Purzpichlerowej i jak hrabina Malowańska cieszyła się z tego, że w programie nie ma śpiewu p. adjunktowej ani akompaniamentu p. Durskiej. Nasza para, spłoszywszy gęsi, chodzi co raz bliżej płotu i coraz niżej ku krzakom nad Narwańcem. Deklamatorska werwa Ekstazy zaczyna dominować nad gęganiem spłoszonych gęsi; na ławeczce cichnie rozmowa; słuchają. Słuchają, ona mówi: Precz z tęsknotą!

„Mów, młodzieńcze urodziwy
Czemu blade twoje lica.
Czemuś taki nieszczęśliwy,
Że cię nic już nie zachwyca?

Tu p. Ćwikalski który patrzył przez szparę w płocie spostrzegł wielkie zakłopotanie na twarzy p. Narcyza, gdy go Ekstaza uchwyciła za rękę, mówiąc bez przerwy dalej z coraz większym zapałem:

Mów, i nie taj nic przedemną,
Nie taj serca skryte bicie;
A gdy poznasz moc wzajemną
Rajem dla nas będzie życie!

— Proszę pani dobrodziejki — wyjąknął tu p. Narcyz i p. Ćwikalski spostrzegł że rejteruje coraz bardziej ku krzakom nad ruczajem, Wieszczka zaś mówiła dalej:

Rozkosz z duszą dzielić duszę?
Ach, i moje serce bije,
I ja także cierpieć muszę
I cierpieniem tylko żyję!

— Łaskawa pani dobrodziejko.... — stękał Narwański, i był już jedną nogą w krzakach. Ale wieszczka wzniosła w górę tę dłoń, którą go nie trzymała, i wywieszczyła w pełnym zachwycie:

„Powiedz tedy, powiedz, słowo,
Co podniesie nas oboje
W niebios przestrzeń lazurową
Między serafinów roje!
Tam złączeni jednem tchnieniem,
Jednem wspólnem serca drżeniem,
Wiecznie my, a niby nie my
W morzu wesel utoniemy!

Lekki okrzyk, trzask łamanych gałęzi i pluśnięcie wody, przerwały w tej chwili brylantową tkaninę z słodkich dźwięków natchnionej piewczyni. Ćwikalski spojrzał znowu przez szparę — tylko gałązki łoziny chwiały się nad brzegiem, poruszone jakimś gwałtownym ruchem — Narwańskiego już widać nie było.

— Jak babcię kocham, znowu jeden warjat poszedł po rozum do głowy i skoczył w wodę! — krzyknął Ćwikalski.

Po drugiej zaś stronie płotu, nie zważając na to bluźnierstwo prostackie, kapłanka muzy wzniosła obie ręce do góry i zawołała głośnym głosem:

Miłości zaprzaniec
Skoczył w Narwaniec
Ogniem nie spłonął:
W rzece utonął.

*
* *

Nie utonął, ale zamoczył nogi, i dostał później kataru. Na wieczorku zaś u p. aptekarzowej, gdy Ekstaza zapytała o p. Narcyza, odpowiedział p. Perła uroczyście:

— Pojechał do Dzidowa kupić aptekę.

P. Perła miał prawo być uroczystym, tego samego bowiem dnia otrzymał był nominację na pocztmistrza w Klekotowie, a zakomunikowawszy pani Pirzpuchlerowej wiadomość o wyjeździe Narcyza i o swojej nowej pozycji, upadł jej do nóg i oświadczył się *en toute forme*, ale prozą, nie wierszami. Gdy było rzeczą oczywistą że p. Narwański

dwóch aptek ani potrzebować, ani pragnąć nie będzie, przyjęła po krótkim namyśle jasnowłosego, zamiast czarnego młodzieńca. Ekstaza wyjechała nazajutrz rano do Mistrzosławia, gdzie ciągle dalej deklamuje. W tydzień później przybył p. Narcyz już w charakterze aptekarza z Dzidowa, i zaręczyny jego z panną Bronisławą odbyły się bez żadnych trudności, również jak później dwa wesela, matki i córki. Narwański odprzedał aptekę dzidowską z zyskiem i kupił od P. Perłowej Klekotowską, i od tego czasu nad Klekotowem w niebywały sposób klekocą bociany; podczas gdy Bąbel rozprawia się z sądem obwodowym, jak może, a kwiat poezyi w aptece i na poczcie zwiędnął i opadł. Buja jeszcze tylko muza p. Ćwikalskiego u Abramka.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Jan Lam](#).*

Gdyby nie ten zając!

Natura nie przeznaczyła mnie na pomocnika sekretarjatu Rady powiatowej w B. Przeciwnie, dała mi piękną parantelę, piękny wzrost, zgrabną figurę, mordercze wąsiki i oczy, o których powiem tylko tyle, że nie potrafił ich zniszczyć nawet *pince-nez*, którego używałem z obawy, iż zaniepokoję zbyt wielką liczbę serc niewieścich, gdybym rzucał w ich stronę spojrzenia nie osłabione cokolwiek izolującem pośrednictwem szkiełek. Nadto, ta sama przezorna matka przyroda dała mi herb Suche-Komnaty, a nazwisko Podtemereczyński, dosyć długie, abym mógł spoglądać z góry na każdego Szmita lub Bauera — czego też nigdy nie zaniechałem ilekroć mi się sposobność nadarzyła. Coraz wprawdzie rzadziej zdarza się dzisiaj spotkać ludzi umiejących cenić wartość dobrego gniazda, i jestem pewny, że gdyby nas jaki demokrata podsłuchał podałby nas wszystkich do gazet; ale między nami mówiąc, jeżeli się już kto „krótko“ nazywa, to niech się nazywa Pac albo Bal albo wcale nie. Jeżeli dodam do tego wszystkiego że dziś jeszcze tańczę przecudnie, a dzięki niezrównanej bonie, którą miałem za młodu, mówię po francuzku jak

anioł, to każdy przyzna, że miałem warunki większego powodzenia w świecie niż to, którego doznałem.

Na nieszczęście los, którego na oko byłem faworytem, już od kolebki mojej nie szczędził mi także gorżkiej swojej ironii. Jakże bowiem nazwać to, że zrobił mię jedynakiem, a ojcu mojemu jeszcze przed mojem urodzeniem zabrał całą fortunę z wyjątkiem jakichś nędznych 40.000 złr., które nieboszczyk włożył oczywiście w większą dzierżawę na Podolu, jak to z dawien dawna bywało obyczajem szlacheckim gdy nie można było na własnym majątku żyć odpowiednio do stanu i urodzenia. Dzierżawa musiała iść dość źle, bo kiedy, wraz z jej upływem, zostałem sierotą, i kiedy mój wuj i opiekun, p. Michał Sumiński, zlikwidował krescencję i inwentarz, i popłacił ciężące na tem wszystkiem długi, zostało zaledwie tyle w jego rękach, że mógł mię na kilka lat oddać do przyzwoitego konwiktu we Lwowie, gdzie skończyłem gimnazjum.

Miałem jeszcze i cioteczno-rodzoną ciotkę, posiadającą jakiś kapitalik i bawiącą w domu pani Szczebiotynieckiej w Podumińcach, o dwie mile od Zaklęsłowic, majątku mojego wuja. Otóż gdy mi się udało wcale dobrze przebyć wynalezioną wówczas właśnie na utrapienie młodzieży naszej maturę, powstał między wujem Michałem a ciocią Ruńcią (*i. e.* Gertrudą) spór co do dalszej mojej karjery. Wuj chciał mię wziąć do siebie i uczyć gospodarstwa. Ciotka wykazywała, że nauczy on mię chyba preferansa, maczka i *ferbla*, i że lepiej byłoby, gdybym się uczył prawa. W pojedynku na ostre słówka, który nastąpił, ciotka wzięła górę i zmyśliła w dodatku, jakobym w liście do niej wyraził

nieprzepartą chęć zostania jurystą. Wuj Michał utrzymywał później, że ta predylekcja cioci Ruńci do studjów prawniczych była skutkiem niewygasłej w jej sercu weneracji dla pewnego „komornika“, który kiedyś, na początku tego stulecia, jedynie dzięki jakiemuś opłakanemu nieporozumieniu ożenił się z kim innym, i jak wszyscy wówczas „komornicy“, (tak nazywano dawniej w Galicji adwokatów) zrobił bardzo piękny majątek. Bądź co bądź, p. Sumiński rozsierdził się mocno i oświadczył, że skoro mam ochotę zostać „kauzyperdą“, to on się mnie wyrzeka i słyszeć o mnie nie chce.

Na nieszczęście, zamiast u wuja, bawiłem wówczas na wakacjach u jednego z moich kolegów; nie mogło tedy przyjść do wyjaśnień między nami, bo wuj z zasady nigdy żadnych listów nie czytywał, a moje, nierozpieczętowane, rzucał, gdzie się trafiło. Tak więc otrzymałem tylko pismo od cioci Ruńci, w którem najpierw z wielką goryczą mówiła o nierodzinnem, nieludzkiem i samolubnem usposobieniu tego starego kawalera, p. Michała, a następnie zachęcając mię do dalszych studjów, oświadczała się z gotowością dania mi takiej pomocy, na jaką ją stać będzie. Zamiast do niej, napisałem najpierw list do wuja z prośbą o pieniądze na drogę do Zaklęsłowie, ale z powodów wyżej przytoczonych nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, w skutek czego, jak niepyszny, zgłosiłem się do ciotki. Przysłała mi natychmiast sto złr. na pierwsze potrzeby, a odtąd nietylko co kwartału otrzymywałem od niej tę samą kwotę, ale nawet bardzo często dochodziły mnie pocztą różne bardzo pożądane posyłki drobiu, zwierzyny,

pieczywa, bielizny i t. p. tak, że studjum prawa rzymskiego było mi jako tako osłodzone — nie tak, jak jednemu z moich kolegów, który był zwykł narzekać, że na nic mu się nie przyda wiadomość, iż mógłby jako małoletni mieć trojakie *peculium: profectitium, adventitium i castrense*[1] skoro żadnego z nich nie ma.

W ogóle pierwsze dwa lata moich studjów uniwersyteckich przeminęły dość gładko; zdałem teoretyczny egzamin państwowy, nie miałem więcej długów, niż inni w mojem położeniu, na wakacje zapraszano i wożono mię do różnych domów, a wuja nie widziałem nigdy i nie słyszałem o nim nic więcej prócz tego, co ciocia Ruńcia mi napisała. W owym czasie, kiedy jeszcze nie było koleji żelaznych, z małemi wyjątkami tylko magnaci zaglądali do Lwowa; szlachta miała swoje ogniska towarzyskie na wsi, albo w miastach prowincjonalnych, jak Tarnopol albo Stanisławów — nie licząc Ułaszkowiec, Mościsk i innych miejsc jarmarcznych. Do takiej szlachty liczył się p. Sumiński. Ciocia Ruńcia zdobyła się raz na krótką podróż do Lwowa, właśnie gdy zacząwszy trzeci rok prawa, zacząłem bywać nieuniknionym członkiem, sekretarzem, wiceprezesem albo i prezesem nieskończonej liczby komitetów balowych. Podobałem się jej niezmiernie i wprowadziła mię z dumą w różne domy, z któremi miała dawną znajomość — nie szczędząc nigdzie cichych podszeptów, że rodzę się tak a tak, że nie jestem bez „środków“ i że w dodatku mam wuja, starego kawalera, który nie mając innych [1] krewnych, a mając piękny i

dobrze zagospodarowany majątek, zrobi mię kiedyś szczęśliwym swoim sukcesorem i t. d.

Tego rodzaju *pius dolus* posłużył mi wprawdzie do tego, że stałem się w pewnych kołach rodzajem lwa salonowego, a wskutek tego w komitetach nie piastowałem już nigdy niższej rangi od prezesa, ale też odtąd 400 złr. rocznie, gęsi, kury, zające, bułki, masło, ręczniki, poszewki i t. d. przestały mi wystarczać do życia, a wakacje r. 1852 przepędziłem na wsi u Stasia Bydlińskiego nietyle dla przyjemności, ile dla usunięcia się z oczu rozmaitym czarnym, szpakowatym, siwym i rudym prześladowcom w czarnych chałatach...

Gdy wróciłem do Lwowa, stan ten pogorszył się jeszcze. Pierwsza setka cioci Ruńci pękła do tygodnia; przypuściłem szturm o drugą i czekałem na nią przez dni 15 jak na zbawienie, ale gdy przyszła, nie wiele więcej było z niej pożytku. Zacząłem pisać listy rozpaczliwe do Poduminiec, ale bez skutku — kapitalik cioci Ruńci był bowiem na schyłku. Lamenta moje sprawiły jednak tyle, że wybrała się do Zaklęsłowic i odbyła jakąś konferencję z wujem Michałem, którego jej się udało udobruchać. Dosyć, że gdy już byłem w ostatniej rozpaczy, tj. gdy rozmyślałem nad potrzebą pozbycia się oznak mojej salonowej i lwiej godności, tużurka, fraka, kamizelek i t. d., pojawił się nagle w mojem pomieszkaniu żyd, którego przedtem nigdy nie widziałem, chociaż zdaje mi się, że znałem wszystkich żydów w całem mieście — wręczył mi list i dodał, że p. Sumiński jest w hotelu i kazał mi przyjść natychmiast.

List był od cioci Ruńci, zawierał 50 złr. i prośbę, żebym

we wszystkiem był posłusznym życzeniom wuja Michała.

Wujaszek był mężczyzną mającym przeszło sążeń wzrostu, wąsy jak proporce kopii husarskich, głos taki, że gdy mówił u Zorża, słyszano go w Angielskim hotelu, i humor rycersko-jowialny — coś w rodzaju bałagulszczyzny ukraińskiej. Ubrany był w kurtkę z grubego sukna, palił fajkę na krótkim cybuszku, a w wysokich butach miał zawsze parę małych pistoletów, podczas gdy para olstrowych leżała na biurku, a w kącie stała dubeltówka, której prawka nabita była lotkami, a lewka, żłobkowana, kulą. Wyrażał się zawsze z największą pogardą o wszystkiem, co nie mało związku ze strzelbą, koniem, chartem, napitkiem i zielonym stolikiem. Polował w kniei tylko na dziki, w polu tylko na lisy, wódkę przed śniadaniem i przed obiadem pijał tylko pełno-półkwaterkowym kieliszkiem, jeździł tylko znarowionemi końmi, a do preferansa niżej trzech cwancygierów za *sztona* nie siadał nigdy. Żydów i cyrkułu nawidził, płatał im różne figle i opłacał się później, a w najgorszym razie spuszczał się na protekcję oficerów od kawalerji, z którymi żył na dobrej stopie. Na najlepszego szlachcica, który miał bibliotekę w domu, patrzył krzywem okiem, nieszlachcica, posiadającego erudycję, cenił niżej kondla.

Przyznam się atoli, że po więcej okrzesanych ale mniej rycersko-jowialnych ludziach, do których byłem przyzwyczajony, zaimponował mi swoją stepową tężyzną, i ani mi na myśl przyszło zastanowić się nad tem, że wszystkie jego pistolety, sztućce, kordelasy, nahajki i konie w ciągu 50 letniego jego życia nie brały udziału w żadnym

mniej lub więcej bohaterskim czynie — chociaż wiedziałem, że raz postrzelił babę, która prała chusty po drugiej stronie stawu, a raz poszczwał chartami żyda i załagodził sprawę opłacając się pokrzywdzonym i posyłając justycjaryuszowi karą kobyłę, której mu przedtem sprzedać nie chciał.

O ile mogłem wnosić, nie zrobiłem na wujaszku złego wrażenia. Dzieckiem wychowany na wsi, znałem terminologję myśliwsko-koniarską, a przepędzając wakacje u przyjaciół utrzymałem się jako tako w rutynie wiejsko-rycerskiej; lubiłem nawet wszystkie należące do niej rozrywki. Z tego powodu, równie jak ze względów ekonomicznych, przyjąłem niemal z zapałem wiadomość, że nazajutrz mam jechać z wujem do Zaklęsłowic, gdzie już o mojej przyszłości postanowiono.

Zrobiliśmy jeszcze tego dnia parę wizyt, w ciągu których nie wiem, czy Lwowiany i Lwowianki podziwiały więcej juchtowe buty i tubalny głos mego wujaszka, czy on moje maniery i szczególnie, moją francuzczyznę. Dyliżans, którym wyjeżdżaliśmy, odchodził na szczęście w nocy, udało mi się tedy bez przeszkód ze strony wyznawców Mojżesza przetransportować moje pakunki na pocztę, i tak z 50ciu złr., które mi przysłała ciocia, uroniłem tylko 20, które byłem winien w domu gdzie mieszkałem.

Zimno było dokuczliwe, ale przypadkiem wuj skorzystał ze swojej bytności we Lwowie, ażeby sobie sprawić nowe niedźwiedzie, a mnie dostało się dawniejsze jego futro pochodzące z nieznanych mi zwierząt — przypuszczam, że musiały to być sybirskie nosorożce, bo miały skórę

niezmiernie grubą i twardą, a ważyły przeszło centnar. W nocy wujaszek chrapał równie rozgłośnie, jak w dzień rozmawiał, i ja drzymałem potrochę, ale skoro się dzień zrobił, zbudził mię grzmiącym głosem i napił się do mnie wódki z dużej, płaskiej, łykiem oplatanej myśliwskiej flachy. Uczyniłem zadość wezwaniu i połknąłem haust czystego szpirytusu, od którego omal mi oczy nie wylazły z głowy — ale się nie zakrztusiłem, co byłoby mię zgubiło w opinii wuja. Popatrzył na mnie z zadowoleniem i jął prawie w ten sposób:

— No, widzę, że z ciebie będą ludzie, a czasby już i było wziąść się do czegoś rozumniejszego od tych przeklętych paragrafów, na których nikt jeszcze dobrze nie wyszedł. Masz rok dwudziestyczwarty, chłop niczego, parlujesz po francuzku jak sto angielskich dyabłów, no a żeś szlachcic, tego ci nikt nie zaprzeczy. Panna Szczebiotyniecka jest w twoim wieku, za parę miesięcy obejmuje na własną rękę majątek po ojcu, Szaranówkę, Wilkowce i sporo gotówki, a matka chciałaby pozbyć jej się z domu, bo ponoś kręcą się jej po głowie różne matrymonialne zachcianki, którym obecność młodszej i bogatszej osoby przeszkadza. Ruńcia ma tam wiele wpływu i wyswata cię za parę tygodni, jakeśmy to uradzili. A ponieważ z Bałabanowa, gdzie wysiadamy z dyliżansu, do Zaklęsłowic mamy opętane cztery mile, i moje konie są młode, więc nie chcę ich męczyć, to wstąpimy dziś jeszcze do Poduminiec i zaprezentuję cię matce i pannie. Tylko, uważasz, nie potrzebujesz wyjeżdżać z żadnemi wielkiemi respektami i czułościami dla Ruńci, bo choć ona tam pocichu, jak

powiadam, robi co chce i wszyscy jej słuchają, to zawsze rola jej na oko jest bardzo podrzędną — ot, niby starsza klucznica. Gdybyś mógł wstrzymać się i jakoś tak zakręcić, abyś jej nie nazywał ciotką, byłoby najlepiej: zresztą jest ona tylko daleką kuzynką nieboszczki twojej matki, i nie wiem, zkąd przychodzi do tego tytułu. Pamiętaj, co ci mówię.

Pamiętałem doskonale. W Bałabanowie przesiedliśmy się na wózek wujaszka, bo mimo ostrej zimy, sannej drogi jeszcze nie było, i wylecieliśmy jak z procy z zajazdu żydowskiego, roztrącając ludzi na rynku. Objawiłem pewien niepokój, na co wujaszek:

— Ho, ho, nie bój się! Ja i mój Dubyna zajedziemy choćby czartu w same gardło!

O tym Dubynie, stangrecie wujaszka i o jego wielkich czynach nasłuchałem się już niemało opowiadań przez drogę, obecnie zaś uwierzyłem, że doprawdy zajedzie on raczej do czarta w samą paszczę, niż do Poduminiec. Jak z zajazdu, tak potem z rynku, wylatywaliśmy różnemi ulicami i z biedą wracali napowrót, nim się Dubynie udało skierować na właściwą drogę. Za to teraz pędziliśmy prosto, dobrym murowanym gościńcem, obok którego na prawo i na lewo ciągnął się step zaledwie okiem zmierzony, po obu stronach obramowany widzialnym zdala lasem.

Widziałem, że na prawo i na lewo las pochyla się ku jarom, nad któremi rozsiadły się wsie, i środkiem których płynęła tu jedna, a tam druga rzeka. Pędziliśmy tak z półgodziny, gdy naraz Dubyna skręcił na lewo, na polną drogę. O ile sobie przypomniałem, skręt do Poduminiec

przypadał znacznie dalej, zrobiłem więc po cichu tę uwagę.

— Ho, ho! Co ty mnie będziesz mówił! Ja i mój Dubyna trafimy wszędzie wśród nocy! — zawołał wujaszek.

Zmrok już był zapadł, sądziłem tedy, żem się w istocie pomylił. Tymczasem, po upływie drugiej półgodziny, Dubyna zawołał:

— Ho-u! — i zatrzymał konie.

— Szczo tam, Dubyna? — zapytał p. Michał.

— To łycho znaje, proszu pana, sese ne Podumyńci!

— Jakto, nie Podumińce?

— Ta, baczu, Szaraniwka! A naj jeho jasny hrim itd. itd.

Skończyło się na tem, że potrzeba było zawracać, i tak, nałożywszy półtory mili drogi, zaledwie o szóstej stanęliśmy w Podumińcach. Nie ma atoli nic złego, coby na dobre nie wyszło; po ciemku bowiem nikt nie widział, jak ciocia Ruńcia, wypadłszy na ganek, wyściskała i wycałowała mię na wszystkie boki, i jak mnie nie wypadło zrobić nic innego, jeno pocałować ją w rękę. Kazała nas zaprowadzić do gościnnego pokoju, ażebyśmy się mogli nieco odświeżyć. Pokój był oczywiście nieopalany tej zimy, a famulus, który nam świecił, omal się nie przeżegnał z przerażenia i zdziwienia, gdy mu kazałem podać sobie wody do mycia.

Smutno mi wyznać, że i wujaszek także zgorszył się tem mojem żądaniem, jak gdybym był zapragnął jakiegoś nadzwyczaj wykwintnego kosmetyku. Bądź co bądź, umyłem się i przebrałem — poczem w nowym zgrabnym tużurku, białej kamizelce, jasnych pantalonach i z klakiem pod pachą przedstawiony byłem paniom.

Nie widzę potrzeby rozpisywania się o nich zbyt szeroko. Pani Szczebiotyniecka, *mutatis mutandis*, zakrawała coś trochę na Płachcinę z *Kollokacyi* Korzeniowskiego; mówiła tylko nieco lepiej po francusku i była mniej karykaturalnie przystrojoną — ale za to miała większe pretensje do młodości i piękności. Panna Teodolinda Szczebiotyniecka była typem młodej szlachcianki wychowanej w zakątku przez tanią guwernantkę pod okiem matki, której młodość sięgała czasów z przed roku 1830 i która gdyby była nie zapomniała, jak ją samą chowano, nie wiele byłaby miała do pamiętania. Dosyć, że pełnoletniej już niemal pannicy nie odzwyczajono od rażącego bardzo szeplenienia, które pozwalało przypuszczać że ma jakiś defekt w którymś z organów mowy; że nie nauczono jej modulować głosu tak, aby przynajmniej nie raził zbyt nieprzyjemnie delikatniejszego słuchu, nie nauczono jej trzymać się prosto, nie dłubać widelcem w zębach, nie skarżyć się przy gościach na dolegliwości gastryczne itd. Zresztą twarz i figura była niczego, a temperament wydał mi się łagodny i dobroduszny. Do tego Szaranówka, Wilkowce i sporo gotówki, jako też wieloletność pozwalająca obejść się bez opiekunów i sądów — jednem słowem, nie minęło pół godziny, a byłem zdecydowany jak najprędzej iść do ołtarza.

Ale, było jedno „ale“. Zastaliśmy gościa w domu, który nas wyprzedził. Był nim pan Józef Skoczypłocki, właściciel Jaworka, mający lat blisko 40 — zresztą niby młodsze wydanie mojego wujaszka, jeno nie nosił pistoletów w

cholewach i był bardziej flegmatycznego usposobienia. Rozgościł się był na dobre i rozmawiał z panną jak dawny znajomy, często nawet półgłosem.

Na szczęście, uczyniłem zadość szumnej rekomendacji, jaką wygłosił mój wujaszek, lepiej niż jego „Dubyna“. Na zapytanie pani Szczebiotynieckiej, czy jestem z Podtemeryczyńskich herbu Nałęcz odpowiedziałem dumnie, że jestem Suche-Komnaty. Przypadkiem Szczebiotynieccy byli także tego herbu, o którego początkach nie omieszkałem powiedzieć, co wiedziałem, a panna Teodolinda oglądała przytem cukierniczkę na której znajdował się ten klejnot, z takim wyrazem twarzy, jak gdyby rozmyślała, o ile taniej wypadnie wyprawa, gdy nie będzie potrzeba zmienić znaków herbowych i gdy całe życie będzie można kontentować się jedną tarczą dla męża i dla żony.

Pan Skoczypłocki, zagadnięty w podobnej materji, odpowiedział ni to ni owo, że ma w herbie ptaka, któremu płomień bucha z paszczy, ale go nazwać nie umiał. Wujaszek więcej dobitnie niż grzecznie zapytał, czy przypadkiem nie makolągwa? Zaczęło się chrząkanie ze strony płci pięknej, wiadomo bowiem powszechnie, że szlachectwo Skoczypłockich jest bardzo wątpliwe. Dla zwrócenia rozmowy na inny przedmiot, pani Szczebiotyniecka zagadnęła córkę po francusku, czy bardzo zimno na dworze? Ponieważ informacje moje co do temperatury były nierównie gruntowniejszemi z powodu, iż panna Teodolinda wcale z pokoju tego dnia nie wychodziła, więc skorzystałem ze sposobności i rozpocząłem dyskurs,

którego pan Skoczypłocki nie rozumiał i wobec którego stał się kompletnem zerem w towarzystwie. Nie dałem mu urość ani na chwilę, tak przy herbacie jak i przy kolacji, i doczekałem się tego tryumfu, że kiedy dla ceremonii pan Michał i pan Józef kazali obydwaj zaprzęgać konie, tego ostatniego, chociaż miał pięć mil do domu, nie zatrzymywano wcale, podczas gdy nas formalnie zmuszono do noclegu.

Wujaszek, znalazłszy się ze mną sam na sam w gościnnym pokoju, zawołał: victoria! i uściskał mię serdecznie, twierdząc że walny chłopak ze mnie. Nie wiedziałem jeszcze, jak dalece się odznaczyłem, póki położywszy się do łóżka i zapaliwszy ostatnią przedsenną lulkę, nie odezwał się:

— Karolu! (Nazywam się na imię Karol)

— Słucham wujaszka, odparłem opierając się drzymce.

— Wiesz, dobrze będzie, że tego Skoczypłockiego odsadzisz od panny, ale niech cię Bóg broni, wypędzać go z kretesem z Poduminiec!

— A to dla czego?

— No, hm, hm, widzisz... Ruńcia powiada, że jak panna Teodolinda wyjdzie za mąż, to mnie nie wypada nic innego, jak tylko ożenić się z mamuńcią!.... Co gorsza, podobnoś już szepnęła coś podobnego Szczebiotynieckiej, a choć nie miała odemnie plenipotencji, nie wiem jakbym się z tego wykręcił. Tymczasem jak ty weźmiesz córkę, stara będzie miała Skoczypłockiego, który jest o dziesięć lat młodszym odemnie. Rozumiesz?

— O, rozumiem doskonale!

Nazajutrz po śniadaniu, podczas gdy ja popisywałem się przed panną Teodolindą na fortepianie mazurkiem Szopena, którego dotychczas nie umiem, ale który wydał się niedość pięknym jedynie z powodu, że fortepian był rozstrojony i dwanaście klawiszów wcale nieodpowiadało, pani domu napomniała mego wuja bardzo uprzejmie, ażeby nie zapominał o Podumińcach i dodała, że jestem bardzo miłym towarzyszem, zwłaszcza w tak dzikiem ustroniu i t. d.

Zajechaliśmy do Zaklęsłowic, o których tyle chyba powiedzieć mogę, że pan ich widocznie nie był herbu Suche Komnaty. Pominąwszy wilgoć w ścianach, w sieni, wszędzie w ogóle, od rana do wieczora piło się spirytus i przyjmowało gości, którzy zjeżdżali się na „pulkę preferansa“, ale wnet po jej ukończeniu przystępowali do „czegoś krótszego“. Wciągnięto i mię parę razy, wskutek czego z 30tu złr. które miałem, zostało mi tylko dziesięć. Dwa razy byliśmy jeszcze w Podumińcach i wzrastaliśmy w łaskę i miłość u matki i u córki. Ciocia Ruńcia utrzymywała nas *au courant* panujących i biorących górę sentymentów i prowadziła moje interesa lepiej, niż najbieglejszy dyplomata. W końcu ułożyła formalnie z panią Szczebiotyniecką, że przy następnej bytności mogę się oświadczyć. Ponieważ w wigilię Bożego Narodzenia były imieniny pani Szczebiotynieckiej, jako Ewy, więc ułożono, że przyjedziemy w wigilję wigilii, nim się goście zjadą, i załatwimy sprawę. Ciocia Ruńcia zaklinała, ażebyśmy broń Boże nie opuścili terminu, bo inaczej wyprzedzi nas Skoczypłocki, który niewątpliwie przybędzie na Adama i Ewę. O to wszakże według wszelkiej rachuby

ludzkiej, nie było obawy.

Na tydzień przed świętami, po długich i tęgich suchych mrozach, zaczął padać śnieg, a wuj Michał w przewidywaniu „ponowy“ sprosił zwykłe swoje towarzystwo do Zaklęsłowic. Zjechali się wszyscy, ale o ponowie mowy nie było, bo śnieg sypał bez końca — zasiedli więc do polowania na dziewiątki i ósemki, czekając „okazji“, ażeby się i dzikom coś dostało. Przerażony doznanemi już klęskami i drżąc o moją szczupłą gotówkę której mi potrzeba było, ażeby przyzwoicie wystąpić wobec służby, usuwałem się od tego grona i z nudów zaszedłem na plebanję unicką, gdzie u poczciwego dziekana ze względu na zbliżający się praźnik, który przypadał 23 grudnia, rozpoczął się zjazd familijny i sąsiedzki.

Parafia była dobra, a praźnik w Zaklęsłowicach należał do najznakomitszych — daleko i szeroko — w całej okolicy. Piękne księdzowe i piękniejsze księdzówne rade były z mojego towarzystwa, zwłaszcza gdy alumnów wcale jeszcze widać nie było, bo ferje w seminarjum zaczynały się dopiero po Nowym Roku. Bawiono się bez przymusu i bawiono się wybornie. Przy grach towarzyskich, czasem przy tańcu, a czasem i bez żadnego podobnego pretekstu, udało się chcącemu a śmiałemu ukraść całusa i nie rozgniewać nikogo. Podobało mi się to bardzo i kto wie, gdyby nie urgensy cioci Ruńci, byłbym może wolał 23 grudnia zostać w Zaklęsłowicach niż jechać do Poduminiec. Przez zapomnienie obiecałem nawet jednej i drugiej panience na plebanii, że pojawię się tego dnia wieczorem i pomogę urządzać tańce, ale obietnica została obietnicą i

skoro nareszcie wuj Michał rozbił czyli dał sobie rozbić ostatni bank, co nastąpiło około pół do czwartej, wybraliśmy się w drogę. Ustroiłem się od razu we frak, białą krawatę, lakierowane trzewiki itd., wziąłem klak pod pachę, czapkę na głowę, przykryłem to wszystko futrem z „sybirskich nosorożców“ i wsiadłem do sanek.

— Stój! — zawołał wujaszek, gdyśmy już mieli ruszyć z miejsca. — A gdzie strzelby?

— Poco strzelby? zapytałem.

— Prawdziwy myśliwy nigdy bez broni nie rusza się z domu!

— Ależ spóźnimy się, już zmrok zapada! Droga niepewna...

— Ho! ho! Ja i mój Dubyna trafilibyśmy do piekła na każdą drogę!

Nie było rady; przyniesiono dwie dubeltówki i umieszczono po jednej z każdej strony sanek, poczem Dubyna zaciął konie. Odezwał się dzwonek u dyszla, a jednocześnie konie stanęły dęba, dały susa w bok i wierzgając wskoczyły między bzy i inne krzywy rosnące na podwórzu. Rozpoczęło się tarmoszenie, przeklinanie, nawoływanie, które jeszcze bardziej rozsierdziło nieposłuszne szkapy i jeszcze bardziej opóźniło wyjazd. Nakoniec, na wniosek Dubyny odpięto dzwonek, którego konie znosić nie mogły i ruszyliśmy z jaru, w którym leżały Zaklęsłowice, w górę przez las, ku owemu gościńcowi, o którym już mówiłem przy sposobności wyjazdu mojego z Bałabanowa. Drogi do gościńca było pół mili, która się nie liczyła, następnie gościńcem, w prawo, dwie mile, które się

liczyły, a ostatecznie znowu do Poduminiec w prawo pół nieliczonej mili.

Zaledwie dojechaliśmy do gościńca i skręcili w prawo, gdy Dubyna wskazując biczem, zawołał:

— A — wo!

— Szczo tam? krzyknął wuj.

— Zajac!

— Pilnuj! stój! Pal! była komenda wuja.

Nie wiem, co mi przyszło do głowy, chwycić strzelbę, wyskoczyć z sanek i przyklęknąć z tyłu na desce, ażeby się lepiej złożyć do zająca, który wśród gęstego już zmroku i gęstej zamieci, z rzadką jak na zająca flegmą pomykał poprzed konie w podskokach, do których go głęboki a miękki śnieg zmuszał. Zaledwie zdołałem odwieść kurki, gdy wujaszek dał już ognia raz i drugi z sanek, a jednocześnie deska wysunęła mi się z pod kolan i nakryłem się jak to mówią nogami, wypalając z obydwu lufek w powietrze. Byłoby to pół biedy, gdyby nie konie wujaszka, które ruszyły z miejsca i przyprawiwszy mię o ten szwank, przerażone strzałami, objechały mię najpierw w kółko, wtłaczając mię coraz głębiej w śnieg — poczem poleciały światami. „Sybirskie nosorożce“ kochanego wuja ochroniły mię od ich kopyt, ale sprawiły także że bardzo długo nie mogłem zerwać się na nogi pod ich ciężarem.

Gdy mi się to w końcu udało, miałem jeszcze drugi ambaras z moim *pince-nez*, na który i poza który nalepiło mi się mnóstwo śniegu, podczas gdy tasiemka zaplątała się tak, że go z nosa zdjąć nie mogłem. Przezwyciężyłem i tę trudność i w końcu zdołałem rozpatrzyć się w sytuacji.

Była to sytuacja — bez wyjścia. Przez krótki stosunkowo czas, który upłynął przy mojem szamotaniu się w śniegu, zamieć wyrównała wszystkie ślady sanek i kopyt końskich, a te, których dopatrzyć zdołałem, prowadziły na wszystkie strony, z powodu karuzelu, jaki naokoło mnie i po mnie wyprawili „ja i mój Dubyna“. Sanek, wuja i koni nie było ani widać, ani słychać. Być może, że ekwipaż znajdował się jeszcze nie daleko, ale ponieważ na wyjezdnem odpięto dzwonek, a zmrok i zawieja zasłaniały wszelką perspektywę, więc nie zostało mi, jak wołać z całej siły. Stałem tak i wołałem może pół godziny, póki nie straciłem wszelkiej nadziei i nie powziąłem postanowienia, że nie chcąc nocować na gościńcu, muszę koniecznie dostać się do jakich mieszkań ludzkich. Wiedziałem, że oddalając się w jedną lub w drugą stronę od gościńca, trafię najpierw na las albo na krzaki, potem na zbocz, potem na jar, potem na rzekę, a nad rzeką znajdę tę albo ową wioskę. Ale, wywinąwszy parę razy młynka w śniegu na gościńcu, nie mogłem wiedzieć, z której strony tam się dostałem, tj. z której leżą Zaklęsłowice.

Puściłem się przez pole na los szczęścia, w lakierowanych, płytkich trzewikach, z klakiem pod pachą, z flintą na plecach, pod ciężarem „sybirskich nosorożców“. Jak długo tak brnąłem w śniegu, ile razy w nim odbiłem mój konterfekt, nie będę opowiadał — dosyć że w końcu natrafiłem na coś, co mi się wydało zrębem w lesie, porosłym tu i ówdzie niskiemi drzewami. Parę razy wśród mojej wędrówki słyszałem w dali coś nakształt wycia, teraz przyszły mi na myśl zwykłe tego tonu sprawcy, wilki. Ba

— uszedłszy parę kroków, ujrzałem opodal najwyraźniej w świecie dwa tuż obok siebie iskrzące się przedmioty. Widziałem już raz w życiu wilka w nocy i pamiętam dobrze, że w ten sposób błyszczą jego oczy. Machinalnie odwiodłem kurki, wymierzyłem jak mogłem, w środek między dwa światełka i — klap! klap! przypomniałem sobie, że moja flinta wypaliła, gdy wywracałem koziołka z sanek.

Okrzyk zgrozy wyrwał mi się z piersi — oglądnąłem się za najbliższem drzewem; ale w ciężkiem futrze, z klakiem pod pachą i dubeltówką w ręku, nie podobna mi było wdrapać się na nie. Zrzuciłem futro, cisnąłem dubeltówkę i klak, i we fraku i białej krawatce ze zwinnością małpy znalazłem się na bezpiecznej gałęzi. W tej samej chwili ozwało się zawzięte szczekanie pół tuzina psów, które przypadły pod moje drzewo i natrafiwszy na futro, posiadały na ziemi i zaczęły wyć przeraźliwie.

Teraz dopiero dowiedziałem się, że sybirskie nosorożce mojego wuja były — prostą wilczurą. Nie wspominam o despekcie, jaki spotkał wilczą odzież ze strony cywilizowanych a nienawistnych *cani lupo*, kuzynów jego, należących do rodzaju *canis domesticus*. Jak błyskawica przyszła mi do głowy myśl, że gdzie są psy, tam i ludzie muszą być niedaleko, zacząłem więc krzyczeć z kondlami w zawody. Naraz z tej strony, gdzie mi się przywidział wilk, pojawiło się parę świateł, a wraz z niemi ujrzałem ośm czarnych postaci, w długich po ziemię szatach...

Odwołano psy, zrekognoskowano moją pozycję i zdjęto mię z drzewa. Pokazało się prędzej niż to powiedzieć mogę,

że nie byłem na dzikiem drzewie, ale na gruszy; nie w lesie, ale w sadzie księdza dziekana w Zaklęsłowicach, i że światełka, które mię przeraziły, nie były ślepiami wilka, ale dwoma świecami, przy których księża grali sobie preferansika, i które przez zamarznięte szyby słabo tylko migotały. Szczęście, że moja dubeltówka wypaliła godzinę przedtem, inaczej byłbym pięknych „dziesięć bez *atout*“ przyczynił do tej puli, zwłaszcza gdy, jak mówiłem, pan Michał Sumiński nie nabijał strzelb inaczej jak tylko lotkami i kulą...

Zabrano mię na plebanię, odgrzano ponczem, odrestaurowano kolacją i winem i zapomniawszy o wszystkich moich nieszczęściach, bawiłem się wybornie do białego dnia z paniami i pannami. Nazajutrz, ksiądz dziekan odesłał mię swojemi sankami do dworu, gdzie właśnie przed chwilą przybiegł był z częścią uprzęży i kawałkiem dyszla, jeden z rumaków wuja Michała. O nim, o Dubynie, o drugim koniu i o sankach nic nie wiedziano. Ekonom rozesłał ludzi na rozdobędę i w końcu pod noc, przywieziono na chłopskich sankach wujaszka z Bałabanowa, dokąd go rumaki były zaniosły ze stłuczoną głową i zwichniętą ręką. Przywieziono także Dubynę, śmiertelnie pijanego ze zmartwienia, przyprowadzono nakoniec na trzeci dzień, tj. pierwszy Bożego Narodzenia, drugiego konia, szczątki sanek i dubeltówkę. Cyrulik z Bałabanowa wraz z transportem pijawek pojawił się wśród tego sam i naprawiał blesury, które się okazały na szczęście niezbyt trudnemi do wyleczenia.

Ale tymczasem posłaniec z Poduminiec przyniósł list od

cioci Ruńci, z fatalną wieścią, że nasze nieprzybycie na umówiony termin zrobiło tam najgorsze wrażenie i że Skoczypłocki, przybywszy na imieniny i zastawszy plac wolny, oświadczył się i został przyjęty. Ślub po Trzech królach! *Adieu*, Szaranówko, Wilkowce, gotówko!

Wuj przyszedłszy do zdrowia, uznał za stosowne wynagrodzić mi stratę, jaką poniosłem z winy jego i Dubyny, ofiarując mi 100 złr. na podróż do Lwowa i obiecując dopomódz mi do dokończenia studjów, bo kapitalik cioci Ruńci wyczerpał się był do szczętu, a drugiej partji dla mnie nie miała.

Kto wie, byłbym może w istocie skończył studja, ale wuj zamiast dotrzymać słowa, zrobił nakoniec pierwszą na seryo w życiu swoim awanturę i nietylko ożenił się z panią Ewą Szczebiotyniecką tych samych zapust, ale nadto przed upływem roku postarał się o to, aby ród Sumińskich nie wygasł. Z ciocią Ruńcią, jako osobą pozbawioną funduszów i pozycji, nie widziałem potrzeby utrzymywania dalszych stosunków, a gdy mię wszystko zawiodło, nie zrobiwszy drugiego egzaminu, zmuszony byłem przyjąć haniebną posadę pisarza u mandatarjusza. Przy organizacji *becyrków* spodziewałem się zostać kancelistą, ale i to nie dopisało i musiałem kontentować się dyurną, póki organizacja Rad powiatowych nie obudziła we mnie nadziei polepszenia losu. Jestem tedy od r. 1867 płatnym na dnie pomocnikiem sekretarza wydziału powiatowego w B* — a wszystko przez tego zająca!

1. ↑ *Peculium*, według prawa rzymskiego, ta część majątku małoletniego, którą on mniej lub więcej niezawiśle rozporządzać może, w miarę jak ona pochodzi od rodziców, od innych osób, lub z własnego zarobku, co odpowiada powyższym trzem łacińskim definicjom. (*Przyp. aut.*)

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Jan Lam.*

Bal u hrabstwa.

W oczach człowieka przyzwyczajonego do wydawania bezwzględnych sądów o rzeczach i ludziach, godność auskultanta sądowego nie jest prawie żadną godnością. Nie przeczę i ja bynajmniej, że pierwszy ten szczebel w hierarchji sądowej nie jest zbyt wysokim, a że nie jest intratnym, tego najlepiej dowodzi fakt, iż będąc obecnie już od ośmiu lat adjunktem, i żyjąc nader oszczędnie, jeszcze zawsze mam do spłacania długi pochodzące z auskultanckich moich czasów. Bądź co bądź wszakże znam ja nie mało takich, którym pozycja auskultanta wydaje się godną zazdrości — wspomnę tu tylko o praktykantach pocztowych i telegraficznych, jako też o młodzieńcach, moralnie dosługujących się rangi *respicjenta* w c. k. straży skarbowej. O diurnistach zaś i innych literatach nie wspominam wcale, jako o ludziach, nie mających przed sobą żadnego awansu. Przyjaciel mój np. Fijołkiewicz, którego recenzje dramatyczne wywołują powszechnie tak spazmatyczną wesołość, będzie za trzydzieści lat akuratnie tem samem, czem jest dzisiaj t. j. skończonym osłem, podczas gdy auskultant w tym samym przeciągu czasu może zostać radcą, albo prokuratorem państwa, w którym

to drugim zwłaszcza wypadku nikt nie ośmieli się wydać o jego zdolnościach tak apodyktycznego sądu, jak ja o zdolnościach Fijołkiewicza. Nie o tę wszakże, każdemu zresztą w oczy wpadającą różnicę między stanowiskiem Fijołkiewicza a prokuratora chodzi mi tutaj, ale o to, że auskultant, jeżeli się zastanowimy bezstronnie nad jego znaczeniem, w tym swoim urzędowym charakterze niezasługuje bynajmniej na lekceważenie. Ma on przed sobą karjerę nie szybką wprawdzie, ale pewną i szanowaną. Jako człowiek zaś zasługuje on mojem zdaniem na szacunek już z tego jednego powodu, iż skończywszy naukę prawa, nie wszedł w służbę skarbową ani polityczną. Widocznie bowiem, nie liczył na nadzwyczajną protekcję, albo też na jakie stosunki familijne; nie rozpoczął karjery w nadziei zostania gubernatorem, lub ministrem. Niechciał, ażeby skromna jego płaca figurowała w budżecie między rozchodami, które zaliczyć wypada do „kosztów produkcji“ organizmu państwowego — bo czemże innem jest wymierzanie i ściąganie podatków? — ale wybrał sobie zawód, którego obowiązki, sumiennie pełnione są jednem z zadań i jednym z celów dla których istnieje wszelka organizacja państwowa i społeczna.

Dla tego też, wyznaję, że byłem dumny z mojej pozycji, jako auskultant, a kolega mój Łąkiewicz, który wraz zemną, otrzymał dekret, i z którym od pierwszego roku nauk prawniczych mieszkaliśmy w jednym pokoju, był dumnym także. Powiem nawet więcej: oto, pielęgnowaliśmy w sobie tę dumę, i utwierdzaliśmy się w niej nawzajem, a to tem bardziej, im mocniej ją obrażał trzeci nasz kolega,

Tyndakowski. I on, uczęszczając na prawo, mieszkał razem z nami, i on podzielał z nami wszystkie owe małe i wielkie kłopoty i niedogodności, wynikające z braku równowagi w budżecie studenckim. Ale zaledwie skończył studja, kazał sobie wydrukować bilety jako: *Le Chevalier Ladislas de Slepowron Tyndakowski*, i najął osobne pomieszkanie, złożone z pokoju i przedpokoju, gdzie usługiwał mu „dochodzący“ lokaj, podczas gdy my kontentowaliśmy się dawną, skromną izdebką i usługą stróżychy; biletów tak szumnych nie drukowaliśmy, najpierw z oszczędności, a powtóre dla tego, że Łąkiewicze nigdy nie byli szlachtą, moja zaś familia jest tak dawnej daty, że dokumenta nasze szlacheckie zginęły jeszcze w czasie wędrówki narodów, i trudnoby nam było wylegitymować się w obec dzisiejszych formalności biurokratycznych. Pod względem majątkowym staliśmy wszyscy trzej na równi, tj. ja i Łąkiewicz nie mieliśmy nic, a Tyndakowski miał tylko stryja, który miał wieś, a na tej wsi dług bankowy i pięcioro własnych dzieci — jakoteż ciotkę. Ciotka ta była wdową w podeszłym już wieku, i należała do tego — gasnącego już niestety rodzaju — ciotek bezdzietnych, które nie siedzą na dożywociu, ale na funduszach znacznych i zawisłych wyłącznie od ich dyspozycji. Otóż gdy Władysław ukończył szkoły, ciotka ta znalazła się przypadkiem we Lwowie, i zapytała siostrzeńca, co teraz robić zamierza?

— Jużci, że wstąpię do służby politycznej — odparł młodzieniec, prostując się — a muszę tu nadmienić, że miał całe dwa metry wzrostu i metr szerokości w barkach. — Mam piękne nazwisko, dodał, a dla takich teraz karjera

otwarta. Chciałbym wiedzieć, dla czegoby Tyndakowski nie dokazał tego, co Gołuchowski?

Potrzeba wiedzieć, że ciocia należała do tej znacznej dość liczby ludzi, którzy tem bardziej nienawidzili ś. p. namiestnika hr. Gołuchowskiego, im mniej do tego mieli powodu. Znałem takich, których namiestnik swojego czasu prześladował, zamykał, i t. p. i którzy mu to przebaczyli — ale z tych którym nigdy nic złego nie robił, nikt mu nie przebaczył. Dosyć, że zaiskrzyły się oczy szanownej cioci na wzmiankę, że dynastja Tyndakowskich może kiedy nastąpić po Gołuchowskich w prezydjum namiestnictwa, i spojrzała na Władysława okiem pełnej macierzyńskiej miłości. Wszak i ona była Tyndakowską herbu Ślepowron! Dodajmy do tego, że Władysław popieścił czule ulubionego jej Azorka, i że odchodząc, ukłonił się bardzo czule pani Miauczyńskiej, odwiecznej klucznicy ciocinej, a pojmiemy że wpadł w jak największą łaskę. Ciocia po jego odejściu zrobiła uwagę, że „Władzio“ jest bardzo przystojnym chłopcem, a Miauczyńska odpowiedziała na to, że „oko w oko“ podobnym jest do ciotki. Nastąpiło jeszcze parę wizyt, jeszcze parę grzeczności, wyświadczonych pani Miauczyńskiej, a ciocia uchwaliła, „że chłopak, kiedy teraz ma zająć samoistne stanowisko w świecie, potrzebuje się przecież urządzić i oporządzić. W skutek tej uchwały, miał Władzio dostać tysiąc złr. Ale zdarzyło się, że ciocia kazała mu przyjść na herbatę pewnego wieczora, kiedy, go oczekiwano właśnie w innem, także kobiecem, lecz nierównie młodszem towarzystwie. C. k. praktykant konceptowy złożył się tedy, jak scyzoryk i przeprosił ciocię

mówiąc, że zrobił sobie votum, pójść jutro do spowiedzi i do komunji u oo. Jezuitów, i że radby przeto wieczór dzisiejszy przepędzić na samotnem rozmyślaniu, — chybaby ciocia kazała mu przyjść koniecznie. Ciocia pocałowała go w czoło, ze łzami w oczach i nie kazała mu przychodzić aż jutro, po komunji na kawę. Przyszedł oczywiście i miał oczy czerwone, bo był nie wyspany.

Ma się rozumieć, że na zapytanie cioci, złożył ten fenomen fizjologiczny na karb niesłychanego wzruszenia, jakiem go zawsze przejmuje przyjęcie Przen. Sakramentu. Dosyć, że zamiast tysiąca złr., piękny i pobożny Władzio otrzymał przy odjeździe cioci dwa tysiące gotówką i natychmiast jak już wyżej powiedziałem, wyprowadził się od nas, a najął sobie osobne pomieszkanie.

Odtąd widywaliśmy się bardzo rzadko, a ile razy widywaliśmy się, p. Tyndakowski zawracał nam głowy swojemi arystokratycznemi koneksjami. Nakoniec ciocia przez koneksje swoje wyrobiła mu zaproszenie na recepcje u namiestnika. Notabene niepamiętną jest rzeczą, ażeby kiedy jaki auskultant proszony był na taką recepcję — chyba może pewien hrabia, który wszakże wkrótce porzucił sądownictwo. Praktykantom konceptowym zdarza się to tylko wtenczas, gdy z urodzenia należą do arystokracji. Słusznie więc może p. Władysław Tyndakowski wyobraził sobie, że wskutek zaproszenia, został, co najmniej, baronem i że jego Ślepowron wszedł w kuzynostwo z Kawką, która figuruje na pałacu namiestnikowskim. Rzecz naturalna, że przestał się z nami witać i poznawać nas na ulicy.

Ale przyszła koza do woza. I ja miałem moje

arystokratyczne koneksje. Od trzech lat, uczyłem historji powszechnej, polskiej jako też literatury w domu hrabstwa N. Elewką moją była hrabianka Marja, istny cud piękności. Lekcje skończyły się, skoro panienkę wprowadzono w świat, i byłoby też to barbarzyństwem męczyć nauką tak prześliczną główkę i bez tego już wewnątrz wcale dobrze umeblowaną. Całe miasto szalało za nią, a ponieważ i posag miała piękny, więc na wieść o nowem cudownym zjawisku, zaczęli do Lwowa jak do Częstochowy zjeżdżać się panicze z odległego Krakowa, z odległej Warszawy, z najdalszych krańców Wołynia.

Dodać tu muszę, że ani hrabia N. ani hrabina, ani hrabianka ani nikt w ich domu nie miał w sobie nic z tego wszystkiego co — według przyjętego ogólnie, a nie ze wszystkiem słusznego mniemania cechować ma „hrabiów galicyjskich“. Dzięki może tej okoliczności, gdy przestałem być nauczycielem domowym, nie przestałem być znajomym, a nawet mógłbym powiedzieć przyjacielem domu. Niekorzystałem wprawdzie z nieograniczonego zaproszenia, często bardzo uprzejmie i usilnie powtarzanego, ażebym przychodził na herbatę, ile razy mi się podoba, ale korzystałem bardzo chętnie z powtarzających się często specjalnych zaprosin, a jeżeli mi się kiedy zdarzyło spotkać panie w ogrodzie lub na Wałach i mieć z niemi krótką rozmowę, jeśli mię kto znajomy widział przy takiej sposobności, to bywałem prawie tak nadętym przez trzy dni następne, jak Tyndakowski po onej recepcji.

Był więc karnawał, a w karnawale bal prawników, na

który wszystko się zbiegło, skoro gruchnęła wiadomość, że hrabina N. pełnić będzie obowiązki gospodyni, a więc oczywiście przybędzie z córką.

Byłem i ja i tańczyłem polkę i walca z panną Marją i niepotrzebuję tu wcale nadmieniać, ilu auskultantów, praktykantów konceptowych i podporuczników od rezerwy pękało z zazdrości na ten widok. Nagle, przy bufecie ktoś klepie mię bardzo przyjaźnie po ramieniu i woła: Jak się masz, Guciu?

Obracam się, i poznaję p. Tyndakowskiego, w całej jego sześciostopowej dylągowatości, z szkiełkiem w oku i trzema morgami tłustej fizjognomji, okolonej żywopłotem z czarnych faworytów, jak gdyby z obawy, aby się do niej z czaszki co mądrego nie dostało. Niewiem, czy obawa już z gruntu samego była płonną, czyli też żywopłot pełnił swoją funkcję tak doskonale — dosyć, że niewidziałem nigdy fizjognomji mniej rozumnej.

Rozmawialiśmy z sobą jakiś czas tak serdecznie, jak gdyby między nami nigdy nie było nastąpiło najmniejsze oziębienie stosunków. Naraz, p. Władysław zaproponował mi, ażebym go przedstawił hrabiance Marji — którą wprawdzie widział na recepcji, ale której nie miał czasu prezentować się tam, bo hulał na zabój z hrabiną X. i z księżniczką Y. Przyznam się, że niewiedziałem, czy mi wypada uczynić zadość tej prośbie — obiecałem więc tylko Tyndakowskiemu, że nie omieszkam go zaprezentować, skoro się znajdzie stosowna sposobność, i wymknąłem się, ażeby się zwierzyć pani hrabinie z mego kłopotu. Rzecz naturalna, że gdyby hrabianka Marja była tylko jaką zwykłą

panną, nie byłbym miał żadnych kłopotów — ale cóż robić, respekt przed arystokracją jest wrodzoną cnotą każdego demokraty. Hrabina nabrała mię z góry, i zapytała mię, jak śmiem przypuszczać, że ktoś przezemnie przedstawiony, nie będzie już z tego samego powodu mile widzianym itd. itd. Urosłem tedy ogromnie w opinii własnej, i przedstawiłem paniom nie tylko Ślepowrona Tyndakowskiego, ale nadto i Łąkiewicza. Jeden tańczył walca z hrabianką, a drugi polkę, i obydwaj byli niezmiernie szczęśliwi.

Tyndakowski zrobił oczywiście w parę dni po balu wizytę *en forme* w domu państwa N., a później dowiedziawszy się, że mają dawać bal u siebie, molestował mię ogromnie, ażebym mu wyrobił zaproszenie. Byłbym może dokazał tej sztuki, ale niewiedziałem, jak się brać do rzeczy, i nie miałem ochoty narzucać się w ten sposób domowi, który i tak już wyszedł po za granice konwencji lwowskiej, tolerując jednego auskultanta na swoich zabawach. W istocie, gdybym się nie był zatrzymał na tej pochyłości, byłbym w końcu musiał zapełnić dom państwa N. całym batalionem moich kolegów — bardzo wprawdzie miłych młodych ludzi, ale niestety zbyt gromadnie występujących w każdem mieście, które jest siedzibą wyższych władz rządowych. Odmówiłem więc Tyndakowskiemu, i nagle — przestał się znów witać ze mną i z Łąkiewiczem, przestał nas poznawać.

Z początku, oddawaliśmy mu piękne za nadobne, i śmialiśmy się z jego fanaberji. W krótce atoli zaszły dwie okoliczności, wskutek których — jak powiada Heine — „u

kamizelki cierpliwości naszej pękł ostatni guzik.“

Tyndakowski wyjechał był na parę dni za urlopem do Wiednia. Co tam zresztą porabiał, tego nie wiem, to tylko wiem, że... starał się o order! Zapewne podobać mu się to musiało na recepcji, że niektórzy starsi panowie mieli łańcuszki z wiszącemi u nich miniaturowemi „Koronami żelaznemi“, „Leopoldami“ itp. Ponieważ znaki te, cokolwiek o nich kto mówić może, nie bywają przecież nigdy dawane pierwszemu lepszemu, więc Tyndakowski upatrzył sobie jakiegoś obskurnego potentata, gdzieś na szarym końcu Europy czy Ameryki, który za pewną opłatą nadaje ordery każdemu, co się jako tako wylegitymuje szlachectwem. Udał się do ajenta, zapłacił, poczynił resztę potrzebnych kroków i w parę tygodni po jego powrocie wyczytaliśmy w gazecie urzędowej, że „Ladislaus Ritter von Ślepowron Tyndakowski“ otrzymał upoważnienie zdobienia się kawalerskim krzyżem orderu „*Św. Porcjunkuli z Akkomodaty*“. Skąd inąd dowiedzieliśmy się, że ciocia jego wraz z wycinkiem gazety, otrzymała od pięknego i pobożnego siostrzeńca swojego list, w którym stało, że wyekspensował się mocno, bo c. k. namiestnik wysyłał go do Wiednia w specjalnej misji, a mianowicie na żądanie bawiącego w Wiedniu króla Nicaragwy i Panamy objaśniał jego ministrowi przedziwnie misterną organizację t. zw. „urzędów pomocniczych“ w Austrji — co uskuteczniwszy ku ogromnemu zadowoleniu obcego monarchy, otrzymał najwyższy order panamski itd. Ciocia tym razem nietylko sięgnęła zaraz do szkatuły, ale nadto sporządziła natychmiast testament, w którym siostrzeńca swego

Władysława, kawalera św. Porciunkuli i Akkomodaty, mianowała uniwersalnym i jedynym swoim spadkobiercą, z pominięciem wszystkich innych krewnych.

Było się z czego śmiać i było się czego gniewać, ale w gruncie rzeczy nic nas to nie obchodziło.

Tymczasem podszedł Wielki Tydzień — ów tydzień, w którym każdy z nas około południa, czuje niewymowny pociąg do odwiedzenia jakiego sklepu korzennego. Zdarzyło się tedy że ja i Łąkiewicz zaszliśmy raz do takiego sklepu i skromnie, w kąciku posilaliśmy się śledziem i buteleczką porteru. Wtem drzwi pokoju otwarły się z wielkim trzaskiem i kupiec kłaniając się grzecznie wprowadził towarzystwo — ach, święci opiekunowie zasad demokratycznych, módlcie się za mną!... towarzystwo złożone z jednego młodego prawie-hrabiego, z jednego młodego po-wujence hrabiego, z dwóch młodych prawie-pół-podhrabiów i z naszego p. Władysława!

Każdy z przybyłych spojrzał pogardliwie w stronę, w której my siedzieliśmy, pełni pokory i każdy niechętnie ruszył ramionami, poczem wszyscy równie niechętnie spojrzeli po sobie. Słyszeliśmy, jak kupiec szeptał nowoprzybyłym wskazując nas nieznacznie, że „ci panowie zaraz pójdą“. Słyszeliśmy jak Tyndakowski wyrzucał mu głośno, dla czego nie zaprowadzi „*des cabinets séparés*, jak za granicą, ażeby człowiek mógł przyjść na śniadanie w przyzwoitem towarzystwie. Tu znowu dostało się nam parę pogardliwych spojrzeń, poczem ziewając i wyciągając się po krzesłach, jaśnie wielmożni nowo przybyli poczęli zamawiać rozmaite wiktuały i wina, wcale kosztowne, ale

których szczegółową enumerację opuszczam, bo ją czytelnik znajdzie w każdym cenniku kupieckim. Widziałem jak się Łąkiewicz czerwienił podczas całej tej sceny, jak gotów był odezwać się z czemś niepotrzebnem, ale udało mi się wstrzymać go giestem i wzrokiem. Dopiero gdy się jaśni państwo rozgościli, tylko już od czasu do czasu spoglądali z wysoka, czyśmy sobie jeszcze nie poszli, przystąpiłem do prologu zemsty, która wrzała w moim łonie. Zadzwoniłem i zamówiłem jeszcze pół butelki porteru, dając tem samem do zrozumienia, że nie myślimy „pójść zaraz“. Kupiec nie mógł powiedzieć że nie ma porteru ale próbował podobnoś zniecierpliwić nas i zniewolić nas tym sposobem do uwolnienia od naszej obecności tych panów, którzy dawali więcej utargować a pragnęli być sami. Złość nasza była wszakże większą, czekaliśmy cierpliwie całą pół godziny, a po jej upływie zadzwoniliśmy znowu i zapytaliśmy, czy może w ogóle brakło już porteru w handlu? To skutkowało, porter pojawił się nakoniec, i degustowaliśmy go powoli i z wielkiem namaszczeniem, chociaż był szkaradny. Przez cały ten czas, przy stole lordów toczyła się rozmowa — zresztą bardzo nie ciekawa — ale przeplatana mniej lub więcej wyraźnemi i zręcznemi alluzjami do niehrabskiej kondycji mojej i Łąkiewicza. Spamiętałem dotychczas tylko dwa szczegóły. Najpierw, po-wujance hrabia zrobił spostrzeżenie, iż ponieważ Wielkanoc tego roku przypada tak wcześnie, i zapusty były nader krótkie, więc w „towarzystwie“ odbędzie się jeszcze parę zabaw zaraz po świętach. Na to zauważył prawie-hrabia, że między innemi hrabstwo N.

mają zamiar dać bal *en forme*, w ciągu przewodniego tygodnia, że już nawet otrzymał zaproszenie i że go sobie panna Marja zamówiła do pierwszego kadryla. Wiedziałem że to nieprawda, ale Tyndakowski nie wiedział, owszem, odparł z najzimniejszą krwią, że jest także zaproszonym, ale nie wie czy będzie bo jedzie właśnie dziś wieczór na święta do ciotki i wróci dopiero we wtorek rano. To wiedziałem, było prawdą. W jednej chwili, szatańska myśl przyszła mi do głowy. Dopiłem do dna moją szklankę, dałem znak Łąkiewiczowi, i wyszliśmy.

— Słuchaj, Jakóbie — rzekłem mu — w tej chwili hrabina N. z córką jest zapewne na przechadzce. Musimy koniecznie uwinąć się tak, ażebyśmy ją spotkali. Pamiętaj gdyby nas pytała o Tyndakowskiego, ażebyś potwierdził to co ja powiem.

Zła gwiazda pana Władysława zaprowadziła nas w dwie minuty później przed oblicze pani hrabiny i panny Maryi.

— Dzień dobry Panu — odpowiedziała hrabina na mój uniżony ukłon — dla czego pana znowu nie widać? Czy nie ożeniłeś się pan w sekrecie przed nami, ubiegłych zapust?

— Ach, pani hrabino gdzie tam nam biednym askultantom do żeniaczki! Tu zwracając się w stronę Jakóba, dodałem: — Mój kolega....

— A, przypominam sobie! Pan!... Tyndakowski, nieprawdaż? Miałyśmy przyjemność, na balu prawników...

— Ależ nie, mamo — odezwała się żywo panna Marja — to jest pan Łąkiewicz. Pan Tyndakowski *c'est l'autre, qui est si grand, si gros, et si...*

Marie! — zawołała hrabina i spojrzała na córkę, ale

pomimo tego macierzyńskiego napomnienia, po własnej jej twarzy, równie jak po twarzy córki, przeleciał jeden z tych złośliwych uśmiechów, bez których i aniołowie ponoś obejść się nie mogą, a jeżeli się obchodzą, to nie są aniołami. Hrabina N. i hrabianka Marja wydały mi się przynajmniej w tej chwili podwójnie anielskiemi ideałami, właśnie z powodu, że się tak uśmiechały na wzmiankę o Tyndakowskim.

— Ach, biedny ten Tyndakowski — westchnąłem w mściwej złośliwości mojej.

— Dlaczego, co mu się stało?

— Chory jest, bardzo chory!

— O, jakże go żałuję... brzydki to czas, panują zapalenia płuc, grypy....

— Niestety, pani hrabino, choroba mojego przyjaciela jest gorszego jeszcze rodzaju. Cierpi on od niejakiego czasu na zadumę, i lekarze obawiają się, aby nie dostał zupełnego pomięszania zmysłów...

Ponieważ w tej chwili znaleźliśmy się przed bramą pomieszkania hrabiny, więc pożegnaliśmy ją wśród wyrazów ubolewania z jej strony nad losem naszego przyjaciela.

— A teraz zawołałem na Jakóba, chodźmy czem prędzej do apteki!

Łąkiewicz wypatrzył się na mnie, jak gdyby przypuszczał, że jestem dotknięty chorobą którą imputowałem Tyndakowskiemu, ale dał się prowadzić machinalnie. W aptece kupiłem nieco preparatu

chlorowego, od którego niknie na papierze wszelki ślad zwykłego atramentu. . . . . .

. . . . . .

Gdy pan Władysław Ślepowron Tyndakowski wrócił do domu z śniadania, przy któremśmy go widzieli a które nawiasem mówiąc, skończyło się o czwartej popołudniu, służący zajęty właśnie pakowaniem jego rzeczy do tłumoka, wręczył mu dużą kopertę, zaadresowaną do niego tak starannie, że nie był opuszczonym żaden z jego tytułów. Wewnątrz znajdował się duży bilet, sztychowany na grubym kartonie, tej treści.

„Hrabia N. i hrabina z N. N. mają zaszczyt prosić J W. pana

Władysława Ślepowron Tyndakowskiego

kawalera orderów ect.

na wieczór dnia 1 Kwietnia 18.. o godzinie 9½.

U. s. o. o.

Kawaler ŚŚw. Porcjunkuli i Akkomodaty podskoczył z radości.

Wielkanoc przypadała owego roku na ostatnie dni marca, a data zaproszenia właśnie na ów wtorek, którego miał być z powrotem od ciotki. Włożył bilet w kopertę w pugilares,

bo jużci musiał pochwalić się przed ciotką tak zaszczytnem zaproszeniem. Za godzinę wyjechał koleją żelazną, marząc błogo o walcu z hrabianką Marją.

W niedzielę wielkanocną byłem u hrabstwa N. na święconem. Trafiłem jakoś tak, że prawie nie było gości, i rozmowa toczyła się *en famille*. Oprócz hrabiego, hrabiny i panny Marji było jeszcze dwoje mniejszych dzieci, i sędziwa pani Mouton, guwernantka Francuska, która wychowywała najpierw hrabinę, a następnie całe jej potomstwo. Ponieważ biedaczka dopiero dwadzieścia pięć lat bawiła w Polsce, więc oczywiście nierozumiała ani słowa po polsku, natomiast, pochodząc z Lotaryngji, umiała nieco po niemiecku. Za pomocą tego drugiego języka porozumiewała się z pokojówką, która także oprócz ojczystej polszczyzny, posiadała język niemiecki — tak, że co do fizjologii obiedwie te osoby mimo różnicy stanowiska swojego, nic sobie nie ustępowały. Zresztą była p. Mouton najzacniejszą pod słońcem osobą, i miała tylko tę jedną wadę że była nadzwyczaj trwożliwą. To też, gdy panna Marja wspomniała, że jeden z moich kolegów, p. Tyndakowski, zasłabł na pomięszanie zmysłów, i gdy p. Mouton, przypomniała sobie, że ten p. Tyndakowski był raz z wizytą u hrabstwa, zapytała mię z trwogą, jakim sposobem objawia się jego szaleństwo.

— Niewiem dokładnie, odparłem, ale mówiono mi, że od pewnego czasu wyobraża sobie, że jest zaproszonym na bal do jakiegoś dystyngowanego domu, i pojawia się tamże o porach dnia jak najmniej właściwych. Jeżeli ci, którzy mi donieśli o jego chorobie, nie przesadzają, to między innemi

miał on onegdaj o północy, dzwonić i szturmować do jeneralnej komendy, a gdy nadeszła warta, utrzymywał że jest proszony na bal do hr. Neipperga. Proszę sobie wyobrazić: bal w Wielki Piątek! Ale przypuszczam, że to nie prawda, jeżeli zaś prawda, to mam nadzieję, że po takiej awanturze oddano go pod nadzór lekarzy...

— Ach mój Boże! gdyby tu przyszedł, umarłabym z trwogi! zawołała p. Mouton.

— Niema powodu obawiać się takich obłąkanych, rzekłem. Potrzeba tylko udać, że się wchodzi w ich myśl, prosić ich np. siadać, a potem, z nienacka, wylać na nich jak najwięcej zimnej wody. Natychmiast przychodzą do siebie i poznają, że byli obłąkani.

— I powiadasz pan, że to środek niezawodny?

— Kilku najznakomitszych psychiatrów zaręczało mi, że niezawodzi on nigdy w takich wypadkach obłąkania, które polegają na wizytomanii.

— Muszę to sobie zachować w pamięci. Jednakowoż, nie wiem czy nie straciłabym głowy w danym razie. Jestem tak trwożliwą. Wyobraź pan sobie np. że we wtorek będę sama jedna w domu cały wieczór — całą noc prawie. Wszyscy jadą na wieczór do państwa X. Nie będzie nikogo w całem pomieszkaniu, prócz mnie z dziećmi, pokojówki i jednej dziewki w kuchni. Ah, s’il allait venir!

— Jeżeli pani obawia się tak mocno, to radziłbym, dać z góry instrukcje pokojówce. Ona sobie poradzi z dwoma warjatami, nie tylko z jednym.

— Pan masz słuszność, muszę jeszcze dzisiaj pomówić z Kasią.

Szanowny czytelnik przyzna, że jeżeli plan mojej zemsty był piekielny, to i zły los p. Tyndakowskiego uwziął się formalnie, aby mi dopomódz.

We wtorek wieczór znajdowałem się z Łąkiewiczem w cukierni. Był tam także ów prawie-hrabia z korzennego sklepu, i drugi jakiś *Gogo*, ubrany na bal a po chwili, pojawił się w całym majestacie białej krawaty, nasz bohater.

Nie raczył nawet spojrzeć na nas, ale podał tylko końce swoich paluszków obydwu pseudo-milordom, i zawiązała się taka rozmowa:

— Jakto, nie idziesz dzisiaj nigdzie? — zapytał Tyndakowski prawie-hrabiego.

— Nie, jestem znudzony i zmęczony świętami — była odpowiedź.

— A ty, czy także do państwa X? wtrącił Gogo.

— Nie, ja idę do hrabstwa N. Mówiłem wam przecież że jestem proszony.

— Ależ, zawołał Gogo, u nich dzisiaj nic nie ma! Wiem z pewnością, że będą u Xów!

— Ty mi będziesz mówił! odparł z dumą Tyndakowski.

— No, o zakład! pięć butelek szampana!

— Dziesięć!

— Stoi!

— Ażebyś się zaś nie męczył długo — zawołał p. Władysław — przekonam Cię natychmiast. To mówiąc, rozpiął zarzutkę, i błysnął na całą cukiernię kawalerskim krzyżem św. Porcjunkuli i Akkomodaty, zawieszonym na żółtej i zielonej wstążce, z dewizą: „Per augusta ad augusta.“ Z pod tego krzyża wydobył pugilares, a z

pugilaresu, bilet zapraszający. Nie było wątpliwości, Gogo uznał się pobitym.

. . . . . .

O pół do dziesiątej, hrabstwo N. z córką wyjechali na wieczór do państwa X., a pani Mouton, ułożywszy dzieci do snu, wydała jaknajdokładniejsze dyspozycje, w razie napadu, i usiadła z robótką w swoim pokoju. Pięć minut przed dziesiątą, rozległ się brzęk dzwonka w przedpokoju. Kasia wybiegła i otworzyła drzwi — dlaczego? niewiem, dosyć że otworzyła, chociaż najprostszą rzeczą w świecie było, nie otwierać wcale. Pan Tyndakowski wkroczył, rzucił tryumfujący wzrok w koło i zachmurzył się nieco, widząc, że żaden lokaj, nie pojawił się, ażeby zdjąć z niego zarzutkę, a nadto i Kasia wybiegła z przedpokoju. Nie było co robić — trzeba było rozebrać się bez pomocy. Nim to uskutecznił, Kasia wbiegła napowrót.

— Proszę pana do salonu, pani zaraz przyjdzie.

Spojrzał w źwierciadło, poprawił krzyż na piersi i ruszył.

W salonie w jednym rogu, świeciła się samotnie lampa. Żadnych przygotowań na przyjęcie gości nie było widać, owszem, wyraźne wskazówki, że nie oczekiwano nikogo. Dziwne myśli poczęły krążyć po głowie panu Tyndakowskiemu. Miałżeby jego zegarek iść źle i miałżeby on, niechcąc, stać się winnym takiego uchybienia przeciw dobremu tonowi, iż przybył o dwie godziny może wcześniej, niż był proszony? Okropna ta obawa sprawiła, że uderzył się w czoło i ruszył sążnistym krokiem przez

salon, jak człowiek, którego trapi jakaś myśl złowroga. Nim doszedł do drugiego końca, pani Mouton pojawiła się we drzwiach. Kawaler stanął z miną zaambarasowaną tylko, ale Francuzce, która widziała poprzednie jego ruchy tak gwałtowne, mina ta wydawała się krwiożerczą. Spojrzała na jego oczy. Władysław miał zawsze oczy przypominające zarżniętego barana — w tej chwili wydały się one okropnemi, dzikiemi, pełnemi szału.

Jak wszystkie osoby bardzo trwożliwe, pani Mouton w chwili niebezpieczeństwa zdobyła się na heroizm. Przyskoczyła obces do Tyndakowskiego, chwyciła go za ręce.

— Calmez-vous, monsieur, au nom du ciel, calmez-vous! On va venir vous recevoir tout de suite, tout de suite. Veuillez donc vous asseoir!

To mówiąc zaciągnęła go na kanapę, koło lampy i usadowiła go w karle, gładząc go po ramionach jak małe dziecko.

— Nous avez été souffrant, je le sais, mais ce n’est rien, ce n’est rien!

Pan Władysław nie wiele rozumiał po francuzku, ale gdyby był rozumiał, nie mógłby był straszniej wytrzeszczyć oczu, jak to uczynił. Wtem odchyliły się drzwi boczne, do których siedział plecami i weszły: Basia wraz z kucharką niosąc szaflik z wodą.

— Madame — wybełkotał kawaler łamiąc sobie głowę nad tem, co ma powiedzieć, madame, comment vous portez-vous?

— Dieu de la miséricorde! Voilà qu’il me prend pour une

folle — zawołała Francuzka, zrywając się z miejsca. I dobrze zrobiła że się zerwała, w tej chwili bowiem Basia i kucharka spełniły co im przykazano. Szaflik przez chwilę unosił się złowrogo nad głową kawalera, a potem nagle, cały kawaler wraz z śś. Porcjunkulą i Akkomodatą akkomodowany został najmniej spodziewaną kąpielą, jakiej kto kiedy doznał w życiu. Spełniwszy ten czyn i krzyknąwszy parę razy z przerażeniem: warjat! warjat! obie służące salwowały się ucieczką, zamykając na klucz drzwi za sobą. To samo uczyniła przed niemi pani Mouton. Otworem stały tylko drzwi do przedpokoju, i tamtędy też, nakrzyczawszy się najpierw trochę i naszturmowawszy po salonie, a potem podumawszy nieco nad swoim losem, cofnął się nasz bohater.

Mamże dodawać, że kiedy wychodził na ulicę, z różnych jej rogów i zakątków rozległ się śmiech, imitujący Mefistofila — spiew w Fauście i wołanie „Prima Aprilis.“

Mamże dodawać, że Gogo nie darował p. Tyndakowskiemu dziesięciu butelek szampana? Mamże dodawać, że ten ostatni podał się natychmiast o przeniesienie na prowincją, i że przez cały czas, póki to nie nastąpiło, zachowywał się nader skromnie i potulnie i nie pokazywał się prawie nigdzie?

To jedno dodać muszę, że przed świętami Wielkanocnemi onego roku zginęła mi była z biurka karta zapraszająca mię na bal u hrabstwa N., który się odbył był przeszłego karnawału. Zapewne ktoś przywłaszczywszy ją sobie, wywabił chemicznie słowa wpisane atramentem, a na

ich miejsce wpisał nazwisko p. Tyndakowskiego i datę 1-go kwietnia. Ale kto? — nie wiem.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Jan Lam](#).*

Obiadek u p. Jones

Z ANGIELSKIEGO.

Przed dwoma laty, gdy jako świeżo dyplomowany lekarz, przybyłem do Londynu w celu rozpoczęcia praktyki, ciocia moja, panna Ap-Rees, z Rees-Castle, w księztwie Walii, była tak łaskawą dać mi list polecający do swojego kuzyna, o którym zapewniała, że jest człowiekiem bardzo wpływowym i że mi w wielu rzeczach dopomódz może. Nazywał się Mr. Pwllhyll Jones[1] i mieszkał na przedmieściu Kensington. Był bogaty, i miał jedynaczkę córkę, o której zapewniła mię panna Ap-Rees, że jest nader piękną i miłą — dodając do tego tajemniczą uwagę, że taka sposobność nie zdarzy mi się dwa razy w życiu.

Nająłem wygodne pomieszkanie przy ulicy Straud, w pierwszej połowie grudnia. Ponieważ zaś mam pamięć, która mię często zawodzi, wyprawiłem odrazu list mojej ciotki do p. Jones. Był on już kompletnie zaadresowany jej dużem, staroświeckiem pismem, włożyłem więc tylko mój bilet wizytowy w kopertę, zapieczętowałem ją i oddałem na

pocztę. Na bilecie stało, że p. John Rees ap Rees, M. R. C. S.[2] z Biggwsberris, będzie miał zaszczyt złożyć p. Pwllhyll Jones w środę wieczorem swoje uszanowanie. Byłem rad, gdy się pozbyłem tego kłopotu z głowy. Nazajutrz otrzymałem nader grzeczne pismo od p. Jones, który mię prosił, ażebym z pominięciem wszelkiej ceremonji przybył do niego wprost na obiadek, *en famille*, a ponieważ — dodawał — „miałeś pan i bez tego być u mnie w środę wieczór, nie potrzebujesz pan trudzić się odpowiedzią na ten mój bilet. Obiad będzie na stole o siódmej, ale przyjdź pan choćby najwcześniej, jeżeli łaska“. Było to wielką uprzejmością ze strony p. Jones, i postanowiłem przyjąć jego zaproszenie.

Pamiętny prawidła, że pierwsze wrażenie bywa decydującem, ubrałem się w środę nadzwyczaj starannie i o szóstej ruszyłem podziemną miejską koleją żelazną na przedmieście South-Kensington. Gdym przybył na stację, przypomniałem sobie dopiero, że nie zanotowałem sobie adresu p. Jones. Znajdował on się na kopercie listu mojej ciotki, ale z mojej pamięci uleciał zupełnie — wiedziałem tylko że przedmieście nazywa się Kensington, o nazwie zaś ulicy i numerze domu nie miałem najmniejszego wyobrażenia...

Ba, prawda! Wszak miałem jego pismo w kieszeni! Wydobyłem je czemprędzej i oglądnąłem — niestety, pokazało się że i p. Jones zapomniał umieścić swój adres na bilecie!

Mniejsza o to, pomyślałem, jest zaledwie kwadrans na siódmą, a chociaż przedmieście Kensington jest

niepospolicie długie i szerokie mam dosyć czasu do odszukania człowieka, który musi być powszechnie znanym w swojej dzielnicy. Udałem się do policmana, który stał opodal: ten wszakże, na nieszczęście, znał w całem Kensington tylko jednego p. Jones, właściciela zakładu zastawniczego. Nie mógł to być ten którego szukałem; policman radził mi tedy udać się do dorożkarzy. Zwołałem mityng zacnych tych obywateli, oni zaś, po dłuższej ankiecie, uchwalili, że p. Jones, którego potrzebuję jest panem Jones z Redclyffe-Square. Kilku ofiarowało się zawieść mię tam, a jeden dopiął w istocie tego celu. U bramy, przed którą stanął, znajdowała się mosiężna tablica z napisem: „Mr. P. Jones“ dużemi literami, i jakimś drobnym dodatkiem, którego przy niedostatecznem oświetleniu odczytać nie mogłem, odprawiłem dorożkarza i zapukałem. Otworzył mi lokaj wyglądający raczej na karawaniarza.

— Czy pan Jones jest w domu? — zapytałem.

— Jest, panie — odparł, przypatrując mi się takim wzrokiem, jak gdyby mi chciał brać miarę na trumnę. — Zapewne ten pan, który miał być o siódmej? — dodał.

— Ten sam — rzekłem uradowany.

— Mój pan oczekuje pana — wypłakał więcej niż wypowiedział grobowym głosem, poczem z wyrazem niewysłowionej boleści otworzył jakieś boczne drzwi i wprowadził mię do gabinetu, który zakrawał na księgarnię, albo na salon lekarza. Tam wręczył mi najnowsze wydanie dziennika *Times* i wyszedł.

Fotel, na którym się usadowiłem, był niezmiernie

wygodny. Zdaje mi się, że nigdy w życiu nie widziałem nic równie wygodnego i postanowiłem w duchu kupić sobie kiedyś mebel równie przyjemny. Poręczy było można za pomocą zgrabnej korby nadać pochylenie, jakiego pragnąłeś, a u góry znajdował się przyrząd, na kształt wklęsłej poduszki, na którym można było rozkosznie oprzeć głowę. Tymczasem wszedł pan Jones. Był to tęgi i dobrze odżywiony mężczyzna, którego rumiana twarz wszakże na mój widok przybrała wyraz serdecznego współczucia. Zastanowiło mię także, że był w porannem ubraniu,[3] podczas gdy ja wystroiłem się był na ostatni guzik. Powstałem, a pan Jones podał mi rękę i uścisnął moją serdecznie nie zmieniając bynajmniej owej miny wyrażającej jakoby sympatję i uszanowanie dla niezasłużonego cierpienia.

— Jak się mamy dzisiaj? — szepnął przekrzywiając głowę na jedną stronę.

Forma zapytania była dość naturalną między lekarzami, odpowiedziałem tedy, że nigdy nie miałem się lepiej, jeno że mię cokolwiek jeden ząb boli.

— A tak, tak — zauważył, jak gdyby mu to właśnie sprawiało niewymowną ulgę i wskazał mi ręką fotel, przysuwając go oraz prosto pod płomień gazowy.

— Jakiś ekscentryk — pomyślałem sobie, siadając, podczas gdy p. Jones położył mi lewą rękę na głowie, a prawą trzymał po za sobą.

— Bądź pan łaskaw otworzyć nieco usta — rzekł.

Uśmiechnąłem się i wykonałem, czego sobie życzył. Widocznie p. Jones był miłośnikiem koni i z nawyczki

chciał z moich zębów poznać mój wiek i ogólne uzdolnienie.

— Nieco szerzej, jeśli łaska — mówił dalej.

Tego mi już było nieco za wiele, ale ponieważ ciocia nakazała mi była jak największą uprzejmość dla swego kuzyna, nie chciałem mu się sprzeciwić w takiej bagatelce i otworzyłem usta jak mogłem najszerzej.

Gospodarz mój wpatrzył się w ich głąb przez parę sekund, i nagle nim mogłem krzyknąć, szybkim ruchem ukrytej prawej ręki założył jakiś okropny instrument na jeden z najmilszych mi moich zębów trzonowych, szarpiąc go nielitościwie.

Teraz już mi brakło cierpliwości. Zerwałem się z fotelu i odepchnąłem go o kilka kroków, ciskając jego instrument o ziemię. Staliśmy na przeciw siebie i mocno zaperzeni, wpatrywaliśmy się ostro w oczy jeden drugiemu. Zębowi memu nic się wprawdzie nie stało, ale byłem mimo to niezmiernie oburzony na ten szczególny sposób przyjmowania gości.

Po kilku ostrych słówkach nastąpiło wyjaśnienie — p. Jones wręczył mi bowiem swój bilet, na którym stało: Mr. Penrhyn Jones lekarz-dentysta!“ A więc, nie Pwllhyll! Nieszczęsny zbieg okoliczności chciał, że *ten* Jones zamówił był właśnie na siódmą godzinę jakiegoś pacjenta. Nie pozostało nam jak przeprosić się nawzajem.

Lokaj o grobowej minie uśmiechnął się nieznacznie, gdy mię wypuszczał na ulicę. Jestem pewny że nędznik ten domyślał się wszystkiego. Na wszelki wypadek odetchnąłem swobodnie dopiero na świeżem powietrzu.

Cóż począć dalej? Przypadkiem, zoczyłem na drugim końcu placu listonosza. Dopędziłem go i zapytałem wyraźnie, czy nie zna p. Pwllhyll Jones?

— Jones, Jones, hm — odparł, znam jednego p. Jones, nie wiem czy Pwllhyll, ale to pewna, że ma pierwsze imię zaczynające się na P. Mieszka pod l. 40, Queens-Gate.

Ulica *comme il-faut*, widocznie więc musi to być mój Jones. Wziąłem świeżą dorożkę i udałem się pod numer wskazany. Wszystkie okna w domu były mocno oświetlone; widocznie przygotowano jakąś fetę, i mój Jones nie żałował pieniędzy. Zapukałem skromnie wobec takiej okazałości — otworzył mi lokaj w niezmiernie sutej liberji. Przypatrzył mi się dość pogardliwie przez ramię i rzekł:

— Spóźniliście się trochę panie bracie!

— Czy obiad już się zaczął? — odparłem machinalnie.

— Zaczął? Jakże się może zacząć bez was hę? była odpowiedź.

Zapewnienie to było pochlebnem, ale zbytek poufałości ze strony fagasa oburzał mię mocno. Zdjąłem wierzchnie odzienie i kapelusz, a ugalonowany grubijanin rzucił te rekwizyta moje w kąt przedpokoju.

W tej chwili, niezmiernie piękna panienka zbiegła na dół po schodach pierwszego piętra. Miała na sobie bardzo powabną demi-toilette, czy coś podobnego, nie wiem dotychczas, jak się to nazywa.

— O, jesteś pan, chwała Bogu! — zawołała.

To było czarującem i ukłoniłem się skutek tego jak najniezgrabniej, rumieniąc się po same uszy.

— Jeszcze nic a nic nie ma na stole, — mówiła dalej z

powabnym uśmiechem. — O, chodź pan, zobacz!

W istocie zachwycająca osóbka; widocznie córka p. Jones, nie lubiąca ceremonij, równie jak jej ojciec.

Ale co to miało znaczyć? Panna Jones wprowadziła mię do nader eleganckiego salonu jadalnego, w którym stał duży stół nakryty białym obrusem najprzedniejszego gatunku i niczem więcej. Urocza panienka wskazała mi paluszkiem stojący opodal bufet, zawalony stosami sreber, a jednocześnie grubijanin w złotych galonach i drugi podobniuteńki z nim razem, weszli do pokoju i stanęli w służbistej postawie.

Okropne podejrzenia zaczęły snuć mi się po głowie.

— Proszę spieszyć się, wyszczebiotały dalej czarowne usteczka.

— Pro... proszę pani, — wyjąknąłem, czy to nie jest dom p. Pwllhyll Jones?

Czarodziejka odpowiedziała mi głośnym wybuchem śmiechu. Pokazało się, że panem domu był Sir Paul Jones, Baronet prezydent zarządu dróg i mostów, że dawał wielki objad tego wieczora i że — do djaska! wzięto mię za kredencerza, którego miał przysłać na tę uroczystość Gunter, właściciel zakładu gastronomicznego, w celu przybrania stołu z większym niż zwykle przepychem!!!

Wśród rumieńców i przeprosin ze strony pięknej panienki, sam nie wiem jakim sposobem dopadłem mojego paletotu i kapelusza, i jak oparzony wyleciałem z pod Nru. 40 Queens-Gate, z zamiarem lecenia na drugi koniec świata.

Ochłonąwszy nieco, spojrzałem na zegarek, i

przekonałem się, że nie minęły jeszcze były trzy kwadranse na siódmą. Jeszcze nie wszystko stracone, pomyślałem. Pobiegłem w górę ulicy, i skręciłem na Kensington-High-Street, gdzie zobaczyłem biuro ajenta pomieszkań. To wydało mi się kotwicą zbawienia. Wstąpiłem dla zasięgnięcia informacji.

— Pwllhyll Jones — powtórzył ajent — czy pan jesteś pewny, że Pwllhyll?

— Nie mam najmniejszej wątpliwości, — odparłem.

— Hm, hm — mówił, przewracając kartki w ogromnej księdze. — Jakiś p. Jones zajmuje Nr. 15, Holland-road; może to będzie ten, którego panu potrzeba.

Na wszelki wypadek należało spróbować, po raz trzeci wziąłem dorożkę i odszukałem dom, wskazany przez ajenta. Wyglądał on dość przyzwoicie i znajdował się na końcu niezmiernie długiej a wązkiej ulicy. Zaledwie dotknąłem ręką dzwonka, gdy ktoś ostrożnie otworzył drzwi wchodowe, a przez otwór pokazała się głowa jakiejś wystraszonej, starszej kobieciny.

— Czy pan doktor? — zagadnęła mię nieśmiało.

— Tak jest, doktor Rees.

Staruszka dała mi znak ręką, a gdy wszedłem, zamknęła drzwi od ulicy. Mimo dość ciemnej sieni spostrzegłem, że była bardzo bladą i drżała na całem ciele.

— Niech pan doktor chyba sam idzie na górę, szepnęła. Jednocześnie dał się słyszeć „na górze“ — okropny łoskot, i duża kruszcowa taca zleciała ze schodów. Kobiecina z krzykiem uskoczyła na bok do jakiegoś pokoiku i zamknęła mię samego w sieni. Wszystko to razem wyglądało nie zbyt

zachęcająco, i chciałem już zabrać się do odwrotu, ale ciekawość we mnie przemogła. Dość śmiało wyszedłem na schody. Na górze było kilka drzwi, jedne z tych były odchylone i przepuszczały nieco światła — po za niemi zaś, w pokoju, jakiś jegomość klął w sposób nigdy i nigdzie nie praktykowany. Bałem się, czy nie natrafiłem na jaką sprzeczkę rodzinną, odchrząknąłem tedy głośno, ażeby dać do poznania, że nadchodzi ktoś obcy. Harmider ustał na chwilę, a jegomość niewidzialny zawołał tonem złego humoru:

— Kto tam? Niech wejdzie!

Jakkolwiek wezwanie to nie było zachęcającem, wszedłem i ku wielkiemu mojemu zakłopotaniu znalazłem się w czyjejś sypialni. Mężczyzna średniego wieku, o mocno czerwonej twarzy, wpół ubrany leżał na łóżku, wszystkie sprzęty w pokoju były poprzewracane, a poduszki leżały na podłodze. Jegomość spojrzał na mnie dziko, i krzyknąwszy nagle:

— A-ha! Coraz was więcej! — rzucił mi jeden ze swoich materaców na głowę.

Domyśliłem się natychmiast, że znowu zaszła jakaś pomyłka.

— Czego chcesz odemnie, ty czarcie przebrzydły? — zawołał raz jeszcze szanowny gospodarz, i nim jeszcze zdołałem wymówić słowo, albo ruszyć palcem, rzucił się na mnie, chwycił mię za szyję i począł mię dusić. Poznałem, że mam do czynienia z człowiekiem cierpiącym na *delirium tremens*, i że zastałem go w chwili najgwałtowniejszego paroksyzmu. Z wielką biedą wyswobodziłem się z jego

szponów, a spostrzegłszy w pobliżu drzwi otwarte, wybiegłem niemi i znalazłem się w alkierzyku, który nie miał drugiego wychodu, jak chyba przez okno. Nie było czasu namyślać się, bo warjat szturmował już do drzwi, które zaledwie zatrzasnąłem — otworzyłem więc okno i namacawszy w ciemności rynnę, począłem spuszczać się po niej na dół. Piętro nie było wysokie, rynna miała ujście swoje w beczce na deszczówkę, która, na moje szczęście nie zawierała zbyt wiele wody — ledwie po kolana. Tymczasem mój pacjent dotarł do otwartego okna, zaczął bombardować mię — mniemanego czarta, czy smoka — szczotkami, miednicami, chłopcami od butów, stołkami, poduszkami na szpilki i innemi pociskami tego rodzaju. Gdy kanonada ta nieco ustała, podniosłem nieśmiało głowę, którą dotychczas chowałem jak mogłem, i rozglądnąłem się w koło. Pokazało się, że jestem na jakiemś maleńkiem podwórku, oddzielonem od ulicy wąskim murem, którego szczytu dosięgnąć mogłem stając na przewróconej beczce. Wykonałem to ćwiczenie gimnastyczne z łatwością, i wnet znalazłem się nie tylko na chodniku, ale nadto — w objęciach policmana.

— No, no, ptaszku, nic ci to nie pomoże, szarpać się i kopać — przemówił do mnie, trzymając mnie jedną pięścią za kołnierz, a drugą w pasie — chodź ze mną spokojnie albo tak cię poczęstuję, że ci tchu nie stanie.

Oczywista, że zacząłem tłumaczyć się i próbowałem opowiedzieć mu całą moją historję.

— Oświadczam ci w myśl prawa — była odpowiedź — że cokolwiek teraz powiesz, może być użytem jako dowód

przeciw tobie, najlepiej więc milcz! — Poczem, pomimo mojego szamotania się, doprowadził mię do rogu uliczki, gdzie dał sygnał gwizdawką. Na ten znak pojawił się drugi konstabl, jakby z pod ziemi i obaj wzięli mię między siebie i odprowadzili na stację policyjną, wśród gwarnych komentarzy licznego tłumu włóczęgów, bab i uliczników.

Przedstawiono mię inspektorowi. Byłem bez kapelusza, postradałem w walce z furjatem krawatkę i kołnierz od koszuli, przy ucieczce po rynnie część paletotu i fraka, w trzewikach miałem pełno wody i byłem cały obmoruzany jak nieboskie stworzenie. Wszystko to razem świadczyło, że muszę być nader niebezpiecznym zbrodniarzem. Usiłowałem zestawić inspektorowi zwięzły obraz moich przygód, ale mnie nawet nie słuchał. Konstabl, który mię schwytał, zaprzysiągł, że od dłuższego czasu włóczę się w tej okolicy i że miał baczne oko na mnie, jako na znanego rzezimieszka. Towarzysz jego ze swej strony utrzymywał, że czuć odemnie w haniebny sposób gorzałkę i że byłem do nieprzytomności pijanym. Jedno i drugie brzmiało bardzo pochlebnie dla mnie, ale z dwojga złego oskarżenie o pijaństwo gniewało mnie mocniej. Nie było nic łatwiejszego, jak wykazać się, że nie jestem złoczyńcą — co innego atoli byłoby przekonać uprzedzonego a upartego konstabla, że nie byłem w karygodny sposób pijanym — ponieważ to się i porządnym zresztą ludziom zdarza. Żądałem tedy kategorycznie, ażeby wezwano lekarza okręgowego, któryby trzeźwość moją poświadczył, a inspektor ku niejakiemu zdziwieniu mojemu, zgodził się na to. W oczekiwaniu lekarza, zaprowadzono mię do izby nad

wszelki wyraz pustej i ponurej, w której nie było innych sprzętów, jak tylko dwie drewniane ławki.

Po kwadransie pojawił się doktor, mały, gruby, rumiany człowieczek, z ogromną na głowie łysiną. Temu zdałem relację z moich cierpień.

W miarę jak opowiadanie moje rozwijało się, twarz jego, z początku aż do surowości poważna, przybierała wyraz coraz bardziej jowialny, a w końcu, jak gdyby nie mógł dłużej wytrzymać, rzucił się na jedną z ławek i trzymając się za boki, począł zanosić się od śmiechu, ale to aż do łez.

Oburzyło mię to poniekąd, bo przyznam się że nie widziałem nic humorystycznego w tej okoliczności, iż byłem dotychczas bez objadu, a do tego i w kozie — ale uwagi moje w tym duchu czynione wywoływały tylko nowe spazmy śmiechu u szanownego Eskulapa. Po dłuższym dopiero czasie, przyszedłszy chwilowo do siebie zdołał wykrztusić:

— Jak to, do krocset, czy pan jeszcze nie pojmujesz? Ach człowiecze, ja, *ja* jestem Pwllhyll Jones i od kwadransu czekaliśmy na pana z objadem, gdy konstabl przyszedł zawezwać mię do skonstatowania stanu jakiegoś przytrzymanego pijaka. Cha, cha, cha! — Nowe spazmy śmiechu.

Ma się rozumieć, że po tem poznaniu policja puściła mię natychmiast i że towarzyszyłem memu przyjacielowi do jego miłego i z komfortem urządzonego domu na Camden-Hill gdzie przy jego pomocy poprawiłem moją toaletę, o ile to się uczynić dało, zważywszy różnicę wzrostu i tuszy zachodzącą między nami. Następnie wprowadził mię do

salonu i przedstawił mię swojej córce, której przymiotów duszy i ciała ciocia moja wcale w zbyt dobrem świetle nie przedstawiła — owszem, znajduję i to jeszcze dziś, po dwóch latach, że ciocia nie opisała ani jej piękności, ani wdzięku, ani dobroci tak jak należało. Co do mnie, owo „pierwsze wrażenie“, na które tak liczyłem, strojąc się z wszelką starannością, nie dopisało niestety, dzięki zbyt kusemu i zbyt obszernemu kostjumowi dra Jones — ale panna, dowiedziawszy się o moich przygodach, anielską swoją słodyczą wynagrodziła mi wszystkie sarkazmy i przytyki swego ojca. I ten, jak się wkrótce pokazało, pomimo swojej jowialności, był z gruntu poczciwym człowiekiem — i wkrótce jak przepowiadała ciocia, wyświadczył mi niezmierne przysługi. Właściwie bowiem jemu mam do zawdzięczenia ciepłe gniazdko i rozległą praktykę, jaką mam obecnie w rodzinnem mojem mieście Riggwsberris. Co się tyczy obiadu, nie ucierpiał on bynajmniej na krótkiej zwłoce i smakował mi tak wybornie, że dotychczas z przyjemnością o nim wspominam.

P. S. Pani doktorowa Rees z domu Jones, przeczytawszy powyższe opowiadanie, twierdzi, że gdybym ją był widział owego wieczora po mojem odejściu, spazmującą od śmiechu na jednej kanapie, podczas gdy jej ojciec czynił to samo na drugiej, to nie wiele miałbym był do powiedzenia o jej „anielskiej słodyczy“. Ale ja temu nie wierzę.

1. ↑ Przestraszonego tym zbiegiem spółgłosek czytelnika niechaj uspokoi wiadomość, że w języku walijskim *w* pisze się zamiast *u*, a podwójne *l*, zamiast miękkiego naszego *ł*. To pomoże znacznie do wymówienia powyższej łamigłówki. *Przyp. tłum.*
2. ↑ Medikal Royal College Surgeon. *P. tł.*
3. ↑ W Anglii, nawet w średnich stanach i w kółku rodzinnem siada się zazwyczaj do obiadu we fraku. Człowiek nie żyje wprawdzie na to, aby jadł, ale je, aby żył — jedzenie tedy jest ważną uroczystością, wymagającą świątecznego stroju. *Przyp. tłum.*

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Jan Lam.*

Jaś i Johann.

STUDJUM NIEMAL ETNOLOGICZNE.

(Z teki kronikarskiej).

Johann urodził się jako syn kolonisty niemieckiego pod Gródkiem. Ojciec jego nazywał się, dajmy na to, Purzpichler, miał cztery morgi gruntu i ośmioro dzieci. Z tego powodu, gdy Johann, najmłodszy, miał rok dziesiąty i umiał już od biedy czytać i pisać, ojciec, przewidując, że mu nie zostawi osobnego gospodarstwa, a nie chcąc go chować na parobka, udał się do dalekiego kuzyna swojego we Lwowie utrzymującego restaurację i piwiarnię, który przyjął Johanna na służbę pod „Zielonego zająca“.

Jaś był synem kamerdynera u hrabiego X. Stary hrabia i młody hrabia nazywał się Artur. Stary hrabia znoszoną garderobę dawał ojcu Jasia, który się nazywał Swietnicki, a młody hrabia swoją dawał Jasiowi. Stąd Jaś wyglądał

prawie tak pięknie, jak młody hrabia, a w oczach swojej matki nawet piękniej. Dla tego też uznała, że tak piękne dziecko powinno mieć piękne imię i skoro tylko obrzędy kościelne pozwoliły na to, dała mu na bierzmowaniu imię Artur. Odtąd już Jaś nazywał się zawsze Arturem, i był to chłopak ładny, zwinny i dobrze ubrany. Ale gdy miał lat dziesięć, stary Swietnicki umarł; matka nie mając utrzymania, musiała sama pójść w służbę, a nie wiedząc co począć z synem, udała się do tego samego restauratora, u którego już był Johann, i ten przyjął Jasia-Artura na służbę pod „Zielonego zająca“.

Poznałem tam obydwóch. Mam ten zwyczaj, że gdy mię ludzie zmęczą, jedni brakiem towarzyskości, a drudzy jej zbytkiem, chowam się do piwiarni o takiej porze, kiedy w niej prawie nie ma gości, przynajmniej znajomych i czasem coś czytam, a najczęściej tylko piję jednę szklankę piwa po drugiej, palę jedno cygaro po drugiem, póki mi żywo w oczach nie stanie prawda, że ze wszystkich towarzystw najnieznośniejszym bywa człowiekowi tète-à-tète z samym sobą. Otóż siedząc w ten sposób całemi godzinami pod „Zielonym Zającem“ przypatrywałem się rozwojowi karjery Johanna i Artura.

Artur do trzech dni nauczył się usługiwać gościom, rozróżniać kategorje i ceny potraw, pamiętać co kto zamówił i uwijać się jak mucha. Goście lubili go i dostawał często od tego i owego po parę centów; niezmiernie też szybko z podrzędnego posługacza doszedł do wyższej rangi rzeczywistego garsona, czyli jak mówią we Lwowie, kelnera.

Johann, nadzwyczaj mały chłopak o czerwonych tłustych policzkach i poczciwie wytrzeszczonych niebieskich oczach, stał zawsze tylko w przedpokoju koło szaflika i mył talerze, szklanki i sztućce, przyczem co chwila albo sam gospodarz, albo ktoś ze starszej służby, częstował go szturchańcami i nakręcał mu uszy za rozmaite *peccata omissionis* lub *commissionis*. Jego polszczyzna niesłychanie niepoprawna, była jedyną jego zaletą, bawili się nią bowiem goście, ale żaden mu nigdy nie dał ani centa. Trwało to długie lata, nim Johann, jako uznany tuman, dostąpił tego zaszczytu, że wolno mu było podać gościowi szklankę piwa.

Dziwiło mię nieraz w ciągu samotnych moich rozmyślań, że Johann przy tem wszystkiem zdawał się być wesół i dobrej myśli, podczas gdy starsza służba, nie wyjmując Artura, miała zwykle miny znużone i ponure, w owych niezwykłych popołudniowych godzinach, w których zaszczycałem „Zielonego zająca“ moją obecnością. Przypadek wyjaśnił mi po części tę zagadkę. Wracałem raz bardzo późno z reduty i ujrzawszy przez szparę w firance światło w piwiarni, zajrzałem z ulicy do środka. Zobaczyłem na stole sporą kupkę „szóstaków“, a dokoła pp. kelnerów, między nimi Artura, żwawo grających w kostki.

Johann spał opodal pod ścianą na ziemi, ze stosem serwet pod głową. Po złem jedzeniu i złem winie na reducie uczułem jakoś pragnienie, zapukałem tedy. Nikt się nie ruszył. Powtórzyłem pukanie i dokazałem tego, że Johann zerwał się na równe nogi i otworzył piwiarnię. Szanowne towarzystwo grające w kostki, przyjęło z oburzeniem do

wiadomości moje żądanie, ażeby mi dano piwa. O tej porze! Gospodarz spi, piwa nie ma.

Wtem Johann odezwał się nieśmiało, mniej już teraz łamaną polszczyzną, bo parę lat przecie przebył we Lwowie, że gospodarza można zbudzić i piwo natychmiast będzie.

W istocie uwinął się i przyniósł szklankę. Kazałem sobie zaświecić w przedpokoju, ażeby nie przeszkadzać grze w kostki, wypiłem moje „kisielkowskie“ i dałem Johannowi należytość, do wręczenia płatnikowi, osobno zaś dla niego dałem „szóstaka“. Ten „szóstak“ sprawił niemal cuda. Odtąd, ile razy pojawiłem się pod „Zielonym zającem“, Johann patrzył mi w oczy jak inteligentny wyżeł, pragnący odgadnąć życzenia swego pana. Dostawał odtąd często rozmaite centy i czworaki, ale czy dostał czy nie dostał, usługiwał mi zawsze „na wyskoki“.

Uważałem przeciwnie, że Artur, jeżeli kiedy odszedłem nie dawszy mu „szóstaka“, nazajutrz udawał, że nie domyśla się nawet mojej obecności w piwiarni, albo jeżeli dostał tylko cztery centy, to przynosił mi wyszczerbioną szklankę, odsuwał zapałki daleko odemnie i szedł potem do zwierciadła poprawiać swoją toaletę.

Powoli przestał być moim faworytem, i choćby stał tuż koło mnie, wołałem na całe gardło: „Johann!“ i Johann zjawiał się galopem uśmiechnięty i uradowany. Ręczę, że gdyby był posiadał taki *appendix*, jakiem natura obdarzyła jedynych przyjaciół ludzkości, t. j. psy, byłby nim kiwał z radości.

Pies też stał się przyczyną, że coraz bardziej polubiłem

Johanna. Właściciel piwiarni miał mopsa, który cierpiał kurcze i piszczał nieznośnie; uchwalono tedy posłać go do oprawcy i kazać uśmiercić.

Pierwszy do tej czynności zgłosił się Artur, przypuszczam, że nie ze złego serca, ale z chęci powłóczenia się po mieście. Gospodarz uchwalił atoli, że Artur jest potrzebnym w piwiarni, bo są goście, a Johann niech idzie z mopsem do hycla. Po raz pierwszy spostrzegłem, że Johann niechętnie spełniał otrzymany rozkaz — ale poszedł. Po trzech kwadransach zjawił się napowrót, zadyszany, spłakany i z mopsem na rękach, jął opowiadać po swojemu, jak na podwórzu u oprawcy biedna psina stawała przed nim na dwóch łapkach i tuliła się do niego, roniąc łzy, jak gdyby przeczuwała co ją czeka i prosiła o litość. Gospodarz miał się już ku uszom Johanna za tę jego czułość, ale wpływowi mojemu udało się powstrzymać go i wyrobić nawet pardon dla mopsa, o który Johann błagał. Opowiedziałem to zajście innym gościom, uczęszczającym pod „Zielonego zająca“, mianowicie takim, o których wiedziałem, że mają więcej serca niż przywiązania do luźnych szóstaków w swoich portmonetkach, i Johannowi coraz lepiej odtąd się działo.

Tymczasem nastały owe czasy, w których ś. p. Dzierzkowski rozpoczął kampanię przeciw wyłącznemu panowaniu niemiecczyzny w restauracjach lwowskich. Zaczęto podawać gościom polskie „spisy potraw“, a Artur obecnie już substytut płatnika, miał pod „Zielonym zającem“ missję wypełniania odnośnych formularzy po polsku, tj. był rodzajem kelnera-rodaka bez teki dla spraw

galicyjskich.

Pewnego razu studjując taki dokument, odkryłem w nim nieznane mi dotąd *item* gastronomiczne, które się nazywało: *slic garnierowane*. Sądziłem, że to dzieło Johanna, zawoławszy go tedy i pokazawszy mu corpus delicti, zapytałem, jakby też te słowa, „śledź garnirowany“ brzmiały w drugim przypadku?

— W drugim przypadku — odparł namyślając się — w drugim przypadku, *mosze bic marinowane!*

Powstrzymałem się od śmiechu i wyjaśniłem mu, o co mi chodzi, dodając do tego treściwy wykład ortografii i ortoepii polskiej, wraz z napomnieniem, że między ludźmi powinienby przecie nauczyć się mówić po ludzku. Nie tylko wziął sobie to wszystko do serca, ale w jakiś czas potem zasłyszałem, jak w przedpokoju wykładał Arturowi teorję graficznego przestawiania śledzi różnego rodzaju i w różnych przypadkach, Artur słuchał go niechętnie i w końcu mruknął coś w tym guście:

„Co on mnie będzie uczył; co mi za pan; ja nie takich panów widziałem“.

Miałem wszelkie powody przypuszczać, że wyrażony w ten sposób brak uszanowania, odnosił się do mnie, postąpiłem z nim atoli tak, jak postąpiłbym z wycieczką w *Strażnicy*, tj. nie żądałem wcale satysfakcji. Inni *habitués* „Zielonego zająca“ tymczasem, którzy znać także byli mniejszymi panami, a nie takimi, jakich widział Artur, i którym on to coraz wyraźniej dawał do poznania w miarę jak mu przybywało najpierw szóstaków, a potem guldenów w kieszeni — byli mniej cierpliwymi a w końcu p. Artur

stracił posadę. Nie wyszło mu to atoli na złe, bo mając układ elegancki i ubiór przyzwoity, znalazł miejsce w restauracji hotelowej, należącej do pierwszorzędnych w mieście. Jednocześnie gospodarz z pod „Zielonego zająca“, będąc w ambarasie o zaufanego i obrotnego płatnika, dowiedział się ze zdziwieniem, że jego Johann z rozmaitych centów, czworaków i szóstaków, otrzymanych od gości, uciułał już sumkę wystarczającą na złożenie kaucji, wymaganej od płatnika i wynoszącej zazwyczaj tyle, co dzienny dochód *brutto* tj. od kilkudziesięciu do dwóchset czasem złr. w. a. i więcej. Pod „Zielonym zającem“ wymagania nie były wygórowane, i Johann został płatnikiem najpierw na próbę, a później na dobre.

Po kilku latach niebytności, powróciwszy do Lwowa, zastałem moich znajomych obydwóch na urzędzie płatników. Johann był ciągle pod „Zielonym Zającem“ i poznał mię od razu, nie pozwolił nikomu wyręczyć się w obowiązku zdjęcia ze mnie wierzchnej odzieży, i nie wiedział gdzie mię posadzić, ażeby mi było wygodniej. Artur po różnych, jak się dowiedziałem peregrynacjach, był znowu płatnikiem w hotelu. Ubrany był według najnowszej mody, na ulicy nosił *pince-nez*, a w sali suwał lakierowanemi stopami po posadzce i spoglądał po ludziach, w sposób jeszcze bardziej impertynencki od *gogów* którym usługiwał. Ma się rozumieć, że nie raczył mię poznać — natomiast nie zapomniał przy rachunku swojego zwykłego: „16 a 36 jest 68, a 42 jest reński 35; dwie bułeczki i piwo, razem 1 złr. 98 ctów.“ Johann nigdy nie mylił się w dodawaniu i nie policzył nikomu jednej

szklanki piwa więcej niż się należało.

Szczególnie charakterystyczną była różnica w postępowaniu ex-Jasia i Johanna z tymi gośćmi, którzy potrzebują kredytu. Znam ludzi którzy dziś są wysokimi urzędnikami, a którzy będąc jurystami, bezpłatnymi praktykantami lub auskultantami, nie poginęli z głodu, albo nie zwichnęli karjery jedynie dla tego, że Johann, usłużnością i oszczędnością swoją dorabiając się coraz więcej grosza, udzielał im miesięcznego, kilkumiesięcznego, rocznego, a czasem nawet kilkuletniego kredytu, oczywiście na skromne obiady i wstrzemięźliwe kufelki piwa. Zobaczymy że wcale na tem źle nie wyszedł. Ale niechnoby pod „Zielonym Zającem“ pojawił się jaki panicz, kazał sobie i towarzystwu podać kilka butelek szampana, dziczyznę, indyki i t. p. i nie zapłacił? Johann nigdyby tego nie zniósł. Gdyby natomiast jaki biedak niemiał pieniędzy na rosół i sztukę mięsa z jarzyną, to aniby był śmiał udać się do Artura, aniby mu też Artur był pokredytował. Za to, wiem z dobrego źródła, że tacy panowie „jakich on widział“, winni mu byli po sto kilkadziesiąt złr. za jedną kolację, ale tych stukilkudziesięciu znowu on — „nigdy nie widział“.

Lata płynęły — nie byłem we Lwowie bardzo długo, a gdy wróciłem, jedną z pierwszych moich czynności było pójść na medytację pod „Zielonego Zająca“. Przypomniałem sobie z rozrzewnieniem, ile to tam w kąciku pod oknem wylęgało się w mojej głowie myśli i projektów, politycznych, literackich i artystycznych — ile utworzyłem nienapisanych później nigdy epopei i

dramatów — ile, zwłaszcza po dłuższym pobycie i gdy „Kisielkowskie“ było szczególnie dobre, uroniłem łez przez nikogo niewidzianych nad sytuacjami wzniosłemi lub tragicznemi, które w duchu tworzyłem — albo ile też czasem uśmiałem się z konceptów, które mi przychodziły do głowy, podczas gdy Johann mył talerze, a Artur muskał się przed zwierciadłem. Spojrzałem czule na stary, zakopcony szyld nad piwiarnią — i zatrzymałem się nagle, uderzony zmianą. „Zielony Zając“ był jak zawsze co do maści swojej w niezgodzie z pojęciami łowców i zoologów, ale był świeżo odlakierowany, a pod nim, najlepszą polszczyzną, na jaką zdobyć się mogą lakiernicy lwowscy, stał napis: „Restauracja i piwjarnia Jana Purzpichlera.“ Nie znałem żadnego Jana Purzpichlera. Mimo to wszedłem. Powitał mię znowu jakiś nowy płatnik — spytałem go gdzie Johann?

— Gospodarz? Zaraz przyjdzie. I w istocie pojawił się w krótce, przedzierzgnięty już tym razem w ludzkiego Jana, mój ex-Johann, obecnie właściciel nie tylko restauracji i piwjarni, ale i kamienicy w której one się znajdowały. Pojawił się, znowu w ten sam nadskakujący sposób, jak gdyby jeszcze zawsze miał w pamięci owego pierwszego szóstaka, którego dostał w życiu, albo owego mopsa, od śmierci wybawionego, albo litościwą naukę, jak się pisze „śledź.“ Rozgadaliśmy się o dawnych czasach i dawnych znajomych; dowiedziałem się, że ten i ów z dawnych moich głodnych współbiesiadników z pod „Zielonego Zająca“ jest już takim a takim radcą, albo starostą i t. d. Wszystko to zajmowało mię bardzo, i gniewał mię tylko mój ex-Johann,

że nie tylko niechciał siadać, ale oprócz tego, przepraszając mię ciągle, wybiegał co chwila z sali. Przy jednej takiej sposobności wyjrzałem na ulicę i spostrzegłem wyraźnie p. Purzpichlera, jak jakiegoś niezmiernie bladego i wychudzonego człowieka, któremu z pod wystających kości policzkowych śmierć patrzyła, wsadził do dorożki, otulał, i oddawał pod opiekę jednemu ze swojej służby — poczem dorożka powoli ruszyła z miejsca.

— Kto tu był, kogo pan wyprawiałeś? — zapytałem gdy wrócił.

— Pan dobrodziej nie pamięta? To Świetnicki.

— Jaki Świetnicki?

— To ten Artur, co był najpierw tutaj, a potem w hotelu. Miał później własny interes, i z początku szło mu nie źle, ale się nie szanował... grał w karty... no, pan dobrodziej już wie... Musiał wszystko porzucić i uciekać za granicę. Był w Petersburgu, i tam mu się szczęściło ale znów zaczął hulać i nabawił się jakiejś choroby. Ambasada austryjacka wysłała go do Lwowa, bo nie miał ani grosza. Tu nie miał przytułku. Wziąłem go do siebie, myślałem, że się wyleczy, ale lekarze powiadają, że z taką chorobą trzeba go koniecznie dać do szpitalu, więc go wysłałem. Mówią że niema nadziei, aby go można wyleczyć.

W istocie pokazało się w krótce że nie było nadziei.

Zamyśliłem się pewnego razu pod „Zielonym Zającem“ — gdzie już teraz niema p. Purzpichlera, bo kupił wieś i gospodaruje — nad tą hogartowską różnicą tych dwóch Janów. Machinalnie znowu wyjrzałem przez okno i

machinalnie zrobiłem uwagę, że nad każdym handlem lub interesem, rozwijającym się pomyślnie, był szyld z nazwiskiem kończącym się częściej na *er* niż na *ski*, *cki*, albo *wicz*. I dla tego nazwałem to studjum „niemal“ etnologicznem.

---

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Jan Lam.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Humoreski

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Kejt
- Salicyna
- Alenutka
- Hlb458
- Zdzislaw
- Wieralee
- Himiltruda
- NuxBot
- Joanna Le
- Mudbringer
- Bonvol
- Seboloidus
- Zetzecik
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235

- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium